

**Andre Norton**

# **Pani Krainy Mgieł**

**Tytuł oryginału Dread Companion  
Przekład: Jacek Kozerski**

## Rozdział pierwszy

Nigdy już nie zaufam tradycyjnym podziałom czasu i nie powiem Z całym przekonaniem: to był dzień; minął tydzień; przed nami cały rok! Zaledwie kilka dni temu pokazano mi bardzo stare taśmy, skopiowane, jak mnie zapewniono, z kaset nagranych ongiś na legendarnej planecie Terra. Jednak pewne zawarte na nich informacje tak bardzo przypominają moje własne doświadczenia, że nie pozostaje mi nic innego jak tylko uwierzyć, iż ci, którzy nagrali je w przeszłości zasnutej mgłą czasu, tak dawno temu, że nie potrafię nawet pouczyć lat dzielących terażniejszość od tamtej chwili, również przemierzyli szlak, na jaki skierowały mnie przypadek i mój własny upór.

Gdybym nie miała niepodważalnych dowodów na to, co przydarzyło się mnie oraz paru innym osobom, mogłabym być teraz posądzona o snucie niestworzonych opowieści ku zadziwieniu łatwowiernych. Lecz to, co mówię, jest prawdą i nagrania wszystko potwierdzają. Urodziłam się na Chalox, w 2405 roku po Odlocie, licząc według czasu planetarnego i galaktycznego. Skończyłam szesnaście planetarnych lat, kiedy opuściłam Chalox i wylądowałam na Dylanie. Od tego czasu nie minął dla mnie więcej niż rok - a jednak w kalendarzu widnieje teraz cyfra 2483!

Czas! Zdarza się, że gdy spoglądam na te daty i myślę, w jaki sposób minęły dla mnie te lata, ogarnia mnie taki strach, że natychmiast muszę zająć się czymś, skupiając na tym wszystkie moje siły i myśli, dopóki nie opadnie dławiąca mnie fala paniki.

Gdyby nie Jorth, którego mogę dotknąć ilekroć tego zapragnę i który dzieli ze mną mój e brzemię, mogłabym... lecz o tym nie będę myślała - teraz ani nigdy!

Tak jak powiedziałam, urodziłam się na Chalox. Moim ojcem był Rhyn Halcrow, zwiadowca Departamentu Badań. Należał do rodu Talgrinnian, co oznacza Drugą Falę potomków Terran. Moja matka pochodziła z Forsmanian, z rodziny kupieckiej. Byli ludźmi, lecz jako potomkowie Pierwszej Fali z powodu genetycznych mutacji różnili się od istot, które uważano za rodzimych mieszkańców Terry.

Ich małżeństwo nazywano terminowym, jak to się zwykle określa w przypadku mężczyzn pozostających w służbie rządowej, i trwało trzy miejscowe lata. Po ceremonialnym rozwiązaniu umowy małżeńskiej ojca skierowano do nowego zespołu badawczego. Pozostawił moją matkę z bardzo wysoką dożywotnią rentą, dając jej nadto wolną rękę co do zawarcia następnego kontraktu, gdyby miała na to

ochotę - lub gdyby sobie tego życzył jej ojciec. Forsmanianie bowiem szanują rodową hierarchię i ważne decyzje dotyczące klanu podejmuje najstarszy wiekiem mężczyzna.

I rzeczywiście, w ciągu paru miesięcy matka wydała się po raz drugi za jednego ze swoich kuzynów, zatrzymując w ten sposób wiano z pierwszego małżeństwa w klanie, co jej bliscy uznali za bardzo praktyczne i słuszne rozwiązanie.

Jeśli chodzi o mnie, w tym czasie przebywałam już w internacie dla dzieci pracowników rządowych w Lattmah. Rozstanie było zupełne. Nigdy więcej nie zobaczyłam żadnego z moich rodziców. Problemem był dla mnie fakt, iż urodziłam się dziewczynką, ponieważ potomstwo takich mieszanych związków w większości jest płci męskiej i chłopcy ci od dzieciństwa szkoleni są do służby państwowej.

Na nieszczęście odziedziczyłam płeć matki, lecz duszę i zainteresowania ojca. Byłabym bezgranicznie szczęśliwa, pracując jako zwiadowca, odkrywca dalekich światów i nowych krajobrazów. Moimi ulubionymi naganiami z taśmoteki były relacje z wypraw badawczych, sprawozdania z misji handlowych na prymitywnych planetach i tym podobne rzeczy. Być może potrafiłabym dopasować się do życia, jakie wiedli wolni kupcy. Lecz kobiet jest wśród nich tak niewiele i są one tak zazdrośnie strzeżone i hołubione, że pewnie byłabym prawdziwym więźniem w jednym z ich kosmoportów. Spotykałabym się z mężem tylko z rzadka, i prawo zmuszałoby mnie do ponownego zamążpójścia, gdyby jego statek nie powrócił w wyznaczonym terminie.

Tak więc robiłam co mogłam, żeby przygotować się do ucieczki z Chalox. Zostałam opiekunką archiwum i przyswoiłam sobie kilka technik, wliczając w to implantowanie pamięci. I umieszczałam swoje nazwisko - Kilda c'Rhyn - na wszystkich możliwych listach emigracyjnych, od kiedy tylko władze pozwoliły mi rejestrować się na nich.

To, że okazja do wyjazdu się nie nadarzała, zaczynało mnie niepokoić. W internacie mogłam pozostać jeszcze niecały rok, a potem musiałabym przystosować się do życia w miejscu wybranym arbitralnie przez moich opiekunów. Mogli nawet zmusić mnie, bym wróciła do klanu mojej matki, a to zupełnie mi nie odpowiadało. Tak więc, zrozpaczona, zwróciłam się w końcu do jednego z moich nauczycieli, którego uważałam za najbardziej życzliwego.

Lazk Volk był mieszańcem-mutantem. W jego przypadku wymieszanie ras objawiło się deformacjami, których nawet najbardziej zaawansowana chirurgia

plastyczna nie mogła naprawić. Jego umysł miał jednak tak niezwykle możliwości, jeśli chodzi o uczenie się i nauczanie, że Lask nigdy nie opuścił internatu. Ogromna taśmota oraz informacje uzyskiwane od odwiedzających go zwiadowców i innych podróżników pozwoliły mu zdobyć wiedzę o wiele rozleglejszą od wszystkich miejscowych banków pamięci, z wyjątkiem rządowego.

Ponieważ pod pewnymi względami byliśmy do siebie podobni każde z nas tęskniło bowiem za tym, co było mu wzbronione - Lask Volk i ja zostaliśmy przyjaciółmi. Od czterech lat pracowałam dla niego jako rejestratorka i bibliotekarka, nim w końcu wyraziłam głośno swoją obawę o to, że nie mam żadnego wpływu na przyszłość, która mnie czeka. Miałam nadzieję, że być może odpowie na to ofertą stałego zatrudnienia. Choć tak naprawdę nie zaspokajałoby to mego pragnienia podróży, to jednak, zważywszy na bogactwo jego wiedzy, byłaby to namiastka najlepsza z możliwych.

Rozwarł swoje cienkie, podwójne ramiona w typowym dla niego geście, zwijając pozbawione kości palce nad klawiaturą, która wyczarowywała wszystko, czego sobie zażyczył - od kompletnej historii planety Firedrake po opis przyjęcia z okazji zaślubin.

Prawie całą jego zniekształconą postać spowijała szata z tęczowego materiału bora, zmieniająca intensywne barwy przy najdrobniejszym poruszaniu. Przypominał w niej gruby wałek ustawiony na jednym końcu. Tylko cztery ramiona i stożkowata głowa wskazywały, że jest żywą istotą.

Przez chwilę wysuwał naprzód i cofał wijące się palce. Potem rozwarł szczelinę ust.

- Nie.

- Nie? Dlaczego?

Byłam tak zaskoczona, że w moim głosie pojawił się ton pretensji, jaki nigdy dotychczas nie zabrzmiał, gdy zwracałam się do niego.

- Nie zatrudnię cię u siebie. To zbyt łatwa droga, Kildo. A ty nie jesteś stworzona do wędrówki łatwymi szlakami.

Dotknął jednego z wielu przycisków i moje krzesło odwróciło się, tak że już nie spoglądałam na niego lecz na ścianę, na której znajdował się ekran, przypominający teraz ogromne lustro.

- Co widzisz? - zapytał.

- Siebie.

- Opisz! - Powiedział to tonem, jakiego używał w kabinach szkoleniowych, kiedy zaczynał kształtować mój umysł w celu zapamiętywania i gromadzenia informacji.

- Jestem kobietą. Moje włosy są... są... - zawahałam się. Ci, którzy mieszkali w internacie, tak bardzo różnili się od mieszkańców, że nie znane były nam kanony określające zarówno urodę, jak i zwyczajną brzydotę. Wiedziałam, że spoglądanie na pewne twarze, z uwagi na ich barwę i kształt, sprawia mi przyjemność. Lecz obca była mi próżność i nie miałam pojęcia, czy mój wygląd może być uważany choćby za przeciętny. - Moje włosy - podjęłam zdecydowanie - są ciemnobrązowe. Mam dwoje oczu - są niebieskozielone - jeden nos i usta. Skóra jest również brązowa, lecz jaśniejsza w odcieniu od włosów. Co do reszty - moje ciało jest humanoidalne i zdrowe. Co sprawia, że chcesz widzieć mnie inną niż taką właśnie?

- Jesteś młoda. I choć wymieniałas swe cechy tak otwarcie, Kildo, przekonasz się, gdy tylko znajdziesz się poza tymi murami, że w oczach większości będziesz kimś nieprzeciętnym. I, jak zauważyłaś, masz sprawne i zdrowe ciało. Dlatego nie możesz tego zmarnować, kryjąc się w cieniu i odwracając plecami do świata.

- Chyba będzie lepiej - zaprotestowałam - żebym została tutaj, gdzie jestem szczęśliwa, niż wróciła do klanu Forsmanian lub pracowała jako urzędniczka w jakimś państwowym biurze, aż stałabym się tak tępa jak te ściany, które nas otaczają.

- Być może. - Skinął głową. Zaskoczyło mnie, że tak łatwo dopięłam swego. On jednak ciągnął dalej: - Lecz wymieniałas tylko dwie z możliwości, jakie masz. Są jeszcze inne...

- Małżeństwo z kupcem? - ośmieliłam się wyrazić głośno trzecią możliwość, nad którą się zastanawiałam.

- Żeby wykorzystać je do ucieczki? Nie sędzę, by to był dobry pomysł. Kupcy, mając tak niewiele kobiet, otaczają je aż nadto troskliwą opieką. Taki związek mógłby się okazać dla ciebie jeszcze bardziej ogłupiający i uciążliwy niż to, co by cię spotkało, gdybyś zdecydowała się na którąś z dwóch pierwszych propozycji. Mamy jednak to...

Musiał nacisnąć jakiś inny guzik, ponieważ na ekranie rozbłysło, zamazując moje odbicie, rządowe ogłoszenie. Była to jedna z tych ogólnych ofert skierowanych do emigrantów, przejęskrawiony i prawdopodobnie mocno przesadzony wykaz wszystkich wspaniałych możliwości, jakie odpowiednio wykwalifikowanym ludziom dawały planety pogranicza.

- Zapomniałeś - wtrąciłam, nie rozumiejąc, jak mógł nie wziąć tego pod uwagę  
- że nie jestem uzdolniona manualnie, nie mam przeszkolenia medycznego ani...

- Jesteś dzisiaj nastawiona bardzo sceptycznie - powiedział, lecz w jego głosie nie było słycać zniecierpliwienia. - To jest oficjalny rejestr. Istnieją jednak inne sposoby, by dołączyć do emigrantów, mianowicie jako pomoc domowa dla kogoś, kto ma dzieci w wieku szkolnym. Wspomagałaś już nauczycieli w tutejszych klasach. I z pewnością twoje umiejętności przewyższają kompetencje pomocy domowej. To zajęcie jest oczywiście chwilowe, lecz daje ci szansę na emigrację. A na nowym świecie będzie więcej możliwości. Na peryferyjnych światach obserwuje się tendencję do rozluźniania obowiązujących norm - chyba że grupę emigracyjną stanowi ściśle podporządkowana przywódcy sekta religijna. Mogłabyś zdobyć tam pozycję, która jest nieosiągalna dla osób twojej płci na wewnętrznych planetach.

To, co mówił, miało sens. Dostrzegłam w tym tylko jedną rysę.

- Mogą uznać, że jestem za młoda.

- Otrzymasz najlepsze rekomendacje. - Powiedział to z takim przekonaniem, iż musiałam uwierzyć, że przemyślał całą sprawę od początku do końca i teraz potrzebna była jedynie moja zgoda.

- Zatem... zatem... zrobię to!

Zawsze wyobrażałam sobie, że jeśli pojawi się jakakolwiek możliwość opuszczenia Chalox i wzniesienia się w nieznaną sferę gwiazd, uczynię to bez chwili wahania. Jednak teraz, kiedy powiedziałam, że to zrobię, coś poruszyło się niespokojnie w moim wnętrzu. Wyglądało to tak jakbym w momencie, kiedy drzwi zostały otwarte, była bardziej świadoma bezpieczeństwa pomieszczenia, którego strzegły.

- Brawo! - Obrócił moje krzesło ku sobie. - Lecz pamiętaj, Kildo, wspomagam cię tylko w pierwszych krokach; dalsza droga zależy od ciebie. Tyle jednak dla ciebie zrobię. Mianuję cię jednym z moich pozaplanetarnych sprawozdawców. Będziesz rozwijała swój talent, nagrywając dla mnie wszystko, co według ciebie może wzbogacić tę bibliotekę.

Poczułam, że paraliżujące mnie napięcie zelżało nieco. Iskra podniecenia zapłonęła w moim umyśle. Prawdopodobnie niewiele mogłabym dodać do tego bogactwa wiadomości z tysięcy - setek tysięcy światów, informacji, które Lask Volk zgromadził w swojej bibliotece. Lecz gdyby do tego zbioru zakwalifikowano choćby tylko kilka zdań mojego autorstwa, czułabym się doprawdy zaszczycona.

- Zatem postanowione - powiedział rześkim głosem. - Resztę zostaw mnie. A teraz chcę mieć szczegółowe streszczenie raportu Ruhkarva w zestawieniu z danymi z Xcothal.

Zaczęłam szukać dla niego dwóch taśm zawierających dane o zagadkach archeologicznych. I tak, zajmując się to jednym, to drugim, spędziłam trzy pracowite dni. Prawdę mówiąc, byłam tak zaabsorbowana poszukiwaniem zagrzebanych gdzieś taśm - których od lat nikt nie żądał - że trzeciej nocy, gdy wróciłam do mojego pokoju i z westchnieniem zrzuciłam pantofle, wezbrało we mnie podejrzenie, iż Lask Volk nieustannie przegania mnie z jednego końca archiwum w drugi dla jakichś własnych, ukrytych celów.

Czwartego dnia rano, kiedy zgłosiłam się po zlecenia, zastałam go nie jak zwykle otoczonego rzędami kaset, lecz popijającego kawę z kubka i wpatrującego się w ekran z takim napięciem, jakby widniała na nim formuła zbawienia. Spojrzał na mnie ostro, gdy weszłam, a potem dolną prawą ręką wskazał spore pudełko na skraju biurka.

- Weź je i włóż na siebie to, co jest w środku. O dziesiątej masz spotkanie z Gentlefemą Guską Zobak. Mieszka w Podwójnej Gwieździe.

- Co mam włożyć...?

- Ubranie. Stosowny strój, dziewczyno! Wyjdiesz na miasto w tym - wskazał na mój uniform z internatu, jednoczęściowy ubiór, zaprojektowany do pracy, a nie po to, by pasował czy zdobił - i natychmiast staniesz się ośrodkiem uwagi, co, jak przypuszczam, nie obyłoby ci na rękę.

Przytaknęłam i zaniiosłam pudełko do sąsiadującego z pokojem magazynu. Lecz zawartość zaskoczyła mnie nieco. Miałam wyjściową szatę, którą kilka razy wkładałam, udając się do miasta w celu załatwienia zleconych mi tam spraw. Była równie prosta jak uniform i wręcz krzyczała, że jest strojem organizacyjnym. Tymczasem ten wspianiały strój z jedwabistego materiału był zupełnie inny. Widziałam już takie, ale tylko na córkach właścicieli ziemskich.

Składał się z pary luźnych spodni o ciemnej, soczystej barwie dojrzałych śliwek. Górną część stanowiła tunika tego samego koloru, lecz z innego materiału, grubego i w dotyku przypominającego futro. Długie rękawy sięgały aż za nadgarstki, a od talii do góry biegł podwójny rząd srebrnych zapinek. Tunikę spinał ciasno pas z tego samego metalu.

Włosy miałam znacznie krótsze od włosów kobiet mieszkających w mieście.

Lecz moją głowę okrywał długi welon ze srebrzystej koronki, z otworami na oczy obwiedzionymi błyszczącym materiałem, z przodu sięgający pasa, z tyłu zaś bioder. W takim stroju byłam jak zamaskowana i z pewnością żaden ze znajomych studentów nie rozpoznałby mnie.

Kiedy wróciłam do Lazka Volka i kątem oka uchwyciłam moje odbicie w lustrzanym ekranie, zdumiało mnie ono tak, że wydałam z siebie zduszone westchnienie. Lask skinął głową i podał mi plakietkę identyfikacyjną.

- Doskonale. - Zaaprobował moje przebranie, bowiem czułam, że taką właśnie rolę ma pełnić ten strój. - Gentlefema Zobak leci na planetę Dylan. Ma dwoje dzieci, syna i córkę, oboje są jeszcze mali. Matka stara się o pomoc domową, jako że jej zdrowie nie jest najlepsze. Mąż Gentlefemy otrzymał skierowanie na Dylana tylko czasowo - na jakieś dwa miejscowe lata, jak przypuszczam. Nie sądzę, żeby Zobakowie zostali tam dłużej. Lecz ich pozycja pozwala im na żądanie dodatkowych przywilejów i jeśli ich zadowolisz, być może otworzą przed tobą inne drzwi. Lepiej już idź. Nie można pozwolić, żeby Gentlefema czekała.

Być może ja nie mogłam pozwolić sobie na to, by moja potencjalna pracodawczyni czekała, lecz gdy dotarłam do Podwójnej Gwiazdy stało się oczywiste, że jej to nie dotyczy. Zaprowadzono mnie do pokoju przyjęć. Siedziały tam dwie kobiety w charakterystycznej postawie tych, którym każe się czekać. Ponieważ wszystkie przestrzegałyśmy zwyczaju zakazującego zdejmowania welonu przy obcych, widziałam tylko ich stroje, podobne do mojego, lecz różniące się barwą i materiałem. Dla zabicia czasu starałam się odgadnąć, kim są moje konkurentki.

Strój pierwszej był rdzawobrazowy. Na welonie dostrzegłam dwie cery. A ręce (rękawy jej tuniki były znacznie krótsze od moich) miała czerwone i szorstkie, jakby wykonywała jakąś ciężką pracę. Odniosłam wrażenie, że jest zapracowaną kobietą w średnim wieku. Druga, siedząca naprzeciwko mnie, nosiła się na niebiesko, lecz było coś tandetnego w zbyt ekstrawaganckim kroju tuniki. Rękawy sięgające koniuszków palców miały chyba sugerować wysoką pozycję właścicielki, która nie musi wykorzystywać rąk do pracy. Pasek materiału obrębający otwory na oczy w jej welonie był nie tylko błyszczący, ale też tak szeroki, że mógł oślepić patrzącego.

Zapracowaną kobietę wezwano pierwszą i nie pojawiła się już więcej; potem przyszła kolej na moją krzykliwie przystrojoną towarzyszkę, która również nie wróciła. Domyśliłam się, że wychodzi się innymi drzwiami. W końcu robot-służący skinął w moim kierunku.



Luksus pokoju, do którego weszłam, odpowiadał standardowi pomieszczeń karawanseraju. Lecz jego obecna mieszkanka wprowadziła do niego kilka własnych elementów. Leżała na łóżku wsparta o uniesione wezgłowie, z rozrzuconymi przed sobą rozmaitymi przedmiotami, służącymi albo rozrywce, albo pielęgnacji ciała.

Grzecznie odsunęłam welon, by spojrzeć jej w oczy. Była drobna i z wyglądu bardzo delikatna. Jej włosy, zgodnie z obowiązującą modą, zostały najpierw odbarwione, a potem nasycone jaskrawą zielenią, ostro kontrastującą z bladością skóry. Wiedziałam z telewizji, że jest to szczyt elegancji.

Choć w pokoju znajdowały się dwa fotele wypoczynkowe dla wygody mieszkańców, ona wskazała mi pozbawiony oparcia puf w pobliżu łóżka i długą chwilę wpatrywała się we mnie bez słowa. Jej usta wykrzywiały się w grymasie rozdrażnienia, a ręce rzadko spoczywały nieruchomo, przebierając wśród leżących przed nią przedmiotów, choć nigdy nie patrzyła na to, co właśnie chwyciła, ani nie trzymała tego długo.

- Jesteś Kilda c'Rhyn.

Nie było to pytanie, a raczej stwierdzenie, takie, jakie wypowiada człowiek nazywając jakiś przedmiot - gdybym przypadkiem nie była Kildą, uczyniłaby mnie nią. Zastanawiałam się, czy miało mnie to zbić z tropu, czy zawsze używała takiego tonu wobec starających się o pracę.

- Tak jest, Gentlefemo.

Potraktowałam jej stwierdzenie jako pytanie i udzieliłam odpowiedzi.

- Przynajmniej jesteś młoda. - Wciąż wpatrywała się we mnie. Z rekomendacji wynika, że masz dobre przygotowanie jako nauczycielka. Przebywałaś w internacie. ..- W jej głosie usłyszałam teraz ciekawość, jakby moja przeszłość zainteresowała ją nieco. - Zdajesz sobie sprawę, że ta praca jest tylko czasowa. Musimy udać się na ten okropny peryferyjny świat na rok, może dwa, ponieważ mój mąż otrzymał tam skierowanie. Dobrze znosisz podróże kosmiczne?

Cóż mogłam jej na to odpowiedzieć, jeśli dotychczas nie miałam okazji lecieć żadnym statkiem? Ale nie sędzę, by ją to naprawdę interesowało, ponieważ ciągnęła dalej:

- Ja znoszę je fatalnie, naprawdę. Zaraz kładę się do snu, natychmiast po starcie. Ale Bartare i Oomark nie mogą spać przez całą podróż - są ciekawymi wszystkiego dziećmi. Będziesz musiała zaopiekować się nimi podczas okresów czuwania. Nie wiem... jesteś taka młoda... - Fakt, który wcześniej raczej ją ucieszył,

teraz zdawał się budzić wątpliwości. - Bartare jest trudna, bardzo trudna. Musi mieć kogoś, kto nią pokieruje. Jej poziom nauczania zbliża się do ósmego stopnia i będzie wzrastał, tak nam powiedziano. Musisz stymulować ją mentalnie, żeby wywołać ten postęp. Skoro jednak zostałam przeszkolona w internacie, powinnaś wszystko o tym wiedzieć. A ja nie mam czasu ani siły, żeby spotykać się z kolejnymi ponurymi albo nieodpowiednimi kobietami. Ty musisz wystarczyć.

Było oczywiste, iż uważa, że wyłącznie od jej decyzji zależy ostateczne załatwienie sprawy. I choć w wypowiedzianych przez nią słowach usłyszałam zapowiedź przyszłych żądań i pretensji, wiedziałam, że Lask Volk miał rację. To są prawdopodobnie jedyne drzwi, które mogły otworzyć się przede mną, i tylko przejście przez nie dawało mi nadzieję na inną przyszłość.

Kiedy wyraziłam swoją zgodę, zignorowała ją. Zamiast tego poinstruowała mnie, gdzie się z nimi spotkam. I wtedy dowiedziałam się, że do startu mam tylko dwa dni. Nie było mi to na rękę, lecz zanim zdążyłam zaprotestować, wydała ostatni rozkaz.

- Robot-służący zaprowadzi cię do pokoju dzieci. Powinnaś je poznać, a i one muszą cię zobaczyć. Tędy, i pamiętaj - o jedenastej na Siedmiu Nocach Dnia.

Nim zdążyłam pożegnać się z nią oficjalnie, robot-służący wyprowadził mnie z pokoju i dalej na korytarz. Tam przystanął przed jakimiś drzwiami i zaanonsował swoje przybycie, lecz nie czekał na zezwolenie, by wejść. Wydawało się, że Gentlefema Zobak traktuje swoje potomstwo równie bezceremonialnie jak pracowników. Posłano mnie, bym zobaczyła dzieci, i żeby one mnie zobaczyły, i to wszystko.

To, że uczyłam dzieci w internacie, było prawdą. Tylko że tam zawsze panowała dyscyplina i rygor. Uczniów poddawano najstaranniejszej selekcji, a mających problemy z osobowością lub temperamentem kierowano gdzie indziej na specjalistyczną terapię. Dzieci, które ja uczyłam, były dobre i posłuszne, przywykłe do stawianych im wymogów. Znałam wyłącznie zdolne dzieci, pragnące nauczyć się, jak najlepiej wykorzystywać swoje mózgi. Tak więc napomknienia mojej pracodawczyni, że należy zachęcić jej córkę do zwiększenia wysiłków, brzmiały sensownie i znajomo. Lecz kiedy weszłam do pokoju, jakiś instynkt ostrzegł mnie, że nie będzie to przypominało owego zaledwie formalnego nadzoru w klasach internatu.

Pokój urządzony był równie luksusowo, jak salon zajmowany przez ich matkę, i najwyraźniej pełnił rolę bawialni. Na stole pod lampą leżało mnóstwo drobnych

przedmiotów, takich jak te, które zaśmiecały łóżko Gentlefemy. Jeden z nich zdawał się tak interesować dzieci, że żadne nawet nie uniosło wzroku, by spojrzeć na mnie.

Bartare była drobna, szczupła i delikatna, jak jej matka, lecz z pewnością nie ospała. Przeciwnie, jej małe, chude ciało wyrażało tak skoncentrowane napięcie, że przypominało mi to niepokojące stany skupienia, jakie widywałam niekiedy u Lazka Volka. Twarz, zakończoną maleńkim, ostrym podbródkiem, okalały włosy spięte srebrnymi spinkami, które lśniły tym bardziej, że za tło miały kruczą czern łoków. Wyraźnie zarysowane brwi, zbiegające się nad nosem, tworzyły grubą linię na czole. Oczy ocieniały niezwykle gęste rzęsy, niemal tak czarne jak włosy. W przeciwieństwie do tego skórę miała bladą, bez śladu rumieńca na policzkach, i tylko wargi zaznaczały się lekkim różem.

Ubrana była na ciemnozielono, dziwny kolor dla dziecka, jednak odtąd ta barwa już zawsze kojarzyła mi się z Bartare. Paskiem identycznego materiału owijała właśnie jeden z rzeźbionych posążków, takich, jakie wieśniacy stawiają w kuchniach dla ochrony przed siłami ciemności. Tyle że ten posążek, pierwotnie bardzo prymitywny, został "ulepszony". Jego głowę owinięto lśniącymi drutami, aby utworzyć koronę.

Temu, jak Bartare odziewa w szaty posążek, przyglądał się jej brat Oomark. Choć młodszy, był od niej wyższy mniej więcej na szerokość palca, dobrze zbudowany i krzepki. Jego twarz wciąż oznaczała się dziecięcą krągłością, a teraz widniał na niej dziwny wyraz, jakby to, co robiła jego siostra, równocześnie fascynowało go i trwożyło - doprawdy niezwykły wyraz u kogoś, kto przygląda się ubieraniu lalki.

Spojrzał na mnie. Potem pochylił się i dotknął ramienia siostry, niemal bojaźliwie, dając do zrozumienia, że boi się jej, a jednak wie, że musi oderwać jej uwagę od tego, co akurat robiła.

- Spójrz, Bartare... - Wskazał mnie palcem.

Bartare uniosła głowę. Spojrzenie dziewczynki było głębokie, badawcze, i w jakiś sposób niezmiernie wytracające z równowagi. Doznałam niemal takiego wstrząsu, jakbym natknęła się, pod zewnętrzną powłoką dziecka, na coś starego, władcze, i nieco złośliwego. Lecz wrażenie to ustąpiło niemal natychmiast. Bartare położyła lalkę z uwagą osoby odkładającej na bok ważny fragment tworzonego właśnie dzieła i odsunęła się od stołu, by wykonać jeden z tych dygów, uznawanych przez dzieci z jej klasy społecznej za uprzejme powitanie.

- Jestem Bartare, a to jest Oomark.

Głos brzmiał czysto i przyjemnie. Dopiero gdy rzuciła mi niespodziewane spojrzenie spod tej ciemnej krechy brwi, poczułam powiew chłodu.

- Jestem Kilda c' Rhyn - odpowiedziałam. - Wasza matka poprosiła mnie...

- Żebyś nas zobaczyła i pozwoliła nam zobaczyć ciebie. Wiem. Skinęła głową.

- To oznacza, że jesteś tą osobą, która poleci z nami na Dylana. Myślę... - Zawahała się, a potem użyła wyrażenia, które wydało mi się raczej dziwne. - Myślę, że będziemy sobie odpowiadać.

Odniosłam wrażenie, że słowo "będziemy" zostało wypowiedziane z naciskiem, który wyrażał wątpliwość i mógł być ostrzeżeniem.

Niewiele pamiętam z tego, o czym rozmawialiśmy podczas tamtego pierwszego spotkania. Po tym, jak poinformował siostrę o moim przyjeździe, Oomark nie odezwał się już ani słowem. Z zachowania jego siostry wynikało natomiast, że ma ona nie tylko znakomite maniere, ale także jest bardziej wyrobiona towarzysko i inteligentniejsza. Bartare... cóż, mogłam ocenić ją tylko pozytywnie. A jednak przez cały czas, kiedy rozmawialiśmy, zachowywałam rezerwę, czułam się zakłopotana, jakbyśmy obie udawały.

Widziałam niegdyś sztukę teatralną z innego świata, utrwaloną na jednej z taśm Lazka Volka. Aktorzy i aktorki występowali z ozdobnymi, obrzędowymi maskami osadzonymi na długich uchwytych. Mieli po kilka takich masek, przymocowanych cienkimi łańcuszkami do pasa. Gdy przychodziła kolej na ich kwestie, wybierali tę czy inną maskę i trzymali ją przed sobą, ale nie tuż przed twarzą, deklamując swoją rolę. Przypomniało mi się to wtedy, bowiem odniosłam wrażenie, że Bartare i ja też nałożyłyśmy maski, i że to, co kryje się za tymi maskami i naszą uprzejmą, zdawkową rozmową, jest czymś zupełnie innym.

A jednak nie byłam aż tak zaniepokojona, by nie przyjąć proponowanej mi posady. Prawdę mówiąc, gdy stłumiłam to początkowe uczucie niepokoju, stwierdziłam, że Bartare intryguje mnie. Przyszło mi do głowy, że czas, jaki mamy spędzić razem, może być interesujący dla nas obu. Uznałam też, że Oomark pozostaje w cieniu siostry, i że okazanie mu szczególnej troski dobrze by na niego wpłynęło.

Tak czy inaczej, wróciłam do internatu zadowolona z umowy, jaką pomógł mi zawrzeć Lask Volk, zdecydowana przeciąć więzy łączące mnie z dotychczasowym życiem i wzlecieć ku nowemu.



## Rozdział drugi

Pożegnania w internacie zajęły mi niewiele czasu. Oprócz Lazka Volka bliższe stosunki łączyły mnie tylko z kilkoma osobami. Na skutek jego zabiegów pozostałam w internacie o rok dłużej niż inni z mojej grupy wiekowej, i, jak już powiedziałam, zbliżyłam się niebezpiecznie do chwili, kiedy byłabym zmuszona opuścić to miejsce, czy tego chciałabym, czy nie. Wypłacono mi odprawę, połowę w strojach przydatnych podczas pobytu na Dylanie, resztę zaś w postaci niewielkiej kwoty kredytów, którą zachowałam w całości, widząc w niej zabezpieczenie na wypadek jakiegoś nieszczęścia.

Ostatnie godziny spędziłam z Lazkiem Volkiem. Został upoważniony do przekazania mi rejestratora, tak bym mogła sporządzać sprawozdania. Lecz nie mianowano mnie oficjalnym przedstawicielem. Władze nie wyraziłyby na to zgody. Wiedziałam jednak, że gdyby któreś z moich sprawozdań przekazanych Volkowi zostało przez niego uznane za przydatne, wzmocniłoby to moją pozycję, i, być może, pomogłoby w znalezieniu kolejnej pracy.

Jednak przestrzegł mnie, bym nie trwonila otrzymanych od niego taśm na byle co, i rejestrowała tylko rzeczy najważniejsze. Uświadomiłam sobie wtedy, że mając ich tak niewiele, będę musiała zmieścić na nich sporo materiału. Ilość bagażu osób podróżujących statkami kosmicznymi jest ściśle określona i gdybym zmarnowała taśmy, które miałam ze sobą, nie mogłabym oczekiwać kolejnych dostaw - przynajmniej dopóty, dopóki nie przekazałabym nagrania z tak wartościowymi informacjami, że zagwarantowałyby mi to przesłanie następnych.

Zapytał mnie, co sadzę o moich podopiecznych, a ja odpowiedziałam nieco wymijająco. Byłam niemal pewna, że Bartare rokuje duże nadzieje jako uczennica. Sam Oomark potrzebowałby ze strony nauczyciela mniejszego zaangażowania. I właśnie w stosunku do jego siostry użyłam określenia "wymagająca". Wiedziałam, że Lazk Volk zauważył moją powściągliwość, jednak nie skomentował tego.

Z rodziną Zobaka spotkałam się dopiero przed samym wejściem na statek. Gentlefemę spowijały grube fałdy podróżnej peleryny, lecz Bartare stała z odrzuconym kapturem płaszcza, wpatrując się w statek, jak gdyby przedstawiał sobą jakiś problem. Oomark w podnieceniu rozglądał się wokół siebie, bez reszty pochłonięty tym, co robi załoga.

Kiedy podeszłam, Gentlefema odwróciła się ku mnie, choć nie mogłam dojrzeć jej twarzy ukrytej pod welonem. Głos miała jeszcze bardziej rozdrażniony niż to zapamiętałam z pierwszego spotkania.

- Spóźniłaś się. Za chwilę wchodzimy na pokład...

- Przepraszam - odpowiedziałam. Po naszym pierwszym spotkaniu postanowiłam sobie, że nie będę się usprawiedliwiała ani udzielała wyjaśnień. Stwierdziłam, że należy do tych osób, które uznają tylko jedną odpowiedź - swoją własną. Walka z czymś takim byłaby tak samo skuteczna, jak próba wzniesienia wieży z suchego piasku. Lepiej nawet nie próbować.

- Oczekuję punktualności... - zaczęła, kiedy kilka kroków od nas opadła platforma towarowa i stojący na niej ochmistrz statku, który kierował załadunkiem, przywołał nas skinieniem.

- Nienawidzę tego całego zamieszania!

Zacisnęła dłoń na mojej ręce tak mocno, że gdy wchodziłyśmy na platformę wraz z dziećmi, właściwie podtrzymywałam ją. Nie zwolniła bolesnego uchwytu podczas jazdy w górę, dopóki nie znaleźliśmy się w luku. Muszę przyznać, że jazda na rozkołysanej platformie mnie również nie sprawiła przyjemności.

Gdy znaleźliśmy się w środku, odnotowano nas na liście pasażerów i Guska odeszła, wciąż opierając się ciężko, lecz tym razem na stewardesie, która miała ułożyć ją do głębokiego snu podróznego. Mnie z dziećmi odprowadzono do małej kabiny i poddano zabiegowi częściowego uśpienia.

Zarobiłam pieniądze, które Gentlefema Zobak przeznaczyła na moje wynagrodzenie, i zarobiłam je uczciwie podczas tej właśnie podróży, ponieważ w okresach czuwania dzieci znajdowały się wyłącznie pod moją opieką. Staralam się nawiązać z nimi dobre stosunki i myślę, że w przypadku Oomarka udało mi się to. Wyraźnie było widać, że nie jest tak błyskotliwy jak jego siostra i zdecydowanie chętniej wykonywał wszelkie polecenia. Nie oznacza to, że Bartare nie słuchała mnie. Prawdę mówiąc, grzecznie współpracowała ze mną, a czegoż więcej można wymagać od dziecka? Jednak teraz nie odstępowało mnie już wrażenie, iż Bartare nosi maskę i gra jakąś rolę, tak że wciąż czekałam na ujawnienie tego, co naprawdę kryło się za jej słowami i czynami. To uczucie drażniło mnie tak bardzo, że musiałam tłumić zniecierpliwienie i irytację.

Kiedy po raz ostami przed całkowitym rozbudzeniem i lądowaniem na Dylanie pogrążałam się we śnie, zagadka Bartare dalej pozostawała nie rozwiązana. Lecz teraz

potraktowałam ją jako wyzwanie, choć wiedziałam, że muszę postępować bardzo ostrożnie, rezygnując z wszelkich prób zmuszenia dziewczynki do jakichkolwiek wyznań.

Choć dzięki bibliotece Lazka Volka moje wiadomości o innych planetach były rozległe i prawdopodobnie bogatsze, niż wiadomości typowych podróżnych, to jednak Dylan był pierwszym innym światem, który odwiedziłam osobiście. Stąd też brało się moje podniecenie, kiedy opuszczaliśmy się na platformie ku ziemi.

Znajome niebo Chaloxu miało zielonkawe zabarwienie i człowiek wierzył, iż jest to jedyna naturalna barwa nieboskłonu. Lecz tutaj niebo było błękitne, przecięte masami białych chmur. Spędziłam trochę czasu w bibliotece statku, ślęcząc razem z dziećmi nad taśmami zawierającymi informacje o Dylanie.

Dylan został zlokalizowany jakieś sto lat wcześniej, i to w dość dziwny sposób, bowiem przez namiar automatycznego sygnału S.O.S., choć statku, który go wysłał, nigdy nie odnaleziono. Był planetą typu Arth. Odkryto na nim niezmiernie zagadkowe artefakty sugerujące, iż ongi zamieszkiwali go albo tubylczy mieszkańcy, albo też koloniści jednej z ras Przybyszów. Właśnie po to, by uzyskać dowody potwierdzające jedną z tych hipotez, przysłano tu męża Guski Zobak. Nie był archeologiem, tylko przedstawicielem rządu, upoważnionym do nadawania wykopaliskom statusu strefy chronionej, o ile o coś takiego wnosili eksperci.

Dylan miał tylko dwa miasta. Tamlin był portem, w którym wylądowaliśmy; drugie miasto, położone po przeciwległej stronie planety, gdzie również mogły lądować statki kosmiczne, nazywało się Toward. Żadne z nich nie było duże. Na Dylanie dominowało rolnictwo, jego zachodni kontynent stanowiła kraina otwartych równin. A że miejscowa fauna była bardzo uboga, równiny te dostarczały paszy dla sprowadzanych z innych światów zwierząt gospodarczych i drobiu. Wschodni kontynent, w centrum którego leżał Tamlin, wykorzystywano pod uprawę winorośli i owoców husard, będących luksusowym towarem eksportowym.

Uprawy te wymagały jednak specjalnych typów gleby i melioracji, plantacje leżały zatem z dala od siebie, przedzielone obszarami dziczy. Odległości te i tak nie miały znaczenia, ponieważ wszystkie farmy i osady łączyła sieć komunikacji powietrznej.

Budynki Tamlinu nie przypominały zabudowy dawno zamieszkanego świata. Były bardzo do siebie podobne, ponieważ wzniesiono je według projektów opracowanych na innych planetach, a ich segmenty montowały roboty. Domy dawały



się odróżnić tylko dzięki posadzonym wokół nich roślinom. Oko cieszyły tutaj nie tylko okazy rodzimej flory, lecz również pieniące się bujnie egzotyczne ziele z innych światów.

Kiedy zeszedliśmy z platformy, zbliżyło się do nas kilka osób, by powitać nowo przybyłych. Mężczyzna, który podszedł do Gentlefemy Guski, z pewnością nie był podobny do tego z hologramu, pokazanego mi przez dzieci i przedstawiającego ich ojca. Ten był o wiele starszy i miał na sobie mundur urzędników kapitanatu portu.

- Gdzie jest Konroy? - zapytała go Guska. - Z pewnością jego obowiązki nie były aż tak naglące, by nie mógł nas tu powitać!

- Droga Gusko! - Oficer ujął jej dłonie w swoje. - Dobrze wiesz, że Konroy byłby tutaj, gdyby mógł. Chodzi o to...

- On nie żyje!

Słowa Bartare podziały na nas jak sygnał zwiastujący rozpoczęcie wojny, bowiem wszyscy skamienieliśmy na chwilę, która zdawała się rozciągać w nieskończoność.

Bartare postąpiła krok naprzód i uniosła głowę, spoglądając na oficera.

- Przecież to prawda - podjęła. - Czemu więc nie można tego powiedzieć?

Zobaczyłam jak na twarzy oficera zdumienie ustępuje miejsca zaskoczeniu i zrozumiałam, że Bartare powiedziała prawdę.

- Ale skąd... - zaczął z oszołomieniem w głosie.

- Nie żyje!

Guska wydała okrzyk, któremu zawtórował nieco słabszym głosem Oomark, i osunęła się w ramiona oficera. Wtedy poruszyłam się, wyciągając ręce do dzieci. Chłopiec odwrócił się i objął mnie mocno, kryjąc twarz w fałdach mojego podróżnego płaszcza.

Bartare strząsnęła moją dłoń ze swego ramienia i stała cicho, a z jej drobnej, bladej twarzy nie można było nic wyczytać.

Po chwili osłupienia zapanował wokół nas rozgardiasz. Oficer zaniósł nieprzytomną Guskę do stojącego opodal samochodu, nas zaś dwaj młodzi mężczyźni z ochrony kosmoportu zaprowadzili do innego. Oomark wciąż trzymał mnie w rozpaczliwym uścisku, a Bartare zachowywała się z rezerwą, jakby była tylko widzem i to w dodatku nieco wzgardliwym. Wydawała mi się w owej chwili obca, wzbudzająca obawę, jak jakaś nieznana forma życia, którą należy traktować z najwyższą ostrożnością.

Zakwaterowano nas w jednym z rządowych pensjonatów, gdzie udało mi się przekonać Oomarka, by pozwolił mi wyjść i znaleźć kogoś, kto mógłby powiedzieć, co się wydarzyło. Kiedy wróciłam do dzieci, zobaczyłam Oomarka stojącego przed siostrą z wykrzywioną gniewem i zapłakaną twarzą.

- Ty... ty wiedziałaś! I nic cię to nie obchodzi! - wykrzyknął oskarżycielsko.

Przystanąłam tuż przed drzwiami. Pomyślałam, że może uzyska odpowiedź, której Bartare nie udzieliłaby w mojej obecności.

- Powiedziała mi. Jego czas się skończył. I... nie jest nam potrzebny - już nie.

- Ona jest zła! - Czerwona twarz chłopca zbliżyła się do bladego oblicza jego siostry. - Słuchasz jej, a ona mówi ci złe rzeczy! Złe... złe...

Wówczas po raz pierwszy zobaczyłam, jak Bartare traci opanowanie. Wymierzyła Oomarkowi policzek tak mocny, że aż zakołysała się jego głowa, a na twarzy pozostał ślad dłoni.

- Zamilcz! - Nie panowała nad głosem. - Sam nie wiesz, co mówisz. Nie masz pojęcia, ile możesz zepsuć przez samo takie gadanie. Zamilcz, głupcze!

Odwrociła się od niego, a on stał, przestraszony i drżący, z twarzą mokrą od łez, których nawet nie starał się otrzeć. Kiedy weszłam do pokoju, rzucił się ku mnie i przytulił tak jak przedtem, pragnąc znaleźć pociechę bardziej w dotyku niż w słowach. Bartare pozostała przy oknie, zwrócona do nas plecami. Ale w jej postawie było coś, co wywołało we mnie dziwne wrażenie, że słucha czegoś uważnie, i nie są to dźwięki, które ja mogłabym usłyszeć.

Uznałam, że lepiej będzie zostawić ją samą na jakiś czas. Ten urywek rozmowy, który podsłuchałam, nie dawał mi spokoju. Kim była owa "ona", o której wspominali? Przecież na statku, jak i przez tę krótką chwilę po wylądowaniu, zanim podszedł do nas oficer, dzieci bez przerwy były ze mną. Ja zaś nie przekazałam Bartare takich informacji, i z pewnością nie uczyniła tego jej matka. Zatem, jak się tego dowiedziała - i od kogo?

I ta uwaga o ojcu: "Jego czas się skończył. Nie jest już nam potrzebny".

Pragnęłam porozmawiać z kimś o tym, co usłyszałam, poprosić o radę. Uważałam się za doskonale przygotowaną i samodzielną po przeszkoleniu w internacie. Jednak tutaj poczułam się nagle tak bezradna jak dziecko rozpoczynające pierwszą klasę, tym bardziej, że nie było nauczyciela, do którego mogłabym zwrócić się o pomoc.

Nie pozostawiono nas długo samych, bowiem złożył nam wizytę ten sam

urzędnik, który zabrał Guskę. Przyprowadził ze sobą żonę, kobietę o miłej twarzy, która natychmiast zajęła się dziećmi, podczas gdy on odciągnął mnie na bok, żeby porozmawiać.

Dowiedziałam się, że Konroy Zobak zginął w wypadku, kiedy jego śmigacz dostał się w zasięg niespodziewanej, gwałtownej burzy. Natychmiastowy powrót jego rodziny na Chalox nie był możliwy, choć tego właśnie zażądała Guska, gdy odzyskała przytomność. Niestety liniowiec, którym przylecieliśmy, wyruszał dalej w rejs okrężny i do naszego ojczystego świata miał powrócić dopiero za kilka lat. W rezultacie musieliśmy pozostać na Dylanie, dopóki nie nadarzy się inna okazja - ale kiedy mogło to nastąpić, tego mój informator, komendant Piscov, nie umiał mi powiedzieć.

Dowiedziałam się też, że zaoferował nam gościnę u siebie, lecz Guska uparła się, by zamieszkać w domu przygotowanym przez jej męża. Nie podobało mu się to, lecz musiał się zgodzić. Chciał, żebyśmy pozostali w kontakcie, i żebym dzwoniła do niego, ilekroć będę czegoś potrzebowała.

Nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego Guska chce być sama. Uważałam ją bowiem za osobę, która w przypadku jakichkolwiek kłopotów natychmiast szuka wsparcia, tak fizycznego, jak i duchowego. Komendant powiedział, że posłał do Guski pielęgniarkę, która miała jej towarzyszyć przez jakiś czas. Odetchnęłam z ulgą na myśl, że nie będę musiała opiekować się nią tak samo jak dziećmi.

Kiedy mi już to wszystko powiedział, obrzucił mnie taksującym spojrzeniem, tak przenikliwym, że aż poczułam się nieswojo, choć wiedziałam, że mam czyste sumienie.

- To ty powiedziałaś małej o śmierci jej ojca? - zapytał.

- Jakże mogłabym? Sama nic nie wiedziałam. Czy zawiadomiłeś o tym statek przed lądowaniem?

Potrząsnął głową, a zmarszczki na jego czole pogłębiły się.

- Prawda... skąd mogłabyś wiedzieć? Zameldowano mi o wszystkim dziś rano, gdy odnaleziono śmigacz. Wiedziało o tym tylko parę osób. Ale skąd ona... Może jest esperem?

To było logiczne, choć nigdy nie słyszałam, by esper w tak młodym wieku potrafił ukryć swoje zdolności.

- Nikt mi o tym nie wspomniał, a dane w jej karcie też tego nie potwierdzają.

- Znane są przypadki nagłych aktywacji - rzekł z namysłem. Wstrząs może

pobudzić uspięone zdolności. Porozmawiam o tym z parapsychologiem, a on skontaktuje się z tobą.

Skinęłam głowę z uczuciem ulgi. Kto mógłby udzielić mi lepszej pomocy niż kwalifikowany parapsycholog? A zatem komendant rozwiązał zagadkę dziwnej wiedzy Bartare, a może nawet niepokoju, jaki we mnie budziła. Jeśli była utajonym esperem, to parapsycholog potrafiłby to wyczuć w okresach podwyższonej aktywności. Wstrząs mógł wyzwolić jej moc.

Gdy szłam za dziećmi i żoną komendanta do samochodu, zaczęłam jednak dostrzegać luki w tej teorii. Po pierwsze, Bartare nie przebywała na tym świecie, kiedy zginął jej ojciec, i nigdy nie zaobserwowałam między nimi takiej więzi mentalnej, która mogłaby wywołać wstrząs z chwilą jego śmierci. I co z tą kobietą, o której rozmawiały dzieci? To, co usłyszałam, kazało mi sądzić, że mowa była o kimś trzecim, o kimś, kogo Bartare traktowała jako przyjaciela, zaś Oomark odnosił się do tej osoby z mieszaniną strachu i przerażenia. Kim była ta "ona"? Z całym przekonaniem mogłam tylko stwierdzić, że tego ranka "ona" nie była widzialnym członkiem naszego towarzystwa.

Widzialny towarzysz? Dlaczego moje myśli sięgnęły po to szczególne słowo - tak jakbyśmy mogli mieć niewidzialnych towarzyszy! Wymierzyłam sobie coś w rodzaju psychicznego klapsa. Jak często zauważał Lask Volk, mój pragmatyzm nie pozwalał na grę wyobraźni. Rozumowanie musi opierać się na faktach. Jednak w tym przypadku fakty prowadziły do bezsensownych wniosków.

Dom, który Konroy Zobak przygotował dla swej rodziny, leżał na peryferiach miasta, w dzielnicy zamieszkaney głównie przez urzędników państwowych i wysokiej rangi gości. Jak wszędzie domy były tu bardzo do siebie podobne, parterowe, wzniesione wokół otwartego wewnętrznego dziedzińca, na który można było wyjść z każdego pokoju.

Pośrodku podwórza znajdowała się sadzawka, pod ścianami zaś barwiły się dobrze utrzymane grządki kwiatów i ozdobnych krzewów, każda okolona niskim murkiem. Płyty z kolorowego kamienia i kryształu, ułożone w różnobarwne wzory, tworzyły nawierzchnię dziedzińca. Kiedy szliśmy za robotem dźwigającym nasze bagaże na płaskim grzbiecie, spostrzegłam nagle, że Bartare kroczy po tym wzorze w dziwnych podskokach, starając się za każdym razem dotknąć stopą kawałka kryształu. Wpatrywała się we wzór z takim natężeniem, że obserwator mógł nabrać przekonania, iż pochłonięta jest niezmiernie ważnym zadaniem.

Potem poderwała głowę i rozejrzała się szybko wokół siebie, jak gdyby sprawdzając, czy nikt na nią nie patrzy. Nasze spojrzenia skrzyżowały się na ułamek chwili. Bartare odwróciła się i ruszyła dalej normalnym krokiem, nie zwracając uwagi na to, po czym maszeruje. Lecz ja wiedziałam, że spostrzegła mój wzrok. Znowu poczułam niepokój i ponownie zapragnęłam porozmawiać o tym z kimś mądrzejszym ode mnie.

Trzy pokoje przygotowane dla dzieci i dla mnie znajdowały się w głębi dziedzińca. Te przeznaczone dla Guski, w których miała zamieszkać z pielęgniarką, mieściły się po prawej stronie. Cztery pokoje leżące na lewo od wejścia mieściły bibliotekę i biuro Konroya Zobaka, jadalnię z niszą kuchenną i aneks gospodarski.

Do każdej sypialni przylegała mała łazienka. Komuś, kto przywykł do luksusu panującego na planetach wewnętrznych, mogło się wydawać, że jest to dom nieprzytulny, zaprojektowany wyłącznie z myślą o funkcjonalności. Ja jednak uważałam, że jest miły. A otwarty dziedziniec zapewniał przyjemne miejsce do wypoczynku. Moim zdaniem dom był o wiele wygodniejszy od zatłoczonych kwater, w których mieszkałam przez całe życie.

Miałam dość zajęcia, umieszczając dzieci w ich nowych siedzibach, a potem udzielając pomocy pielęgniarce, towarzyszącej Gusce. Żonie Konroya podano środki uspokajające, tak że ruszała się jak we śnie i apatycznie wykonywała polecenia pielęgniarki. Ta ostatnia zwierzyła mi się w tajemnicy, że Guska zareagowała atakiem hysterii na sugestię, by pozostała z rodziną komendanta. W tej sytuacji lekarz uznał, że lepiej będzie pozwolić jej, by zrobiła to co chce, i mieć nadzieję, że spokój tego domu wpłynie na nią kojąco.

Gdy położyłyśmy Gentlefemę do łóżka, z miejsca zapadła w głęboki sen. W przekonaniu, że nic nie zakłóci jej spokoju, razem z pielęgniarką zabrałyśmy się do rozpakowywania i układania jej rzeczy.

Zamówiliśmy posiłek u służącego–roboty i stwierdziliśmy, że jedzenie jest smaczne. Oomark jadł z wielkim apetytem; zauważyłam też, że Bartare, która zwykle dziobała jedzenie i mitrężyła czas nad talerzem, dopisuje apetyt niemal tak znakomity, jak jej bratu. Wylądowaliśmy wczesnym popołudniem. Teraz ciemności zaczynały gęstnieć, zaproponowałam więc, żeby dzieci poszły do łóżek.

I znowu przyjemnie zaskoczyło mnie to, że żadne z nich nie zaprotestowało, a wręcz przeciwnie - odniosłam wrażenie, iż chętnie na to przystały. Otulając Oomarka pościelą, zdumiałam się jeszcze bardziej, kiedy chłopiec chwycił moją rękę i ścisnął ją

mocno, a potem spojrzał mi prosto w oczy, jakby prosząc o wsparcie.

- Nie pójdziesz sobie? Zostaniesz tutaj?

- W tym pokoju, Oomark? Chcesz, żebym została z tobą, dopóki nie zaśniesz?

Nigdy przedtem żadne z nich nie zdradzało podobnych pragnień. Napawała mnie otuchą myśl, że Oomark tak bardzo zbliżył się do mnie, choć bolałam nad tym, że spowodowała to śmierć jego ojca.

Przez chwilę wydawało mi się, że przyjmie moją propozycję. Lecz potem puścił moją rękę i potrząsnął głową.

- Po prostu tutaj... w tym domu. - Uniósł się na łokciach. Bartare mówi... Ona cię nie lubi.

- Bartare nie lubi mnie? - zdziwiłam się, choć podejrzewałam, że mówiąc "ona" nie miał na myśli swojej siostry.

- Bartare nie polubi cię, jeśli Ona nie będzie cię lubiła - odparł. Bartare...

- Wołałeś mnie, braciszku?

W drzwiach stała Bartare otulona nocną koszulą, z rozpuszczonymi włosami spływającymi na ramiona.

- Nie.

Odwrócił gwałtownie głowę, jakby jego siostra była ostatnią rzeczą, jaką chciał widzieć.

- Jestem śpiący. Idź sobie! Chcę spać.

Miałam dość rozumu, żeby w tej sytuacji nie naciskać go dalej, wygładziłam więc tylko kołdrę i życzyłam mu dobrej nocy. Bartare wycofała się, zanim podeszłam do drzwi, lecz okazało się, że czeka na mnie przy wejściu.

- Oomark jest jeszcze małym chłopcem, sama wiesz - powiedziała takim tonem, jakby między nimi była duża różnica wieku.

- Przestraszonym małym chłopcem.

- On nie musi się tu niczego bać.

Proste zdanie, lecz nacisk położony na słowo "on", spojrzenie, jakie rzuciła mi spod krechy brwi, nie pozostawiały wątpliwości: ostrzegła mnie. I była w tym tak niezmierna bezczelność, że zatrwożyłam się, ponieważ w owej chwili, choć tylko na sekundę czy dwie, nasze role się odwróciły. To nie ja byłam jej opiekunką, lecz ona kontrolowała mnie.

Myślę, że szybko wyczuła, iż popełniła błąd i posunęła się odrobinę za daleko, bowiem to coś obcego, czym otulała się niby płaszczem, zniknęło, i znowu stała

przede mną mała dziewczynka.

- Dziwnie tu... - Oderwała ode mnie wzrok i rozejrzała się po dziedzińcu, jak gdyby starając się wywołać wrażenie, że ona również boi się nieco tego obcego świata. Tylko że ta zmiana nastroju nastąpiła zbyt późno i była zbyt sztuczna.

Panowałam jednak nad sobą i nie dałam po sobie poznać, że spostrzegłam jej błąd.

- Ale to przyjemna planeta, sądząc z tego, co zdążyliśmy zobaczyć.

- Zabiła mojego ojca, pamiętasz?

- To był wypadek. - Nie potrafiłam jej zrozumieć, i, być może, nie byłam dla niej równorzędnym partnerem.

- Tak, wypadek - przytaknęła. I znowu, choć może sprawiła to nadmierna podejrzliwość, wyczułam groźbę w jej słowach.

- Chcesz iść do łóżka? Wydawało mi się, że jesteś zmęczona...

- Jestem - przytaknęła i w jej głosie zabrzmiała ulga, jak gdyby była mi wdzięczna za tę sugestię.

Znowu była małą dziewczynką, kiedy układałam ją w łóżku, tak jak Oomarka.

- Ty też się teraz położysz? - zapytała, gdy zbierałam się do wyjścia.

- Jeszcze małą chwilę...

- Ale nie pójdziesz nigdzie daleko?

- Posiedzę na dziedzińcu.

Nie wierzyłam, że się o mnie niepokoi. Raczej chciała wiedzieć gdzie będę, by zaspokoić własną ciekawość.

Usiadłam w miejscu, z którego mogłam widzieć drzwi do pokoju dzieci. Zanim jednak to zrobiłam, włączyłam alarm w bramie dziedzińca. Nic nie mogło wejść ani wyjść bez zaalarmowania robota-wartownika i włączenia sygnału dźwiękowego. Tak naprawdę nie wiedziałam, dlaczego to zrobiłam, ale czułam się bezpieczniejsza, kiedy alarm działał.

W świetle wielkiego i intensywnie żółtego księżyca, który oświetlał Dylana nocą, kryształowe płyty w posadzce podwórza migotały i lśniły, jakby pod każdą z nich płonęła mała lampka. Widziałam światło nocnej lampy palącej się w pokoju Guski; wiedziałam, że pielęgniarka postanowiła spędzić z nią część nocy.

Lecz choć starałam się myśleć spójnie i logicznie o wszystkim, co wydarzyło się od chwili lądowania, robiłam się coraz bardziej i bardziej śpiąca, aż w końcu wstałam chwiejnie z krzesła i powlokłam się do swej sypialni.

Weszłam do pokoju z nieco przechyloną głową, tak że tylko kątem oka

dostrzegłam jakiś ruch. Lecz kiedy szarpnęłam głową, żeby spojrzeć prosto, nie zobaczyłam niczego z wyjątkiem lustra. I przekonałam sama siebie, że tym, co mnie tak zaskoczyło, było moje własne odbicie.

Zdarzenie to rozbudziło mnie i raźniej zabrałam się do przygotowania łóżka. I nic się nie wydarzyło, dopóki nie usiadłam przed lustrem, by rozczesać włosy.

Zobaczyłam śniadą skórę, włosy i zielone oczy, które w tym lustrze wydawały się większe i bardziej zielone niż kiedykolwiek przedtem. Uważnie przyglądałam się temu, co widziałam, wspominając słowa Lazka Volka odnoszące się do mojego wyglądu i zastanawiając się, czy mówił prawdę, czy rzeczywiście mam powody, by twierdzić, że ładnie wyglądam. Taka myśl nie jest obojętna żadnej kobiecie.

Nagle moje odbicie zniknęło, jakby ruch grzebienia rozczesującego gęste loki stał je z lustra. I zobaczyłam...

Być może sam nagi szkielet przypominał mój, lecz to, co patrzyło na mnie z lustra przybrawszy moją pozę, nie było mną. Zgroza sprawiła, że zamarłam w bezruchu, nie mogąc wydobyć z siebie żadnego dźwięku, choć wzbierało we mnie pragnienie krzyku. Gładka, śniada skóra, którą widziałam wcześniej, zrobiła się zwiędła, pomarszczona i usiana ciemnymi plamami. Zęby zniknęły i usta skurczyły się w nierówny, poszarpany otwór, a nos niemal dotykał podbródka. Włosy stały się białe i rzadkie, zwisały wiotkimi, cienkimi pasmami nad pobrużdżonym i sfałdowanym czołem. Oczy były tylko ciemnymi, pustymi jamami - a jednak widziałam!

Usłyszałam zdławiony okrzyk i zobaczyłam, że potwór w lustrze drży i chwieje się, odzwierciedlając moje ruchy, gdy kołysałam się w przód i w tył na krześle. Grzebień wysunął mi się z ręki i spadł ze stukiem na toaletkę. Ów stłumiony odgłos przerwał iluzję. Zniknęła, a ja, z sercem bijącym tak szybko i mocno, że aż się przestraszyłam, wpatrywałam się wytrzeszczonymi oczami w to, co zawsze widziałam w każdym lustrze. Wizja, senna mara, czymkolwiek to było, zniknęła. Lecz gdy siedziałam, osłabiona i drżąca od wypełniającego mnie uczucia zimna, wiedziałam, że widziałam to. To? Co właściwie widziałam? I dlaczego?



## Rozdział trzeci

Wyczerpana do cna wpełzłam do łóżka i leżałam tam wstrząsana dreszczami, próbując zrozumieć tę iluzję, ponieważ nie miałam wątpliwości, że była to iluzja. Tylko niezwykła kombinacja światła i cienia w tym pokoju mogła wytłumaczyć pojawienie się tej ohydnej istoty w lustrze. A ja z pewnością nie wdychałam dymu marzeń ani nie zażywałam żadnego z halucynogennych narkotyków. Gdy otulałam się szczelniej kołdrą z uczuciem, że nigdy już nie zdołam się ogrzać, równocześnie szukałam w pamięci jakiejś wskazówki, która pomogłaby wyjaśnić to, co naprawdę zaszło w ciągu tych kilku chwil.

Biblioteka Lazka Volka zawierała liczne sprawozdania z niezwykłych eksperymentów przeprowadzonych na wielu światach. Przeczytałam dość, by wiedzieć, że coś, co wydaje się “magią”, całkowicie niewytłumaczalną dla jakiegoś gatunku czy rasy, może być czymś zwyczajnym dla istot zamieszkujących w innym miejscu galaktyki. Dziwne rezultaty osiągnęte przez esperów potrafiły wprowadzić w zakłopotanie nawet członków ich własnej społeczności...

Esperzy! Czyżby komendant nie mylił się w swych przypuszczeniach co do Bartare, a moje przeżycie było skutkiem projekcji jej myśli, zmuszającej mnie do ujrzenia siebie taką, jaką ona sama chciałaby widzieć?

Leżałam przerażona. Do głowy przychodziły mi jeszcze inne niesamowite wyjaśnienia, ale zdecydowanie je odrzuciłam. Wiedziona impulsem wstałam z łóżka i otuliłam się płaszczem. Owa nieprzeparta senność, która opanowała mnie wcześniej, ustąpiła.

Teraz czułam się jak każdego dnia rano, kiedy budziłam się po dobrze przespanej nocy.

Wsunęłam stopy w luźne pantofle i gdy podeszłam do drzwi, żeby wyrzeć na dziedziniec, po raz drugi uchwyciłam kątem oka jakiś ruch. Lecz tym razem, gdy skupiłam wzrok, to coś, co się poruszało, nie zniknęło. Zobaczyłam małą postać przemykającą w cieniu pod wewnętrzną ścianą od jednego wejścia do następnego.

W pierwszej chwili chciałam zawołać. Lecz potem przypomniałam sobie robota-wartownika, którego ustawiłam w zewnętrznej bramie, a poza tym pragnęłam zobaczyć jak najwięcej bez ujawniania swojej obecności. Najciszej jak potrafiłam ruszyłam tą samą drogą, starając się, by pantofle nie klapały po posadzce.

Postać, za którą podążałam, dotarła do ostatnich wewnętrznych drzwi, tych od biblioteki. I tam przystanąła na tak długą chwilę, że zaczęłam się zastanawiać, czy znalazła się u celu. Potem, jakby upewniwszy się, że nie jest obserwowana, postać wychynęła z cienia i stanęła w smudze księżycowego światła. Bartare! W jakiś sposób wcale nie byłam zaskoczona. Nie miała na sobie koszuli nocnej, tylko swoją ulubioną zieloną sukienkę. Włosy były rozpuszczone, jak wówczas, kiedy kładłam ją do łóżka. Trzymała coś w obu rękach tak - mimo, że ów przedmiot sprawiał wrażenie małego i lekkiego - jakby to było dla niej coś niezmiernie cennego, co wymaga najwyższej troski. Wyciągnąwszy ręce nieco przed siebie uważnie badała wzrokiem wzór na posadzce.

Potem, najwidoczniej podjąwszy ważną decyzję, położyła trzymany przedmiot na jednej z kryształowych płyt ze starannością sprawiającą wrażenie, że jest zupełnie pewna tego, co robi.

Kiedy już ułożyła przedmiot pośrodku płyty, cofnęła się nieco, a jej drobne ręce zaczęły wykonywać gesty splatające się we wzór, który mnie zaniepokoił. Te gesty musiały mieć jakieś znaczenie, lecz we mnie budziły uczucie, jakiego doznaje człowiek szukający potrzebnego słowa, kryjącego się gdzieś w głębi świadomości.

Dochodził do mnie szmer słów, zbyt odległych i cichych, bym mogła je rozróżnić, a jednak z pewnością były to słowa. Przemawiając do czegoś, co ułożyła na płycie, a może tylko rzucając je w przestrzeń, Bartare zaczęła tańczyć. Tańcząc stawiała stopy na kryształowych płytach, omijając wszystkie pozostałe.

Ponieważ wzór pokrywał cały dziedziniec, a kryształowe płyty były oddalone jedna od drugiej, taniec wiódł ją z wolna do miejsca, gdzie stałam, ukryta w cieniach zalegających wejście do pracowni jej ojca. Teraz mogłam już rozróżnić poszczególne dźwięki, jednak wciąż nie wiedziałam, co znaczą. Było oczywiste, że Bartare recytuje melodyjnie, słowa układały się w rytmie obrzędowego powitania lub zaklęcia.

Zaklęcie! Skupiłam się na tym. Mogło to wiele wyjaśnić i choć niebezpieczne dla dziecka obdarzonego bujną wyobraźnią, przecież nie było czymś niezwykłym. Potrafiłabym przytoczyć setki przypadków, kiedy to dzieci, a szczególnie dziewczęta wkraczające w wiek młodzieńczy, tworzyły dla siebie wymaginowane światy, w których rządziły moce nie znane innym. Gdyby Bartare była esperem, nie zdając sobie z tego sprawy, w taki właśnie sposób mogłyby przejawiać się jej rozwijające się stopniowo zdolności.

Przerwała taniec niezbyt daleko ode mnie i odwróciła się twarzą ku rzeczy,

którą ustawiła na płycie zalanej księżycowym blaskiem. Wykonała jeszcze jeden gest, jak gdyby chwytając i przyciągając do siebie coś, co wydobywało się z tego przedmiotu. Zebrawszy niewidzialne utoczyła je w dłoniach, jak ktoś, kto z mokrej gliny robi kulę. Potem cisnęła to, celując w drzwi sypialni swej matki.

Jeszcze raz przyciągnęła tajemniczą moc z przedmiotu, utoczyła i rzuciła. Tym razem cisnęła nicość w drzwi Oomarka. Kiedy zaczęła po raz trzeci zbierać niewidzialne, nie miałam wątpliwości, że pośle to w kierunku mojego pokoju, i tak też się stało.

Gdy wykonała trzeci rzut, wyraźnie się odprężyła. Emanowało z niej poczucie bezpieczeństwa, takie samo, jakiego doznałam ja, kiedy zabezpieczyłam wejście na dziedziniec; jakby zaryglowała teraz drzwi, zapewniając sobie swobodę poczynania.

Podeszła do przedmiotu, wciąż uważając, by stąpać wyłącznie po kryształowych płytach, podniosła go i przytuliła mocno do siebie. Potem, dalej stawiając nogi tylko w wybranych miejscach, ruszyła ku zewnętrznej bramie dziedzińca.

Bez względu na to, jak bardzo wierzyła w to, co robi, przecież nie mogła pokonać robota-wartownika. Pole siłowe zatrzeszczało przed nią ostrzegawczo iskrami wyładowań, a sygnał alarmu sprawił, że krzyknęła cicho. Przystanęła, jej prawa ręka uniosła się, jakby rzucając czymś w to, co zagradzało jej drogę, lecz tym razem bez rezultatu. Pole siłowe nie wyłączyło się, alarm pojękiwał, a ja wybrałam tę chwilę, by się ujawnić.

- Bartare!

Wysunęłam się z cienia.

Zakreśliła się na pięcie, jej stopy ześlizgnęły się z kryształowej płyty, na której stała. Oczy zalśniły, jak u zapędzonego w kąt i przestraszonego zwierzęcia, a wargi rozciągnęły się, ukazując białe, drobne koniuszki zębów, gotowe kasać. Wyglądała tak, jakby spodziewała się jakiegoś ataku.

Poruszyła się i nieco odsunęła od strefy ostrzegawczej. Alarm dźwiękowy jak i pole siłowe wyłączyły się. Nie ruszyła ku mnie, lecz czekała, bym ja podeszła do niej. Jej ręce obejmowały mocno to, co trzymała, jakby ta rzecz musiała być chroniona przed wszystkimi innymi. I wtedy zobaczyłam, że jest to lalka-posążek, ubrana na zielono.

- Bartare... - Nie wiedziałam, co powiedzieć. I miałam pewność, że nie odpowie na żadne pytania, jakie mogłam teraz zadać. Pomyślałam, że jeśli nie będę

naciskała na wyjaśnienia, być może moje stosunki z nią poprawią się i zdobędę jej zaufanie. Nie miałam wątpliwości, że to, co widziałam, było jej tajemnicą. - Bartare... w nocy należy spać...

Zabrzmiało to nieprzekonująco, i nikt nie wiedział tego lepiej ode mnie.

- Więc śpij! - odcięła się. - Oni śpią... - Lekkim skinieniem głowy wskazała pokoje matki i Oomarka. - Dlaczego ty nie śpisz? Odniosłam wrażenie, iż to, że stoję przed nią, zbija ją z tropu, świadczy o niepowodzeniu.

- Nie wiem. Może dlatego, że jest to moja pierwsza noc na obcym świecie. Czy można mieć pewność, że nic się w człowieku nie zmieni, kiedy zstąpi na obcą ziemię? - Mówiłam do niej tak, jak mówiłabym do Lazka Volka.

- Wszystkie światy są obce, jeśli im się przyjrzeć.

Domyśliłam się, że nawiązuje do tego, co się tutaj wydarzyło, i skinęłam głową.

- To prawda, ponieważ nikt nie może spojrzeć oczami innej osoby i zobaczyć dokładnie to samo, co ona widzi. Coś, co ja nazywam kwiatem... takim jak ten... - i pochyliłam się, dotykając ręką kwiatów kształcie kielicha, rosnącego na pobliskiej grządce - ...ty możesz również tak nazywać, a jednak widzieć go inaczej... - Przerwałam, ponieważ kwiat, którego dotknęłam, zaczął przechodzić przerażającą transformację.

Miał barwę kości słoniowej. Teraz od miejsca, gdzie tak delikatnie dotknęły go moje palce, zaczęła rozprzestrzeniać się ciemna, niezdrowa plama. Kwiat wiadł, rozkładał się, po części już martwy, po części umierający, jakby moje dotknięcie zatrało go i zabiło.

Bartare roześmiała się głośno.

- Ja widzę martwy kwiat. A co ty widzisz, Kildo? Czy to samo? Czy widzisz śmierć wydobywającą się z twoich palców?

To mogła być halucynacja, lecz nie miałam pojęcia, co ją wywołało. Z pewnością nie był to przyjemny widok. Rozsądek kazał mi żywić nadzieję, iż rzeczywiście kwiat mógł być tak delikatny, że jakiegokolwiek dotknięcie szkodziło mu. Istniały wrażliwe na dotyk rośliny, choć nigdy nie słyszałam o żadnej, która byłaby tak wrażliwa, jak ta.

- Często widzisz śmierć, Kildo? Również w lustrach?

Zbliżyła się, z błyszczącymi oczami utkwionymi w moich, próbując wejrzeć w głąb mojej istoty, by zobaczyć strach, który mnie wypełnił, kiedy spjrzałam w lustro.

W owej chwili wierzyłam - nie, byłam pewna - że Bartare nie tylko wiedziała, co się wydarzyło, ale również dlaczego i jak. I nie mogłam powstrzymać pytania:

- Dlaczego, Bartare... i jak?

Znowu roześmiała się, ostro, nieco okrutnie, jak to czasami robią dzieci, kiedy nie mają nic do ukrycia i są zdecydowane postawić na swoim.

- Dlaczego? Ponieważ patrzysz, Kildo, i słuchasz, i chcesz zbyt wiele wiedzieć. Czy pragniesz spojrzeć w inne lustra, Kildo, i widzieć w nich zawsze to, co ci się nie podoba? Mogą wydarzyć się różne rzeczy... gorsze niż odbicie w lustrze.

Z wolna odwróciła się ode mnie i spojrzała na zalany księżycowym blaskiem dziedziniec. Potem odezwała się znowu, lecz nie do mnie. Kierowała te słowa w przestrzeń.

- Widzisz? - zapytała. - Kilda nie różni się niczym od innych. Nie ma potrzeby martwić się nią.

Zamilkła, jak gdyby czekając na odpowiedź. Potem cofnęła się o krok czy dwa, a z jej twarzy zniknął wyraz triumfu. Moja własna wyobraźnia podsunęła mi myśl, że dziewczynka została bezgłośnie zganiona, co zraniło jej miłość własną. Jeśli rzeczywiście tak było, Bartare mogła odreagować swój zawód i gniew na mnie, tym bardziej, że byłam tego świadkiem.

Lecz Bartare na swoją porażkę zareagowała jak dziecko. Utraciła nagle tę dziwną, niepokojącą dojrzałość. Jej twarz wykrzywiła się znajomym wyrazie przygnębienia i złości, gdy krzyknęła piskliwie:

- Nienawidzę cię! Spróbuj jeszcze raz mnie szpiegować, a pożałujesz! Pożałujesz! Pożałujesz! Zobaczysz!

Odwróciła się i uciekła, teraz już nie zważając na to, po czym biegnie, skupiona wyłącznie na dotarciu do drzwi swojego pokoju. W chwilę później te drzwi zamknęły się za nią z trzaskiem.

Stałam przez długą chwilę, spoglądając na podwórze, a potem pochyliłam się, by zbadać uważniej kwiat, którego dotknęłam. Dziedziniec był z pewnością pusty, a z kwiatu pozostało tylko trochę czarnej, rozkładającej się materii. Zerwałam go wraz z łodygą i zabrałam ze sobą. Lecz zanim wróciłam do swojego pokoju, zajrzałam do Oomarka.

Spał, oddychając ciężko. Kiedy zobaczyłam, w jakim jest stanie, skierowałam się z kolei do pokoju Guski Zobak. W przyćmionym świetle nocnej lampki zobaczyłam pielęgniarkę skuloną na sofie, również śpiącą, podczas gdy Guska leżała

wyciągnięta bezwładnie na łóżku, jednak niewątpliwie żywa. Wszyscy oni wyglądali tak, jakby zażyli środki nasenne.

W ręce miałam martwy kwiat, w głowie wyraźne wspomnienie tego, co widziałam na dziedzińcu, przede wszystkim zaś miałam nieprzeparte pragnienie naradzenia się z kimś. Zdecydowałam, że jeśli komendant nie postąpi zgodnie ze swoją sugestią, by skorzystać z pomocy parapsychologa, sama zrobię wszystko, żeby doprowadzić do takiego spotkania.

Z tą myślą w głowie położyłam się do łóżka. Sądziłam, że jestem zbyt zdenerwowana, żeby zasnąć, ale myliłam się, ponieważ ostatnią rzeczą, jaką zapamiętałam, był moment, kiedy wyciągałam się na łóżku i okrywałam kołdrą.

Nawet teraz nie potrafię wyjaśnić tego, co wydarzyło się rano. Obudziłam się z wrażeniem, że miałam jakiś znaczący sen - i to wszystko. Pamięć nocnych wydarzeń i pragnienie znalezienia pomocy zniknęły z mojego umysłu. Pozostało tylko dręczące uczucie na wpół zatartych wspomnień, które dokuczało mi w ciągu dnia, konieczność uczynienia czegoś, zobaczenia się z kimś - jednak nie potrafiłam tego sprecyzować.

Gentlefema Piscov przyszła do nas z samego rana, a ja stwierdziłam, że jej obecność działa na mnie kojąco. Było oczywiste, że lubi i rozumie dzieci. Tego dnia i Oomark i Bartare zachowywali się jak zwyczajne dzieci. Gentlefema Piscov zabrała nas na wycieczkę po mieście. Okazało się, że jest to dzień poprzedzający tygodniowe obchody święta narodowego, upamiętniającego lądowanie statku Pierwszych Kolonistów. I wkrótce zostaliśmy wciągnięci w wir uroczystości organizowanych przez rząd.

Byłam świadkiem, jak Oomark nawiązał przyjacielskie stosunki z dwoma chłopcami, mniej więcej jego równoletkami. Bartare, zawsze uprzejma i o manierach, które robiły ogromne wrażenie na dorosłych, choć nie na jej rówieśnikach, nie mogła poszczycić się takimi sukcesami towarzyskimi.

Stopniowo, jak człowiek, który z trudem zbiera i dopasowuje do siebie fragmenty snu, przypomniałam sobie w końcu tamtą scenę na dziedzińcu. Co jednak dziwne, nie trwożyła mnie teraz, ani też nie potrafiłam traktować jej poważnie. Uznałam, że natknęłam się na Bartare uczestniczącą w jakiejś niezmiernie skomplikowanej, fantastycznej zabawie, i pozwoliłam, by mój zdrowy rozsądek zachwiał się pod wrażeniem jej występu. Wdawało mi się, że w przyszłości uzyskalabym nad nią większą kontrolę, gdybym takich występów nie uważała za nic innego poza zwyczajną, dziecięcą zabawą. Te moje odczucia stanowią dowód, że

człowiek może podlegać wpływom, nie zdając sobie z tego sprawy.

Zachowanie Bartare, która zaprzestała nocnych wędrówek i dziwnych rozmów, tym bardziej kazało całą sprawę traktować jako nieistotną. Jej nieco niechętna postawa wobec innych dzieci nie budziła mojego niepokoju, bowiem przypominała mi w tym mnie samą, kiedy byłam w jej wieku. Uważałam też, że dzieci nie należy zmuszać do zachowań, które dorośli uznają za "normalne", bowiem może to tylko zrazić je i rozdrażnić.

Udało mi się zresztą znaleźć płaszczyznę porozumienia z Bartare. Była przy tym, jak rozpakowywałam rejestrator, otrzymany od Lazka Volka, i odniosłam wrażenie, że ją zainteresował. Opowiedziałam jej o wielkiej bibliotece Volka i o mojej tam pracy. Powiedziałam też, iż mam nadzieję, że zdołam wzbogacić tę bibliotekę o ile uda mi się tutaj zdobyć materiał na tyle niezwykły, że będzie tego wart. Wyjaśniłam, że muszę dokonywać starannej selekcji, ponieważ ograniczała mnie liczba taśm, które mogłam wysłać.

Sądzę, że jej zainteresowanie było udawane i miało na celu udobruchanie mnie - jeden z najstarszych forteli na świecie. Kiedy wystąpiła ze swoją propozycją ucieszyłam się jednak, że oto znalazłam coś, co pomoże mi nawiązać z nią lepszy kontakt. Poza tym naprawdę zaintrygowała mnie jej sugestia, żebyśmy odwiedziły ruiny, do których udał się na inspekcję jej ojciec przed owym tragicznym wypadkiem.

Pomysł ten miał jednak małą szansę na realizację. Przede wszystkim, ruiny znajdowały się w głębi nie zamieszkanego terytorium, w sporej odległości od Tamlinu, co oznaczało konieczność nocowania poza domem, a wszystkie kwatery zajmowali pracujący tam archeolodzy. Wyjaśniłam to Bartare, która, chociaż sprawiała wrażenie zawiedzionej, zasugerowała, że bliżej miasta mogą znajdować się inne, godne uwagi miejsca.

Tak dobrze - o wiele za dobrze, jak na dziecko - ukrywała swe prawdziwe zamiary, że nabrałam przekonania, iż chce tylko zobaczyć, jak zbieram materiały do biblioteki. I tak oto dryfowałam ku przeznaczeniu w oparach samozadowolenia.

Guskę Zobak również otaczała mgła. Lecz jej stan, a przynajmniej tak się wówczas wydawało, był o wiele poważniejszy. Potrafiła tylko leżeć i drzemać. Jakakolwiek próba wyrwania jej z letargu kończyła się atakiem hysterii. Po dwóch takich atakach lekarz poddał się. Jak długo pozostawała w półśnie (którego nie wywoływały już środki nasenne), tak długo była posłuszna i podatna na sugestie. Próba przebudzenia doprowadzała ją do stanu, który według lekarza zagrażał jej

zdrowym zmysłem.

W końcu przyznał, że nie potrafi jej pomóc, i że ten przypadek wymaga wiedzy i kuracji niedostępnych na Dylanie. Tak więc uznano, iż musimy odlecieć pierwszym statkiem, który będzie mógł zabrać nas z powrotem na Chalox. Kłopot polegał na tym, że żaden taki statek nie zawijał do portu, choć w miarę, jak mijały dni, co raz to jakiś frachtowiec czy transportowiec podchodził do lądowania w drodze ku innym portom przeznaczenia.

Oomark był szczęśliwy w towarzystwie nowych przyjaciół. Zaczął też chodzić do szkoły przy kosmoporcie, gdzie szybko się zaaklimatyzował. Odnosiłam wrażenie, że jest bardziej beztroski niż kiedykolwiek przedtem. W domu bywał rzadko, spędzając większość czasu z kolegami, lecz uważałam to za rzecz zupełnie naturalną i korzystną dla niego. Towarzystwo rówieśników pozwalało mu bowiem nabrać pewności siebie i wyzwolić się spod dotychczasowej dominacji Bartare. A i dom, gdzie ze względu na Guskę musiała panować cisza i spokój, nie był odpowiednim miejscem dla małego i żywego chłopca.

Bartare tak gwałtownie sprzeciwiała się pójściu do szkoły, że postanowiłam wziąć na siebie obowiązki jej nauczyciela, wiedząc, że tego właśnie chciałaby Guska. Dziewczynka miała bystry i chłonny umysł, taki, który najlepsze wyniki osiągał w samodzielnej pracy pod umiejętnym kierownictwem, nie zaś w narzuconym z góry systemie nauczania obowiązującym w normalnych szkołach.

Nie potrafiłam jej polubić. Nieustannie odnosiłam wrażenie, że Bartare ledwie toleruje, niekiedy ze zniecierpliwieniem, tych, którzy ją otaczają. Lecz szanowałam jej zdolności. A kiedy przekonałam się, że nie przejawia już chęci do ekscentrycznych zabaw, poczułam się przy niej o wiele swobodniej.

Nie ustawała w staraniach, by znaleźć dla mnie coś, co mogłabym zarejestrować z przeznaczeniem dla zbiorów Volka, i często wracała do tego tematu, co rusz to proponując coś nowego. W końcu, może dlatego, że byłam zmęczona i nieco zawstydzona ciągłym odrzucaniem jej przedstawianych z entuzjazmem pomysłów, zgodziłam się poświęcić trochę taśmy na zapis wizyty u ługraanów.

Kiedy odkryto Dylana, stwierdzono, że duże zwierzęta spotyka się na tej planecie zadziwiająco rzadko, a jeden z raportów Zwiadu sugerował nieśmiało, że zostały one rozmyślnie wytępione w odległej przeszłości. Stąd też gościom pokazywano zawsze tych kilka okolic, gdzie żyła rodzima fauna. Jedną z nich było miejsce, które dzieci upodobały sobie na urządzenie pikników - Dolina Ługraanów.



Same natomiast ługraany zbijały z tropu i wprawiały w zakłopotanie badających je naukowców. Przede wszystkim, każda próba przetransportowania któregoś z tych stworzeń poza obręb doliny kończyła się jego śmiercią. Próby ustalenia, co powodowało taki stan rzeczy, spełzły na niczym, bowiem w ciałach nigdy nie wykryto żadnych zmian, nawet jeśli sekcje przeprowadzano po kilku minutach. Wydano zatem zakaz zbliżania się do ługraanów. Można je było natomiast obserwować ze skalnych półek ciągnących się nad ich siedzibami.

Filmowano je już, oczywiście, i byłam pewna, że Lask Volk ma takie nagrania w swoich zbiorach. Ale ługraany były jedynymi godnymi uwagi przedstawicielami miejscowej fauny, a ja mogłabym wypróbować moje umiejętności, i przy okazji sprawić Bartare przyjemność, oraz - przyznałam to przed sobą-jeszcze bardziej zainteresować ją tym, co robię.

Wydawało się, że szczęście nam sprzyja, bowiem grupa rówieśników Oomarka ze szkoły wybierała się właśnie do ługraanów. W takiej wycieczce uczestniczyli również rodzice i inni członkowie rodziny, jeśli sobie tego życzyli. Tak więc Bartare miała znakomity powód, żeby obstawać przy tej wyprawie.

Jednak Oomarka wcale to nie ucieszyło. Kiedy powiedziałam mu o tym, spojrzał na mnie, po raz pierwszy od wielu dni, takim samym wzrokiem jak dawniej. Z jego twarzy zniknął wyraz ożywienia, wydał dolną wargę i spojrzał krzywo na siostrę.

- Ty chcesz tam iść - powiedział, bardziej do niej niż do mnie.

Jego ton sprawił, że słowa te zabrzmiały jak oskarżenie.

- Oczywiście. Kilda zrobi nagranie...

- To nie jest miejsce odpowiednie dla ciebie! - Teraz był już otwarcie wrogi. - Nie pozwól jej tam pójść... - zwrócił się do mnie.

Wyraz napięcia na jego twarzy zupełnie nie przystawał do sytuacji. Mogło się wydawać, że obserwuje z rozpaczą, jak wszystko co zdobył, przyjaźń i wolność, zagrożone zostaje przez siłę, której nie potrafi pokonać.

Nie mogłam mu się sprzeciwić. Jeśli dla Oomarka było to tak ważne, powinniśmy mu ustąpić. Mogłyśmy pojechać do Doliny Ługraanów same. Powiedziałam to i na jego twarzy pojawiła się ulga, która zniknęła, gdy spojrzał na siostrę.

Podążyłam za jego wzrokiem. Cień, jaki ujrzałam na jej twarzy, wywołał ukłucie dawnego niepokoju. W jakiś sposób Oomark zebrał się na odwagę, jak gdyby

tym razem z moją pomocą zamierzał przeciwstawić się Bartare.

- Chcesz pojechać tam sam, bez nas? - zapytała Bartare. Wypowiedziała te słowa wolno, każde z osobna, nadając im przez to wagę większą, niż wymagało tak proste pytanie.

Oomark zaczerwienił się, a potem zbladł. Lecz nie ustąpił.

- Tak... tak...

Bartare uśmiechnęła się.

- Zatem niech będzie tak, jak ty chcesz.

Oomark odetchnął, odwrócił się i wybiegł na dziedziniec, jak gdyby był już spóźniony do szkoły i musiał dotrzeć tam - albo uciec od nas - tak szybko, jak to tylko możliwe. Bartare spojrzała na mnie, wciąż z uśmiechem na ustach.

- Zmieni zdanie, zobaczysz. A ty powinnaś zawiadomić Gentlehomo Largrace'a, że pojedziemy z nimi.

- Nie, nie tym razem. Jeśli Oomark chce tam pojechać tylko ze swoimi rówieśnikami, to lepiej pozwolić mu na to.

Potrząsnęła głową.

- Będzie chciał z nami, zobaczysz. Poczekaj, a zobaczysz.

W tej pewności siebie było coś, co sprawiło, że w spowijającym mnie od kilku dni kokonie samozadowolenia i akceptacji pojawiła się pierwsza szczelina. Gdzieś w głębi poczułam się poruszona. Wspomnienie lustra i czegoś, co w nim zobaczyłam...

Uśmiech Bartare zniknął. Gdy nasz wzrok się skrzyżował, na jej twarzy pojawił się wyraz niepokoju.

- To nie ma żadnego znaczenia - powiedziała pośpiesznie. Chodź, proszę, miałyśmy pójść do Vorrigha obejrzeć wietrzne obrazy...

I uczyniła coś, co robiła niezmiernie rzadko: wsunęła swoją rękę w moją. Bartare nie lubiła być dotykana, czego nauczyłam się na początku naszej znajomości i starannie przestrzegałam. W jej przypadku świadome szukanie fizycznego kontaktu było czymś naprawdę wyjątkowym.

Poszliśmy do salonu wystawowego Vorrigha i Bartare na pozór była urzeczona tym, co tam zobaczyła. Grała swoją rolę małej dziewczynki. Lecz ja się już ocknęłam i znowu stałam się czujna, tak samo czujna, jak tamtej nocy na dziedzińcu. Kimkolwiek była Bartare - a ja zaczynałam się zastanawiać, czy kiedykolwiek zdołamy się tego dowiedzieć - to z pewnością nie normalnym dzieckiem. I teraz, przypomniawszy sobie jej występ na dziedzińcu, uznałam go za tak niepokojący, że

zapraǳnęłam podzielić się wszystkimi moimi wątpliwościami, przypuszczeniami i podejrzeniami z kimś takim jak Lazz Volk, z człowiekiem, który zna wszechświat i ma otwarty umysł.

Dlaczego zapomniałam o tym, że chciałam się skontaktować z parapsychologiem? Dlaczego komendant nigdy nie zrealizował swojej sugestii w tej sprawie? Czyżby Bartare posiadała jakąś nieznaną, dotychczas nie odkrytą moc, pozwalającą jej uspić myśli tych, na których chciała wpłynąć?

Znałam odpowiedź na to pytanie. Lecz nie wiedziałam, w jaki sposób to robiła. A dopóki się tego nie dowiem, lepiej będzie zagrać rolę bezkrytycznej towarzyszki w tym przedstawieniu według jej własnego scenariusza.

Nie wątpiłam już teraz, że gdyby bardzo chciała udać się do Doliny Lugraanów, Oomark nie potrafiłby się jej przeciwstawić. Lecz jego pragnienie, by trzymać się od siostry tak daleko, jak to tylko możliwe, budziło moją ogromną sympatię. Być może, dopóki właśnie tutaj, na Dylanie, nie pozwoliły na to okoliczności, nigdy wcześniej nie potrafił wyzwolić się spod jej kontroli.

Kiedy już otrząsnęłam się z narzuconego mi otępienia, moja wyobraźnia zaczęła działać. Musiałam odzyskać nad nią kontrolę, powiedzieć sobie stanowczo, iż powinnam pozostać czujna, lecz że nie mogę wierzyć w nadprzyrodzoną moc Bartare, dopóki nie uzyskam namacalnego dowodu.

I uzyskałam go w taki sposób, że natychmiast ogarnęły mnie złe przeczucia, a moje wewnętrzne sygnały ostrzegawcze rozdzwoniły się, zwiastując niebezpieczeństwo.

Wróciłyśmy z miasta, rozmawiając o tym, co tam widziałyśmy. Lecz Oomark wrócił do domu przed nami. Jego zwykle krągła twarzyczka wydawała się zapadnięta, a skóra, opalona lekko słońcem Dylana, była chorobliwie blada.

Pospieszyłam tam, gdzie opierał się o ścianę, z rękoma przyciśniętymi do brzucha, z czołem i górną wargą zroszonymi kropelkami potu. Jego usta poruszały się tak, jak gdyby starał się opanować mdłości.

Zanim do niego dobiegłam, odepchnął się od ściany i spojrział na siostrę.

- Cofnij to - cofnij to, co Ona zrobiła Griffy'emu!

W tym okrzyku pobrzmiwał ostry ton zbliżającej się hysterii, taka sama dzika nuta, jaką dwukrotnie słyszałam w głosie jego matki, kiedy lekarz próbował ją rozbudzić.

- Nic nie zrobiłam - odparła Bartare.

- Nie musiałaś - Ona zrobiła! Każ jej przestać! Griffy... Griffy jest dobry. On jest... - Powieki Oomarka zacisnęły się i po policzkach popłynęły łzy. - Dobrze, dobrze! Możesz przyjść... możesz iść... gdziekolwiek chcesz. Ja... ja chyba zwymiotuję!

Jęknął. Wzięłam go na ręce i pobiegłam najszybciej jak mogłam do łazienki. W tej chwili nie miało znaczenia, co Bartare mogła powiedzieć albo zrobić w odpowiedzi na jego wybuch.

## Rozdział czwarty

Obmyłam spoconą twarz Oomarka. Wymiotował długo i gwałtownie. Teraz siedział na skraju łóżka, zgięty w pół, wpatrując się w podłogę. Pozwolił mi zaopiekować się sobą, a kiedy chciałam odnieść ręcznik do łazienki, chwycił mnie za tunikę. Usiadłam więc obok niego, położyłam rękę na tych drobnych barkach i przytuliłam go do siebie.

- Możesz mi o tym opowiedzieć? - zapytałam. Było oczywiste, że doznał szoku. I jeśli Bartare ponosiła za to odpowiedzialność...

W owej chwili pragnęłam w najbardziej prymitywny sposób wymierzyć za to karę własnymi rękoma.

- Powiedziała, że będę żałował... - Słowa brzmiały niewyraźnie. - I żałuję. Ale nie Griffy! Nie musiały robić tego Griffy'emu! I znowu w jego głosie pojawiła się ta histeryczna nuta.

Nie wiedziałam, co robić. Co byłoby lepsze - naciskać na niego, by opowiedział o tym, co się wydarzyło, czy zrobić wszystko, by o tym zapomniał i poprosić pielęgniarkę o coś na uspokojenie?

Zadecydował za mnie, odwracając się, tak że znowu zobaczyłam jego zapłakaną, bladą twarz.

- Griffy... on mieszka z Randulfem. On jest poohkim - prawdziwym, żywym poohkim, nie tylko wypchanym, jak ten, którego miałem, kiedy byłem mały. Wszędzie chodzi z Randulfem, nawet do szkoły. Tylko nigdy nie chciał przyjść tutaj, ponieważ wiedział, rozumiesz - wiedział!

- Wiedział co?

Poohki były obcą formą życia, stworzeniami, których małe, pokryte futrem ciało wywoływało natychmiastowe pragnienie, by je pieścić i przytulać - idealnie nadawały się na zwierzęta domowe. Zaskoczyło mnie to, iż jakieś dziecko tak daleko od ich rodzimego świata posiada poohka, bo słyszałam, że są bajecznie drogie.

- Wiedział - powtórzył z emfazą Oomark. - Wiedział o niej.

- O twojej siostrze?

Chłopiec potrząsnął głową.

- Och, może wiedział o Bartare... ponieważ Ona i Bartare... one są zawsze razem. Ale to Ona jest zła! I Ona wyrządziła Griffy'emu krzywdę! Wiem, że to

zrobiła. Jest z nim źle, bardzo źle. I może nawet lekarz nie zdoła mu pomóc. Zrobiła mi to na złość, bo nie chciałem, żeby Bartare pojechała z nami. Ale przecież nie musiała krzywdzić Griffy'ego - on nigdy nie zrobił nikomu nic złego i jest najmilszym stworzeniem, jakie kiedykolwiek widziałem! - Jego drobne ciało zaczęło dygotać, a ja przestraszyłam się gwałtownością tego ataku. Uwolniłam jedno ramię i nacisnęłam dzwonek przywołujący służącego-robotę. Kiedy maszyna wtoczyła się do sypialni, nagrałam wiadomość dla pielęgniarki.

Razem uspokoiłyśmy go i położyłyśmy do łóżka. Potem poszłam poszukać Bartare. Znalazłam ją w bibliotece, przy włączonym czytniku, słuchającą z należnym skupieniem lekcji historii. Nacisnęłam wyłącznik i stanęłam przed nią.

- Oomark jest przekonany, że w jakiś sposób zrobiłaś krzywdę poohkiemu jego przyjaciela.

Przyszłam zdecydowana na zadawanie wnikliwych pytań i uzyskanie jasnych odpowiedzi.

Spojrzała na mnie bezmyślnie, jak gdyby całkowicie zaskoczona lub przestraszona.

- Jakże mogłabym to zrobić, Kildo? Nigdy nawet nie widziałam żadnego poohka. I przecież cały dzień byłam z tobą.

- Oomark wciąż mówi o jakiejś kobiecie, za której czyny ty jesteś odpowiedzialna... - nie ustępowałam, zdecydowana, że tym razem nie pozwolę się zbyć.

- Oomark to jeszcze dziecko - odpowiedziała. - Zdarzało się, że go straszyłam, kiedy źle się zachowywał. Mówiłam mu, że Zielona Pani przyjdzie po niego i że zrobi wszystko, co jej każe. Teraz myśli, że Zielona Pani naprawdę istnieje i...

- I ty dalej igrasz jego lękami, by go sobie podporządkować?

- Cóż... czasami...

Dość prawdopodobne wyjaśnienie, pozornie tłumaczące wszystkie okoliczności. Gdybym nie zobaczyła i nie podsłuchiwała tego wszystkiego, co wzbudziło moje podejrzenia, pewnie bym jej uwierzyła. Co teraz robić - czy powinnam udać, że przyjmuję jej wyjaśnienia i czekać, aż się ostatecznie zdradzi? Czy też powinnam od razu zadzwonić do parapsychologa i umówić się na spotkanie?

- Nie robiłabym tego na twoim miejscu.

Patrzyła mi prosto w oczy, kiedy to mówiła. Na jej ustach igrał cień nieprzyjemnego uśmiechu.

- Ale rozumiesz, Bartare, ja nie jestem małym chłopcem, którego możesz przestraszyć swoimi opowieściami. Nie wierzę w twoją Zieloną Panią i Oomark też już nie będzie wierzył. Nie ulega wątpliwości, że oboje potrzebujecie pomocy, której ja sama nie potrafię wam udzielić.

Uśmiechnęła się szerzej.

- Więc spróbuj i przekonaj się. - Zabrzmiało w tym triumf, zupełnie niepodobny do dziecięcych emocji. - Po prostu spróbuj i przekonaj się!

Ku mojej zgrozie przekonałam się, że miała rację. Choć starałam się ze wszystkich sił, nie mogłam dotrzeć do komunikatora, żeby zadzwonić do komendanta Piscova i poprosić go o pomoc, której tak bardzo potrzebowaliśmy. Naprawdę przestraszona tym niepowodzeniem wróciłam do Bartare; znowu słuchała lekcji jak pilna uczennica.

- Widzisz... - Spojrzała na mnie, gdy weszłam. - Powiedziałam ci, że Ona na to nie pozwoli.

Usiadłam na krześle naprzeciwko mojej tajemniczej podopiecznej.

- Mam nadzieję, że powiesz mi, kim naprawdę jest Ona... Czy to twoja matka?

Tym nieprawdopodobnym przypuszczeniem chciałam zaskoczyć Bartare, żeby uzyskać jakąś odpowiedź. Rezultat przekroczył moje oczekiwania.

Bartare poderwała się z miejsca i pochyliła nade mną. Na jej twarzy malowały się uczucia, których nie potrafiłam zidentyfikować.

- Skąd... - Potem opanowała się. Przechyliła nieco głowę, przyjmując postawę człowieka pilnie przysłuchującego się czemuś.

Ja również spojrzałam w tamtym kierunku, lecz nie było tam niczego... ani nikogo.

- Kim jest Ona? - zapytałam ponownie.

Wówczas odpowiedziała mi zuchwale:

- To moja sprawa, i lepiej, żebyś tego nie wiedziała, Kildo. Naprawdę lepiej. Lubię cię... odrobinę. Lecz jeśli będziesz sprawiała kłopoty, sama w nie wpadniesz. Nie martw się Oomarkiem. Możesz mu powiedzieć, że Griffy'emu nic nie będzie - o ile Oomark zrobi to, co powinien. Tobie też nic się nie stanie, pod tym samym warunkiem. Udamy się do doliny. To ważne.

Powiedziawszy to wyszła, a ja siedziałam dalej, jak przykuta, na krześle.

Moją pierwszą reakcją był gniew. Na szczęście przeszkolenie, jakie przeszedłam

w internecie, pomogło mi spojrzeć prawdzie w oczy. Moja pewność siebie i miłość własna zostały zranione. Wyglądało na to, że Bartare posiada jakąś moc, niewątpliwie należącą do kategorii zjawisk właściwych postrzeganiu pozazmysłowemu, dzięki której uniemożliwiła mi wezwanie pomocy. W tej sytuacji praktycznie pozostawałam bezbronna. I kiedy ta bezlitosna prawda dotarła do mnie, przestraszyłam się niemal tak samo jak wówczas, kiedy zobaczyłam tamtą zjawę w lustrze. Teraz przynajmniej nie miałam wątpliwości, że była ona dziełem Bartare, i że w jej zamyśle miała to być albo groźba, albo ostrzeżenie. Czy Guska Zobak zdawała sobie sprawę z tego, czym obdarowała świat w osobie swej córki?

I czy jej obecne otępienie nie brało się z chęci zamknięcia oczu przed faktem, kim naprawdę jest Bartare? Została przecież pozbawiona oparcia, jakie miała w mężu. A może jej stan również był wywołany przez Bartare? Leżało to w granicach możliwości dziewczyny, bo najwyraźniej powstrzymała mnie przed wezwaniem pomocy, dzięki której mogłabym sobie z nią poradzić.

Wiedziałam o esperach i ich zdolnościach tyle, ile wie każdy czytany laik, a wiedzę czerpałam z taśm Volka. A komuś, kto nie ma takich predyspozycji, trudno ocenić - czy choćby uznać za realne - możliwości kogoś, kto jest nimi obdarzony.

Esper czy nie, moja natura buntowała się przeciwko temu, bym, podobnie jak Oomark, stała się kimś, kogo Bartare mogła kontrolować.

Być może w swym dziecięcym zadufaniu nie przypuszczała nawet, że ktoś w porę ostrzeżony potrafi się uzbroić wewnętrznie i przedsięwziąć kroki, które zapobiegą przejęciu nad nim kontroli... Zaskoczyła mnie śmiałość tej myśli. Mam pozwolić, aby manipulowało mną dziecko młodsze ode mnie niemal o połowę? To wywołujące dreszcz pytanie wymagało odpowiedzi i skłaniało do działania.

Brakowało mi potrzebnej wiedzy. Ze strzępów i fragmentów informacji, jakie błąkały się w mojej głowie, musiałam zbudować wewnętrzną zbroję na tyle mocną, abym wreszcie mogła przeciwstawić się Bartare. Jakże pragnęłam dostępu choćby tylko na jedną jedyną godzinę do biblioteki Volka!

Na razie moją najlepszą ochroną stała się pozorna uległość. Niechętnie uznałam ten gorzki fakt. Istniały metody pozwalające odróżnić halucynacje od rzeczywistości i zaczęłam je stosować. W pewnym momencie przyszło mi do głowy, że trudno byłoby znaleźć ciekawszy materiał dla Volka, niż sprawozdanie z tego, w jak niesamowitą historię się wplątałam. Przebyłam szmat drogi w poszukiwaniu jakiegoś cudu, którego opisem mogłabym wzbogacić jego bibliotekę, i znalazłam to,



czego szukałam - nie na Dylanie, lecz w samej sobie.

Wróciłam do pokoju i wyciągnęłam rejestrator Volka. Tak jak przypuszczałam, był wyposażony w przetwornik myśli. Już raz korzystałam z tego urządzenia, lecz krótko, i nie byłam pewna, czy potrafię w taki właśnie sposób dokonać zapisu. Wierzyłam jednak, że jest to teraz jedyna bezpieczna metoda, bowiem nie miałam pojęcia, czy umiejętności Bartare nie pozwoliłyby jej podsłuchać zwyczajnego nagrania.

Zamknawszy drzwi na klucz położyłam się na łóżku i zaczęłam układać w myślach, najprecyzyjniej jak potrafiłam, sprawozdanie z tego wszystkiego, co mnie spotkało od chwili, kiedy poznałam Guskę Zobak i jej dzieci. Dwukrotnie odtwarzałam w myślach przebieg wydarzeń, starając się na tyle, na ile było to możliwe, by ostateczna wersja nie zawierała moich odczuć i domysłów. Można byłoby ewentualnie dodać je na końcu, lecz najpierw musiałam przedstawić fakty, a nie ich interpretację - chociaż, jak to się dzieje w przypadku każdego sprawozdania, bez względu na to, jak bardzo autor stara się uczynić je obiektywnym, i tak będzie ono nosić ślady jego osobowości.

Ułożywszy w myślach spójny i treściwy przekaz, nasunęłam na czoło dysk przetwornika i zaczęłam nagrywać swoje sprawozdanie. Użyłam największej szybkości, żeby zapis zajął możliwie najkrótszy odcinek taśmy. I stwierdziłam, że cały proces wyczerpał mnie bardziej, niż dwa normalnie dyktowane sprawozdania.

Potem przewinęłam szpulę z powrotem, tak żeby wyglądała na nie używaną. Uświadomiłam sobie, że podejmuję środki ostrożności jak ktoś, kto jest szpiegowany. Ale nie mogłam popełnić błędu, znając Bartare.

Oomark spędził resztę dnia w łóżku. Wyglądało na to, że chociaż uprzednio zwrócił się do mnie o pomoc, teraz wzdragał się przed tym. O ile wiedziałam, Bartare nie odwiedziła go. Lecz teraz nie mogłam być niczego pewna i nie ulegało wątpliwości, że dzieciak boi się albo mnie, albo tego, co wyznał mi w chwili słabości. Rzeczywiście odebrał telefon od właściciela Griffy'ego z zapewnieniem, że poohki zdaje się dochodzić do siebie po kuracji.

Następnego dnia rano wybiegł ochoczo, kiedy podjechał po niego szkolny samochód, choć zauważyłam, że kilka razy spojrzął z obawą na drzwi pokoju siostry, która jednak się nie pojawiła. Ukazała się w niecałą godzinę potem, przyodziana w mocny i wygodny strój podróżny, gotowa na wyprawę do doliny.

Nałożyłam spodnie, buty do chodzenia po górach i ocieplaną tunikę - która to

przezorność, jak się okazało, miała wyjść mi na dobre. Zapakowałam też do torby suchy prowiant, bo chociaż mogłyśmy udać się do doliny z grupą towarzyszącą klasie Oomarka, nie chciałam im się narzucać podczas pikniku. Im dalej Bartare będzie teraz od ludzi, tym lepiej. Ku mej uldze zdawała się godzić z myślą, że najsluszniej zrobimy, trzymając się na uboczu. Być może brało się to stąd, że - równie mocno jak mnie, by ją odizolować zależało jej na tym, bym nie kontaktowała się z ludźmi nieświadomymi naszych cichych zmaganiań.

Punktualnie dotarliśmy do parkingu śmigaczy i stwierdziłyśmy, że wyznaczono nam miejsce w pojeździe, w którym oprócz nas miały jeszcze lecieć dwie matki i jedna ciotka. Z powodu mojego pochodzenia przypadkowe kontakty towarzyskie zawsze sprawiały mi pewną trudność, a teraz, kiedy byłam cała spięta, ciążyło mi to w dwójnasób. Chyba jednak udało mi się zachować pozory i dobrze zagrać swoją rolę, bowiem kiedy w odpowiedzi na pytania kobiet opowiedziałam im o Gusce, wydawały się zadowolone.

Bartare bez zarzutu grała rolę małej dziewczynki, grzecznie zgadzając się na propozycję jednej z matek, by zapoznała się z jej córką. Nie wypuszczała przy tym z rąk rejestratora, który uparła się nieść.

Podróż trwała dłużej niż sądziłam. Najpierw lecieliśmy nad terenami rolniczymi, podzielonymi na sektory i pola, bujnie porośnięte dojrzałymi już niemal roślinami uprawnymi, potem zaś znaleźliśmy się nad obszarem, którego nie tknęła ludzka ręka. Dopiero tutaj rzucał się w oczy fakt, że Dylan jest z rzadka zaludnionym, pogranicznym światem.

Przez całe życie mieszkałam na zatłoczonej planecie, gdzie jedyne rośliny, które mógł zobaczyć człowiek, rosły w pieczołowicie pielęgnowanych, od dawna uprawianych i znakomicie utrzymanych ogrodach. Choć ich projektanci nauczyli się kuglować perspektywą, dzięki czemu rzeczy małe wydawały się o wiele większe, ogrody te w porównaniu z tym, co teraz widziałam, były zaledwie okruszkiem.

Tutaj rozpościerał się przestwór, który zdarzało mi się widywać tylko na ekranie. Widok ten porażał. Wyczuwałam coś budzącego lęk w tych rozległych połaciach bezkresnej równiny, nad którą lecieliśmy. Ziemia nie była tutaj tak żyzna, jak w pobliżu Tamlinu. Niewiele rosło drzew, a i te bardziej przypominały krzaki. Teren pod nami zaczął się wznosić. Pojawiało się coraz więcej skał, przebijających się przez glebę. Przemknęliśmy nad kotliną, z której unosiła się para z gorących, przesyconych minerałami źródeł. To dziwne miejsce fascynowało mnie z lotu ptaka, a

nie sędę, bym chciała przemierzać je na piechotę.

Za kotliną wznosiły się poszarpane grzbiety. Słońce błyszczało oślepiająco w wypełnionych kryształem szczelinach. Ta kraina musiała być ongi rozdarta gwałtownymi erupcjami wulkanicznymi. A my lecieliśmy do samego serca tych niegościnnych ziem.

Bartare obserwowała okolicę tak uważnie, że aż przycisnęła twarz do plastikowej osłony okna. Wyglądała jak ktoś, kto wypatruje znaku orientacyjnego, od którego niezmiernie wiele zależy. Lecz ja nie ufałam moim wrażeniom związanym z Bartare. Tak bardzo byłam nastawiona obronnie, że każdemu jej zachowaniu z łatwością mogłam przypisać znaczenie większe niż miało ono w rzeczywistości.

Wylądowaliśmy na równinie tak płaskiej, że stanowiła znakomite lądowisko dla śmigaczy. Tam zostaliśmy podzieleni na grupy przez strażników i skierowani na wyższe półki skalne, skąd można było obserwować ługraany.

Przyznaję, że przestałam się tam mieć na baczności - co okazało się fatalne w skutkach. Bartare stała przy mnie, Oomark zaś w pewnej odległości od nas, ściśnięty pomiędzy nauczycielem i swoim przyjacielem - właścicielem Griffy'ego. Nawet nie spojrzał w naszym kierunku od czasu, kiedy nas rozdzielono i skierowano w to miejsce. Świadomość tego, że unika nas, bolała mnie, choć być może inni nie zwrócili na to uwagi.

Bartare nie próbowała dołączyć do brata. Kiedy dotarliśmy na półkę, oddała mi rejestrator. A ponieważ nie mogłam pozwolić, by domyśliła się, do czego wykorzystywał go wcześniej, udałam, że przygotowuję aparat do nagrywania, kierując obiektyw na to, co działo się na dole.

Ługraany nie okazywały najmniejszego zainteresowania obserwującymi ich ludźmi, równie dobrze mogliśmy być całkowicie nie widzialni. Nie były humanoidami, choć poruszały się w pozycji wyprostowanej. Od pulchnego tułowia odcinały się wyraźnie kończyny; górne, długie i szczupłe, i dolne, grube i krótkie, oraz szeroki i mięsisty ogon, który - kiedy co jakiś czas przystawały przed sobą, jak gdyby prowadząc rozmowę - wspierały sztywno o ziemię, tworząc wraz z łapami podtrzymujący cielsko trójnóg.

Barwę miały ciemnoczerwoną, ich skórę porastały sztywne, przypominające kolce włosy. Szyja, tak długa i giętka, że przypominała szyje gadów, łączyła korpus z głową uzbrojoną w masywny, jaskrawożółty dziób i ozdobioną grzebieniem nieco dłuższych niż na reszcie ciała kolcowłosów.

Ich przednie, a raczej górne łapy, zakończone były czymś w rodzaju dłoni. Tymi niby rękami ługraany posługiwały się nader zręcznie, jeśli sądzić po prymitywnych chatach zbudowanych z ułożonych w stosy kamieni, tak dobranych i dopasowanych, że nie rozsypywały się. Stworzenia te zajmowały się też uprawą grzybów i hodowały pewien gatunek ogromnych owadów, stanowiących odpowiednik bydła.

Z pewnością były wystarczająco niezwykle, by przykuć uwagę aż za bardzo, jak to sobie nagle uświadomiłam, kiedy rozejrzałam się wokół i stwierdziłam, że Bartare zniknęła. Nie było jej w naszej grupie. A szukając jej odkryłam, że Oomark również zniknął.

Przesunęłam się do tyłu, a pierwsze ukłucia niepokoju ustąpiły miejsca pewności, że dzieci zostaną odnalezione i to szybko. Lecz kiedy chciałam porozmawiać ze strażnikiem, nauczycielem, czy choćby którymś z pozostałych dzieci, odkryłam - ku coraz większemu przerażeniu - że znowu pojawiła się ta sama wewnętrzna blokada, nie pozwalająca mi wcześniej zwrócić się o pomoc, gdy usiłowałam poradzić sobie z Bartare. Mogłam myśleć o tym, co powinnam zrobić, lecz wykonanie tego było niemożliwe. Wydawało się jednak, że nic nie przeszkadza mi w opuszczeniu skalnej półki. Ruszyłam ścieżką z powrotem. Nikt z pozostałych wycieczkowiczów nie spojrział na mnie ani o nic nie zapytał, choć tak bardzo tego pragnęłam.

Ucieczkę Bartare i Oomarka odkryłam chyba wcześniej, niż spodziewała się tego dziewczyna, bowiem dostrzegłam ich w oddali, nie na ścieżce prowadzącej do lądowiska śmigaczy, lecz na prawo wśród skał. Wspinali się na szczyt. Ponieważ nadal nikt nie zwracał na mnie uwagi, musiałam sama podążyć za nimi.

Nie ulegało wątpliwości, że do wspinaczki potrzebowałam będą obu rąk, tak więc musiałam zrezygnować albo z rejestratora, albo z torby z prowiantem. Ta druga miała solidny pasek i można było zarzucić ją na ramię. Zostawiłam więc rejestrator w miejscu, gdzie zesłam ze ścieżki, by pójść w ślad za dziećmi. Miałam nadzieję, że w razie czego będzie on znakiem, który szukającym nas wskaże właściwą drogę.

Obawiałam się, że to samo, co uniemożliwiło mi zaalarmowanie lub ostrzeżenie innych, przeszkodzi mi też w pozostawieniu tego małego znaku. Ale nie, zdołałam to uczynić. Mogłam nawet bez przeszkód ruszyć za rodzeństwem.

Zdążyli mi już zniknąć z oczu, i jeśli nie zamierzałam zgubić ich w tej gmatwaninie potrzaskanych skał, musiałam się pospieszyć. Choć byłam w dobrej

kondycji fizycznej, głównie dzięki reżimowi panującemu w internacie, pewnie nie wspięłabym się na pierwszy grzbiet, ponieważ droga okazała się trudniejsza niż wydawała się z dołu. Jednak rozpacзлиwa potrzeba odnalezienia dzieci dodawała mi sił. Stok był zdradziecki, usłany kamieniami, które poruszone pociągały za sobą inne, wspinaczka wymagała więc najwyższej ostrożności. Byłam skoncentrowana wyłącznie na tym, co znajdowało się bezpośrednio przede mną.

Dotarłam na sam szczyt i kiedy zmierzyłam wzrokiem rozciągający się przede mną teren, stwierdziłam, że nie zgubiłam dzieci. Przebyły już część drogi na następną górę. Oomark włókł się z tyłu i co jakiś czas Bartare przystawała, żeby na niego poczekać. Nie mogłam usłyszeć tego, co mówiła, lecz za każdym razem wystarczało to, by na krótko zrywał się do wzmożonego wysiłku. Pozostałam na miejscu, dopóki nie dotarli do szczytu następnego wzniesienia, byłam bowiem niemal pewna, że gdyby Bartare zobaczyła, że depczę im po piętach, zrobiłaby wszystko, by mnie powstrzymać. Mogłam tylko podążać za nimi w pewnej odległości, dopóki nie znajdziemy się na terenie dogodniejszym do marszu.

Skoro tylko przeszli przez grzbiet, ruszyłam jak najszybciej za nimi. Gdy znalazłam się na szczycie, zobaczyłam rozciągającą się w dole rozległą połąć w miarę płaskiego terenu, z tym tylko, że wyłaniające się z gleby skalne odkrywki były tutaj liczne, a grunt nierówny, poprzecinany bruzdami i pokryty ogromnymi, zwietrzałymi głazami, co sprawiało, że człowiek musiał poruszać się wolno i ostrożnie.

Oomark coraz wyraźniej pozostawał w tyle. Nawet kiedy Bartare odwracała się do niego i czekała, nie wiadomo czy ze słowami zachęty, czy też ostrego ponaglenia, nie przyspieszał kroku. Włókł się ze zwieszoną głową i zdawał się nie odrywać wzroku od gruntu, po którym stapał. Nie zatrzymywał się jednak i prawdopodobnie Bartare na razie to wystarczało.

Przemierzyli otwarty teren i zniknęli. Tym razem dłużej trwało, nim znowu ich zobaczyłam. Kiedy dotarłam do krańca płaskowyżu, znalazłam się przed ostrym i głębokim uskokiem. Niemal na wprost pode mną zobaczyłam Bartare, która stała zwrócona plecami do tej skalnej ściany. Z rękami wspartymi na biodrach omiatała wzrokiem okolicę, obracając głowę to w jedną, to w drugą stronę.

Oomark wciąż jeszcze schodził po ścianie urwiska. W pewnej chwili poślizgnął się i spadł. Wstrzymałam oddech, kiedy zobaczyłam, że nie podnosi się, tylko leży tam gdzie upadł u stóp Bartare. Łatwo można było dostrzec, jak bardzo jest zniecierpliwiona, kiedy pochyliła się i obiema rękami chwyciła za tunikę na jego

grzbiecie, podnosząc go najpierw na kolana, a potem do pozycji wyprostowanej. Nawet kiedy już stał, nie puściła go, jak gdyby w obawie, że znowu upadnie.

Urwisko było granicą szerokiej, otwartej przestrzeni, którą ongiś mogła wypełniać rzeka, od dawna już wyschnięta. Choć tu i tam wśród głazów rosły małe, kolczaste krzewy, nigdzie nie było widać najmniejszego śladu mchu czy porostów.

Wielkie kamienie w większości miały barwę szarobrunatną. Lecz gdzieś tam wśród nich spoczywały inne, tak różniące się kolorem, że natychmiast rzucały się w oczy. Były ciemnoczerwone i wszystkie miały kształt nieforemnych kuł. Niektóre były tak wielkie, że sięgały dzieciom do ramion; inne dałoby się ująć w obie ręce i podnieść. Leżały rozrzucone bezładnie, jakby jakiś olbrzym wziął garść kolorowych kamyczków i cisnął je od niechcenia, tak że spadły i potoczyły się to tu, to tam.

Przyciągały wzrok. Miejscami tworzyły skupiska, gdzie indziej leżały z dala od siebie. Jeden z nich, średniej wielkości, sięgający Bartare do pasa, leżał niedaleko od niej.

Ciągnąc Oomarka dziewczynka podeszła do tego głazu, potem pochyliła się i podniosła mały kamień. I tym kamieniem stuknęła w czerwony głaz. Rozległ się wibrujący dźwięk, przypominający uderzenie dzwonu. Bartare nasłuchiwała uważnie, dopóki nie ucichły ostatnie echa.

Ujęła Oomarka za ramiona i potrząsnęła nim gwałtownie, mocno. Jej usta poruszały się, lecz nie mogłam usłyszeć wypowiedzianych słów. Cokolwiek powiedziała, odniosło skutek. Chłopiec pochylił się, podniósł odłamek skały i ustawił się przed głazem, w który przedtem uderzyła Bartare. Ona zaś podeszła do innego, jeszcze większego czerwonego kamienia.

Machnęła ręką. Oomark stuknął kamieniem w swój głaz, ona zaś uderzyła w ten, do którego podeszła. Zadzźwięczały dwie nuty, ale o wyraźnie różnej tonacji.

Bartare potrząsnęła głową i skinęła na Oomarka. Podeszli do innej pary czerwonych kuł. Wcale nie zrażona tym, co zdawała się uważać za niepowodzenie, Bartare sprawiała wrażenie, jakby zamierzała przejść w ten sposób całą równinę.

Kiedy oddalili się już dostatecznie, zesłam z urwiska. Całą nadzieję pokładałam w tym, że Bartare, pochłonięta tajemniczymi czynnościami, nie zauważy mnie, choć nie miałam najmniejszego pojęcia jak się zachować, kiedy ich już dogonię. Jednego byłam pewna - że muszę z nimi pozostać.

Znalazłam się na dnie doliny, rozedrganej od ciągłych uderzeń w czerwone

skały. Niekiedy wydawały niemalże identyczny dźwięk. Raz Bartare zasygnalizowała Oomarkowi, by ponownie uderzył w tę samą skałę. Lecz to, czego szukała, ciągle jej umykało.

Pozostawili już za sobą środkową część doliny, kiedy ruszyłam ich śladem, klucząc między skałami. W pewnej chwili potknęłam się i wyciągnęłam rękę, żeby się podeprzeć. Wsparłam dłoń na jednej z tych czerwonych kul i natychmiast cofnęłam rękę. Odniosłam wrażenie, jakbym dotknęła rozgrzanego rusztu, może nie aż tak rozpalonego, by mógł przypiec mi skórę, lecz wystarczająco gorącego, żebym się wzdrygnęła.

Na próbę dotknęłam jednego ze zwykłych szarych głazów i stwierdziłam, że ma temperaturę taką, jak każdy inny wystawiony na działanie słońca kamień, zdecydowanie niższą niż czerwone skały. Od tej chwili robiłam wszystko, żeby ich nie dotykać. W pewnej chwili spojrzałam na dzieci i zobaczyłam wpatrzoną we mnie Bartare. Uniosła prawą rękę i uczyniła ruch, jak gdyby coś ciskała. Snop światła trafił prosto w moją twarz, rażąc oczy.

## Rozdział piąty

Nie potrafię powiedzieć, jak długo tak stałam oślepią. Kiedy odzyskałam wzrok, dzieci były już daleko, nie po przeciwnej stronie doliny, dokąd przedtem zmierzały, lecz na lewo ode mnie.

Zaciskając i unosząc powieki, żeby usunąć resztki mgły sprzed oczu, zobaczyłam, że Bartare i Oomark wciąż uderzają w kuliste głązy. Kiedy chciałam ruszyć za nimi okazało się, że moje nogi utkwili w jakiejś zdradliwej pułapce. Kołysałam się i chwiałam, ale nie mogłam oderwać stóp od ziemi.

Bałam się. Robiłam jednak wszystko, żeby pójść za dziećmi, oddalającymi się coraz bardziej i bardziej. Znalazły się wśród wyższych skał, które zaczęły przesłaniać mi ich sylwetki, aż w końcu zupełnie zginęły mi z oczu.

Ich zniknięcie jak gdyby rozwiązało krępujące mnie więzy. Potknęłam się i zaczęłam maszerować, jednak podłoże było takie, że nie ośmieliłam się biec. Małe kamienie usuwały się spod stóp z niemal zamierzoną złośliwością. Musiałam pełznąć na czworakach, chwycić się głazów, żeby posuwać się naprzód.

Jakoś udało mi się dotrzeć do tamtych wyższych skał. Brnęłam wśród nich z trudem, aż w końcu poślizgnęłam się na ruchomych kamieniach i upadłam, boleśnie skręcając sobie kostkę. Potarłam ją ostrożnie, obawiając się, że jest zwichnięta. Lecz kiedy wstałam, okazało się, że wciąż mogę kuśtykać.

Jak gdyby spełniwszy swój cel, luźny żwir i kamienie zaczęły zanikać, a podłoże stało się dogodniejsze do marszu. Wreszcie stanęłam pomiędzy dwiema skałami sięgającymi mi powyżej głowy, wsparta ręką o jedną z nich, i spojrzałam na otwartą przestrzeń, gdzie znajdowało się wiele czerwonych kuł, znacznie większych od tych, które widziałam w tamtej części doliny. A wśród nich były dzieci.

Oomark włókł się tak, jakby był do cna wyczerpany. Słyszałam dobiegający z oddali szept - uznałam go za głos Bartare - ponaglający chłopca lub namawiający do zwiększenia wysiłku. W pewnej chwili Oomark odrzucił kamień, który trzymał w ręce i odwrócił się, jak gdyby zamierzając się wycofać. Lecz Bartare poruszyła się tak szybko, że widziałam tylko jak zniknęła w jednym miejscu i pojawiła się w innym, zastępując mu drogę. Ujrzałam twarz Oomarka. Policzki miał czerwone i pobrudzone rozmazanymi śladami łez. Było oczywiste, że podporządkowuje się siostrze wbrew swej woli.



Wyciągnęła rękę, pokazując coś, a on podniósł inny kamień. Jakaś bezradność w pochyleniu jego ramion sprawiła, że zapragnęłam podbiec do niego i zasłonić go sobą. Odwrócił się wolno i podszedł do najbliższej z tych czerwonych kul, jak gdyby w rzeczywistości nie widział tej skały, a tylko ją wyczuwał.

Bartare znowu poruszyła się błyskawicznie i pomyślałam, że teraz będę mogła się do nich zbliżyć, bowiem całą jej uwagę pochłaniało to, co właśnie robiła.

Kula, którą uderzyła Bartare, wydała niski, wibrujący dźwięk i dziewczynka krzyknęła triumfalnie. Pozostała na miejscu i skinęła na Oomarka, żeby stuknął w swoją kulę.

Zrobił to, a ona jeszcze raz uderzyła w swoją. Dźwięki były bardzo podobne, lecz nie identyczne. Dopiero kiedy podszedł do trzeciej kuli otrzymała to, czego pragnęła. Dwa dźwięki zlały się w jedną nutę.

Bartare nasłuchiwała z lekko przechyloną głową, wpatrzona przed siebie, jakby spodziewała się coś tam zobaczyć. Kiedy, po długiej chwili, nic się nie wydarzyło, dała znak bratu, żeby uderzył znowu.

Ponownie ów długotrwały, rozedrgany dźwięk przeszył powietrze i poczułam, że przenika przez moje ciało. Wiedziałam, że dźwięki można odczuwać jako wibracje, lecz to wrażenie było przerażające, tak bardzo, iż czułam, że muszę powstrzymać dzieci przed tym, co robiły. Świadomie lub nie, Bartare przywoływała moce spoza znanego nam świata.

Ruszyłam naprzód i moją kostkę przeszył ból. Oomark po raz wtóry odrzucił kamień, którym uderzał w czerwone skały, i stał z uniesioną przed twarzą prawą ręką, jakby osłaniając się przed ciosem. I choć słyszałam, że Bartare pomstuje na niego, nie poruszył się, by spełnić jej polecenia.

- Zrób to! - dotarł do mnie krzyk Bartare. - Zrób to, Oomark! Chcesz, żebym na ciebie skierowała moc? Zrób to zaraz!

Przez chwilę sądziłam, że jej nie posłucha. Lecz albo groźby, albo fakt, że tak długo dominowała nad nim, zwyciężyły. Pochylił się i nie patrząc zaczął macać ręką, szukając kamienia. Powieki miał zaciśnięte, jakby jego siostra była ostatnią rzeczą, jaką chciał zobaczyć.

- Uderz! - wrzasnęła na niego.

Podwójna nuta znowu zabrzmiała wibracją, którą odczułam jako wewnętrzne drżenie. I ponownie to, czego spodziewała się w odpowiedzi, nie pojawiło się. Nabrałam pewności, że jej zaabsorbowanie tym, co robi, pozwoli mi zbliżyć się do

niej i obezwładnić ją. Musiałabym jednak zaatakować od tyłu, bowiem w przeciwnym razie mogłaby mi się przeciwstawić równie skutecznie jak przedtem.

Zdradził mnie Oomark. Zwrócił się w stronę, skąd skradałam się kulejąc, i jakaś zmiana w wyrazie jego twarzy musiała ostrzec Bartare. Odwróciła głowę, dostrzegając mnie kątem oka, i krzyknęła znowu:

- Uderz!

Potknęłam się i upadłam na jeden z czerwonych głazów, jakby ów rozkaz skierowany był również do mnie. Torba z prowiantem, którą niosłam, uderzyła w skałę i rozległy się trzy, a nie dwie nuty.

Już wcześniej dwukrotnie odczułam wibrację jako fizyczne doznanie, lecz było to niczym w porównaniu z tym, czego doświadczyłam teraz. Nie potrafię znaleźć słów, żeby to opisać. Może porównywalne byłoby uczucie, jakiego doznałabym, gdybym zawisała na linie nad jakąś niezgłębioną otchłanią i wisiała tam przez nie dający się objąć umysłem przeciąg czasu, a wszystko dookoła byłoby niepoznawalne i pogrążone w absolutnej ciemności.

Chwila, kiedy straciłam przytomność, minęła, i uniosłam powieki tylko po to, żeby je szybko zamknąć, gdy opanowały mnie gwałtowne nudności. To, co zobaczyłam, było tak obce wszystkim moim doświadczeniom, że zwątpiłam w swoje zdrowe zmysły.

Leżałam na jakiejś gładkiej, twardej powierzchni. Wiedziałam jednak, że nie może to trwać wiecznie. Musiałam podjąć wysiłek, choćby najmniejszy. Starając się opanować i zdusić dławiący mnie strach, ponownie uniosłam powieki.

Najpierw spjrzałam prosto w górę, obawiając się tego, co mogę zobaczyć. Nie było tam słońca ani księżyca, tylko niemal namacalna szarość, przypominająca półmrok, jaki zapada wczesnym latem o zmierzchu. Tylko że ten półmrok nie działał kojąco, tak jak zwykły działać wieczorne godziny na świecie właściwym dla mojej rasy.

Wolno, bardzo wolno, zwróciłam głowę w prawo. Nie zobaczyłam tam skał otaczających mnie przedtem. Były to raczej geometryczne figury, niektóre spoczywające w bezruchu, inne poruszające się. Z tych ostatnich kilka dryfowało powoli, pozornie bez celu. Inne poruszały się szybko zygzakowatymi trasami. Ich nieskoordynowane ruchy, w połączeniu z przedziwnymi kształtami, wywoływały nawrót nudności. Musiałam zamknąć oczy i wyteńczyć wszystkie siły, żeby się opanować.

Choć powietrze wokół mnie pozostawało szare, figury te miały krzykliwe

barwy, a niektóre z nich były tak jaskrawe, że raziły oczy, gdy przyglądało im się zbyt długo lub starało się dostrzec szczegóły.

Odwrociłam głowę, nie otwierając oczu, dopóki nie mogłam zobaczyć tego, co znajdowało się po lewej stronie. Dopiero potem uniosłam powieki.

Było tutaj więcej nieruchomych trójkątów, prostokątów oraz kilka okręgów, z czego tylko jeden czy dwa kształty szybowały, żaden zaś nie poruszał się szybko. Wsparłam ręce o powierzchnię, na której leżałam, i uniosłam się odrobinę.

Choć od wysiłku zakręciło mi się w głowie, nie zrezygnowałam, poczekałam aż zawroty miną, i ośmieliłam się unieść jeszcze wyżej. Leżałam na płaskiej skale, tu i ówdzie pokrytej warstwami lśniącego pyłku. Kiedy dotknęłam go palcami, przypominał w dotyku bardzo drobny piasek. Trochę tego błyszczącego pyłu przywarło do skóry i kiedy uniosłam ręce, zobaczyłam wyraźnie zarysy linii na palcach i dłoniach, ciemne na jasnym tle.

Dotychczas odbierałam przede wszystkim bodźce wzrokowe. Teraz zaalarmowało mnie również to, co słyszałam. Gdzieś płakało dziecko. Nie był to głośny płacz zrodzony z gniewu czy rozczarowania, lecz żalosne kwilenie malca, któremu odebrano wszelką nadzieję. W tym niesamowitym świecie nie miałam pewności, skąd dochodzi ów szloch. Domyślałam się jednak, które z moich podopiecznych skarży się w ten sposób.

- Oomark! - zawołałam, świadoma tego, że w tym miejscu same dźwięki mogą być niebezpieczne. Musiałam jednak zareagować na ten szloch.

Kiedy po raz drugi zawołałam jego imię, w chlipnięciach nastąpiła przerwa, a potem odezwał się niepewnie, jak gdyby nie dowierzał, że ktoś może tu być.

- Kilda? Czy to ty, Kildo?

- Tak, to ja. Gdzie jesteś?

Uznałam, że musi być gdzieś z lewej strony. Miałam nadzieję, że szukając go nie natknę się na te śmigające kształty.

Jakoś w końcu się podniosłam i po chwili, kiedy przestało mi się kręcić w głowie, stwierdziłam, że mogę iść szurając nogami, i że kostka wciąż mnie boli, bardziej niż przedtem.

- Gdzie jesteś? - powtórzyłam, kiedy nie odpowiedział.

Rozległ się jego głos, bardzo cichy i przestraszony:

- Ja... nie wiem.

- Czy siostra jest z tobą?

Zadając to pytanie miałam nadzieję, że jej tam nie ma. Brakło mi sił, by przeciwstawić się woli Bartare. Potrzebowałam czasu, żeby się pozbierać.

- Nie...

- Możesz mi powiedzieć, gdzie jesteś? Co widzisz wokół siebie?

Próbowałam ustalić położenie według nieruchomych figur, mogących służyć za znaki orientacyjne. Był to karmazynowy stożek, który nie poruszył się od chwili, kiedy po raz pierwszy na niego spojrzałam, i, nieco za nim, jaskrawozielony trójkąt, a na lewo od nich cylinder barwy ciemnopomarańczowej. Wydawało mi się, że głos Oomarka dochodził właśnie stamtąd i gdyby widział te same figury, byłyby to dla mnie istotna wskazówka.

- Widzę wielkie drzewo... i krzak z żółtymi jagodami... i jakieś skały...

Słowa przedzielone były chlipnięciami. To przecież niemożliwe!

- Jesteś... jesteś pewien, Oomark?

- Tak! Tak! Och, proszę, Kildo, przyjdź tu i zabierz mnie! Nie podoba mi się tutaj! Chcę wrócić do domu... Proszę, Kildo, przyjdź tu!

Teraz byłam już pewna, że jego głos dochodził spoza karmazynowego stożka. Przystanąłam jednak zaszokowana, gdy niebieski pręt z dwiema sześciokątnymi płetwami zanurkował zza mojej głowy i otarł się o pomarańczowy cylinder. Kiedy zniknął, ruszyłam uparcie w ślad za nim.

- Widzę cię teraz, widzę, Kildo! - zawołał chłopiec. Zobaczyłam małą, biegnącą postać. Ku mej uldze był to Oomark w swej normalnej, ludzkiej postaci. Przypadł do mnie i objął mnie mocno. Obawiałam się, że każde z nas może być dla drugiego zmienione tak samo jak wszystko, co nas otaczało. Lecz najwyraźniej on również widział mnie taką, jaką jestem.

Przywarł do mnie tak mocno, że nie mogłam się ruszyć. Muszę przyznać, że i ja odpowiedziałam uściskiem, który byłby w stanie zakotwiczyć statek. W końcu przestał szlochać i nie ścisnął mnie już tak kurczowo. Ośmieliłam się więc zwrócić do niego z czymś więcej niż tylko kojącymi szeptami, które miały go uspokoić.

- Oomark...

Uniósł wzrok. Twarz miał brudną od kurzu i łez, ale słuchał tego, co mówiłam.

- Powiedz mi, co to jest? - Wskazałam na pomarańczowy cylinder.

- Krzak... z jagodami... jest ich tak wiele, że gałęzie się uginają - odpowiedział natychmiast.

- A to? - wskazałam na zielony trójkąt.

- Drzewo.

- To? - Teraz przyszła kolej na ciemnoczerwony stożek.

- Wielka, pokruszona skała. Ale, Kildo, dlaczego pytasz? Przecież sama to widzisz...

Osunęłam się na kolana i przyciągnęłam go do siebie. Musiałam liczyć się ze słowami, ale nie mogłam zataić prawdy.

- Oomark, słuchaj uważnie. Wcale nie widzę tych rzeczy...

Przerwałam, nie wiedząc, co powiedzieć dalej. Samo przyznanie się do tego mogło spotęgować jego strach. Zwrócił się przecież do mnie szukając bezpiecznego schronienia, i gdyby to schronienie okazało się niepewne, mógłby zagubić się bez reszty.

- Nasiona paproci... - usłyszałam w odpowiedzi.

Uwaga ta była tak zdumiewająca i nieoczekiwana, że pomyślałam, iż postradał zmysły. Lecz on rześko skinął głową, jak gdyby moje słowa dowodziły czegoś ważnego.

- Jakie nasiona paproci? - zapytałam łagodnie.

- Kiedyś Ona dała ich trochę Bartare. Jeśli włoży się je do oczu albo zje - wtedy widzi się inaczej. Bartare musiała mi je jakoś zaaplikować. A co ty widzisz, Kildo? - zapytał, jakby był tym naprawdę zainteresowany.

“Nasiona paproci”, “Ona” - coraz więcej kawałków do układanki, której rozwiązanie wydawało mi się niemożliwe.

- Twój krzak to dla mnie pomarańczowy cylinder. Drzewo jest zielonym trójkątem, a skała ciemnoczerwonym stożkiem. Jego wzrok podążał za palcem, którym wskazywałam.

- Zatem to ty widzisz tutaj inaczej, prawda, Kildo?

- Z pewnością nie tak, jak ty, Oomark. Teraz posłuchaj - powiedziałeś, że Bartare odeszła, a przynajmniej, że nie ma jej obok ciebie. Gdzie ona jest? Widziałeś, dokąd poszła?

- Nie widziałem jej, odkąd się tu znalazłem - odparł. - Ale czuję ją tutaj! - Puścił mnie i klepnął się prawą ręką w czoło.

- Jak myślisz, potrafisz ją odnaleźć?

Zadrzał.

- Nie chcę tego, Kildo. Ona... jest z nią... Pani.

- A kim jest Pani, Oomark?

Odsunął się, odwracając głowę, jak gdyby nie chciał spojrzeć mi w oczy.

- Ona... Ona jest przyjaciółką Bartare. Nie lubię jej.

- Gdzie Bartare ją spotkała?

- Najpierw w snach, tak myślę. Któregoś dnia Bartare powiedziała, że musimy coś zrobić - zaśpiewać jakieś dziwaczne słowa. Wylała sok owocowy na ziemię, pokruszyła słodkie ciasteczka, podarła na strzępy piękne pióra matki, i zmieszała to wszystko razem. Później usiedliśmy na trawie, a ona powiedziała mi, żebym zamknął oczy, policzył do dziewięciu, potem je otworzył; wtedy ukaże mi się coś cudownego. Bartare to zobaczyła, ale ja nie. Nigdy nie widziałem. Pani, Ona, powiedziała Bartare, że nie mam odpowiednich oczu, albo coś podobnego. Po tym wydarzeniu Ona przychodziła często i uczyła moją siostrę różnych rzeczy. Wtedy Bartare przestała mnie lubić, ale kazała sobie pomagać. Nie chciała już bawić się z Mayra ani Jantą, ani z innymi dziewczynkami. Udawała, że idzie do nich, ale zamiast tego chowała się i rozmawiała z Panią. I powiedziała mi, iż Pani obiecała jej, że jeśli się mocno postara, to któregoś dnia będzie mogła przenieść się do świata Pani. I... - Rozejrzał się wokół siebie, usta zaczęły mu drżeć, a do oczu znowu napłynęły łzy. - Myślę, że to właśnie się stało. Tylko że znowu musieliśmy zrobić to razem. A ja nie chcę tutaj zostać... Kildo, proszę, chodźmy do domu!

Sama niczego bardziej nie pragnęłam, lecz nie miałam najmniejszego pojęcia, jak to zrobić. Zastanawiałam się nad odpowiedzią, kiedy, spojrzawszy na mnie bystro, Oomark domyślił się, czego nie chcę powiedzieć.

- Myślę, że nie możemy wrócić, dopóki Bartare i Pani nie wypuszczą nas.

Kildo, czy... czy one mogą zatrzymać nas na zawsze?

- Nie. - Może byłam zbyt stanowcza, ale widząc, jak dygocze, nie śmiałam udzielić innej odpowiedzi. - Ale jeśli odnajdziemy teraz Bartare i Panią, może zdołamy je przekonać, żeby nas puściły.

- Nie chcę... Nie lubię Pani. I nie lubię też Bartare, już wcale.

Ale spotkam się z nimi, jeśli sądzisz, że pozwolą nam wrócić do domu. Było jeszcze jedno pytanie, które musiałam zadać.

- Oomark, powiedziałeś, że Bartare zna Panią od jakiegoś czasu. Czy znała ją na Chalox?

- Tak.

- Teraz jesteśmy na innej planecie, bardzo daleko od Chalox... - Jeśli ten

niesamowity labirynt był częścią Dylana, a pewności co do tego nie miałam żadnej. -  
Czy Pani weszła z wami na statek? Czy może przez cały czas mieszkała tutaj?

Zaczęłam macać wokół siebie. Z pewnością nie był to wynik działania espera. A jeśli miała tu miejsce halucynacja o takiej złożoności i mocy, że tylko w pełni przeszkolony adept mógł ją wywołać? Gdybym jednak odrzuciła to wyjaśnienie, cóż by mi pozostało oprócz nocnego koszmaru, zrodzonego z czegoś, co nie miało nic wspólnego ze znanym mi czasem i przestrzenią?

- Ona... - Zmarszczył brwi, jakbym przedstawiła mu problem, nad którym nie zastanawiał się przedtem. - Ona była i tam i tu. A ten świat należy do niej. Nie lubi naszego świata. Od dawna próbowała doprowadzić do tego, żeby Bartare zjawiła się tutaj, ponieważ trudno jej było ją odwiedzać. Ale ja nie wiem, gdzie to jest! - I znowu omal się nie rozplakał.

- Nieważne. Być może to naprawdę nie ma znaczenia, Oomark. Objęłam go szybko i uściskałam. - Istotne jest to, żebyśmy odszukali Bartare i Panią, i powiedzieli im, że musimy wracać do domu.

- Och, tak!

Kiedy wstałam, chwycił mnie za rękę i pociągnął za sobą. W tym obcym krajobrazie nie widziałam niczego, co by przypominało drogę. A jednak wydawało się, że Oomark wie, dokąd powinniśmy iść. Co jakiś czas wskazywał na któryś z tych błyszczących kształtów i mówił, że jest to drzewo albo krzak, lub jakiś naturalny znak orientacyjny. Lecz dla mnie ta obca kraina nie zmieniała się. Ból w kostce stawał się coraz dokuczliwszy, aż w końcu mogłam już tylko kuśtykać na jednej nodze. Czułam też głód i pragnienie. Kiedy wreszcie usiedliśmy pod mętnobłękitnym ośmiokątem, który według Oomarka był krakiem, chłopiec rzekł tęsknie:

- Jestem okropnie głodny, Kildo. Tamte jagody mi smakowały, ale nie zjadłem ich dużo...

- Jagody? - Położyłam torbę z prowiantem na kolanach, żeby ją otworzyć. - Jakie?

- Te żółte na takim wielkim krzaku. Wylądowałem w nim, kiedy się tutaj znalazłem i owoce rozmasowały mi się na rękach. Zlizalem sok, był bardzo smaczny, więc zjadłem trochę jagód. Och, spójrz tam. - Poderwał się na nogi, zanim zdążyłam wyciągnąć rękę, żeby go powstrzymać, i rzucił się w stronę pobliskiego niebieskiego stożka z trzema wierzchołkami. Jego obie ręce zniknęły aż po nadgarstki w stożku. Wyciągnął z niego czerwony krążek, w który wbił zęby. Usłyszałam głośne

chrupnięcie i moje ostrzeżenie przyszło zbyt późno.

- Nie, Oomark! Nie możesz jeść czegoś, o czym nic nie wiemy...

Lecz on przełknął już ostatni kęs i znowu sięgnął do stożka, wyciągając kolejny owoc. Ten podał mnie.

- Zjedz, Kilda. Jest smaczny.

- Nie! Proszę, wyrzuć to, Oomark. Znasz obowiązujące w kosmosie zasady. Rośliny z obcych światów mogą być śmiertelnie niebezpieczne. Jeszcze raz proszę, wyrzuć tę jagodę. Zobacz... mam tu czekoladki. - Grzebałam pospiesznie w torbie i wybrałam to, co według mnie najbardziej mogło mu smakować - słodczyce.

Położył krążek na ziemi i sięgnął po czekoladkę. Ale uczynił to z wyraźną niechęcią. Oomark uwielbiał słodczyce. Jego reakcja była zupełnie niezrozumiała.

Gdy odwinął czekoladkę i uniósł ją do ust, na jego twarzy pojawił się dziwny wyraz niesmaku. Zachowywał się tak, jak gdyby zapach słodczy, za którymi zawsze przepadał, budził w nim odrazę. Powoli zawinął czekoladkę i wyciągnął rękę, żeby mi ją oddać.

- Dziwnie pachnie. Może jest zepsuta albo coś takiego. Nie chcę jej, naprawdę, Kildo.

Wzięłam ją od niego i rozwinęłam opakowanie, żeby powąchać. Pachniała tak, jak zawsze pachnie czekolada, więc uznałam, że musiało tak na niego wpłynąć coś, co tutaj zjadł. Zdecydowałam, że nie będę zmuszać go do jedzenia słodczy. Kiedy porządnie zgłodnieje, chętnie zje żywność, którą niosłam w torbie. Problem tylko w tym, że miałam jej niewiele. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że rzeczywiście znaleźliśmy się na innej planecie, choć nie potrafiłam wyjaśnić, w jaki sposób i dlaczego zostaliśmy tu przeniesieni. A pierwszą zasadą każdego badacza, będącego w takim położeniu, jest korzystanie z własnych zapasów, a nie z miejscowego pożywienia.

Jednak nie spierałam się z Oomarkiem, kiedy zaspokajałam głód witaminizowanym waflem. Zanim ruszyliśmy dalej, obwiązałam kostkę najciaśniej jak tylko mogłam.

W żaden sposób nie dawało się rejestrować upływu czasu. Półmrok ani nie gęstniał w nocy, ani nie rozjaśniał się w dzień. Tylko moje zmęczenie przekonywało mnie, że wiele minut, czy nawet godzin, minęło od chwili, kiedy Bartare i ja wysiadliśmy ze śmigacza w Dolinie Lugraanów.

- Czy daleko stąd do miejsca, gdzie przebywają Bartare i Pani? - zapytałam,



kiedy znowu zatrzymałam się, aby odpocząć, choć uszliśmy niezbyt daleko.

- Nie wiem. Tu wszystko... jest dziwne... - Widać było, że Oomark stara się jak może, żeby mi to wyjaśnić. - Czasami różne rzeczy mogą być blisko siebie. A potem... potem jakoś się rozciągają i znowu są od siebie daleko. Jeśli myślę o jakimś miejscu, to wydaje mi się ono bardzo oddalone. Ale kiedy po prostu idę i myślę o Bartare... no, to wtedy jest znowu bliżej. Kildo, nie wiem, dlaczego tak jest... naprawdę nie wiem.

Najwyraźniej był zmartwiony i nie naciskałam go dalej, choć to, co mówił, nie miało sensu. Teraz już całe ciało bolało mnie od wysiłku, na jaki musiałam się zdobywać, żeby iść. Z drugiej zaś strony, od chwili kiedy zjadł owoc - jeśli to był owoc - Oomark stał się tak rześki, jak gdyby wyruszył w drogę rankiem po dobrze przespanej nocy. Kiedy musiałam przystanąć po raz trzeci, zawrócił i podszedł do mnie.

- Kildo, czy noga bardzo cię boli?

- Trochę - przyznałam niechętnie.

- Odpocznij tu przez chwilę. - Rozejrzał się wokół. - Wiem, że nie widzisz tego tak jak ja, ale to miłe miejsce. Tutaj... - pociągnął mnie delikatnie, żebym skrzyła w lewo -... rośnie wysoka trawa. Wygląda na miękką i można na niej wygodnie spocząć. Proszę, Kildo. Mogę znaleźć Bartare w każdej chwili. Nie zdoła ukryć się przede mną. Ale Bartare i Pani razem... ja się ich boję. I ty też będziesz się bała, zobaczysz! Musisz mieć więcej siły.

Ból przenikający moje ciało kazał mi posłuchać jego argumentów. Wola zmagająca się z napływającą falą zmęczenia, i przegrała. Potknęłam się i osunęłam na kolana, dokładnie w miejscu, do którego mnie doprowadził. Stwierdziwszy, że podłoże jest tutaj miękkie, nie zdołałam zmusić się, żeby wstać. Z westchnieniem się poddałam.

## Rozdział szósty

Ponownie obwiązałam sobie kostkę. Oczy piekły mnie i paliły, jak gdybym wpatrywała się prosto w słońce. Znajdowaliśmy się w świecie, do którego nasz gatunek nie był przystosowany. Jednak Oomark widział go inaczej, wydawał mu się normalny. Czyżby Bartare w jakiś sposób przygotowała go do tego?

Choć przymknęłam oczy, żeby nie widzieć krzykliwych barw, daleko mi było do snu. Czułam zbliżające się niebezpieczeństwo.

- Oomark, od jak dawna Bartare zna Panią?

Kiedy nie odpowiedział, uniosłam powieki. Stał do mnie tyłem. Wszystko, co widziałam w jego pochylonych ramionach i odwróconej głowie, wyrażało niechęć do udzielenia odpowiedzi. Potem odezwał się ochryplym szeptem:

- Nie chcę o niej mówić. Ona... ona wie, kiedy o niej mówię!

- Bartare?

- Nie - Pani! To niedobrze o niej wspominać, bo wtedy myśli o mnie. - Nie ulegało wątpliwości, że był wzburzony. Choć bardzo chciałam dowiedzieć się czegoś więcej, wiedziałam, że nie mogę naciskać go zbyt mocno.

- Czy... czy byłeś tu już kiedykolwiek przedtem, Oomark?

- Nie. W domu... na Chalox... nie było sposobu, żeby się tu dostać. Bartare dopiero niedawno dowiedziała się, że istnieje droga, która tutaj prowadzi. Chciała uciec... tylko ze mną... ale było za daleko. Musiała więc czekać, aż nadarzy się okazja, żeby znaleźć się bliżej.

- Czy to właśnie dlatego nie chciałeś, żeby pojechała z tobą na wycieczkę?

Skinął głową.

- Wciąż mówiła, że musi znaleźć się w pewnym miejscu. Ale... ja nie chciałem iść, ponieważ nie chcę tu być! Nie chcę!

- Żadne z nas nie chce.

Próbowałam zasugerować, że to tylko kwestia czasu, zanim znajdziemy się z powrotem na bezpiecznym Dylanie.

- Bartare bardzo chciała się tu znaleźć. Nie odejdzie stąd. Zobaczysz.

Kłopot polegał na tym, że mogłam nie zobaczyć, ale czułam, że miał rację. I nie wiedziałam, co będę w stanie zrobić, gdy już spotkam się z Bartare. Należało pomyśleć poważnie o tej konfrontacji. Potarłam piekące oczy. To pieczenie sprawiało

ból.

- Oomark, powiedz, jak tu jest. Chodzi mi o to właśnie miejsce.

- Cóż, rośnie tu wielki krzak, wysoki jak drzewo - zaczął, a potem przerwał i nie odzywał się tak długo, że otworzyłam oczy. Chłopiec wpatrywał się w różowożółty trójkąt na prawo od nas. Pospieszenie odwróciłam od niego wzrok, ponieważ jego jaskrawe barwy potęgowały pieczenie w oczach.

- Co to jest?

- Ja... nie podoba mi się to, Kildo. Proszę, czy moglibyśmy stąd odejść?

Choćby tylko kawałek dalej. Nie chcę być tu ani chwili dłużej.

- Oczywiście.

Wstałam i poszliśmy przed siebie. To nie kostka ani ogólne zmęczenie było tym, co sprawiało, że poruszaliśmy się teraz tak wolno, ale raczej mój wzrok. Nieustannie zaciskałam powieki, spod których płynęły łzy.

Znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni, gdzie barwnych, nieruchomych kształtów było niewiele. Nieobecność rażących kolorów ukoiliła nieco moje oczy.

Oomark przystanął. Przed nami biegł szeroki zygzak. Jego złocista powierzchnia migotała, jakby była w ruchu.

- Potok. - Oomark wpatrywał się w połyskliwą powierzchnię. Wygląda na głęboki, Kildo. A woda jest mętna. Nie widać dna.

- Musimy się przez niego przeprawiać?

- Bartare jest gdzieś tam. - Machnął ręką w poprzek błyszczącej smugi.

- Może uda nam się znaleźć miejsce, gdzie zwęża się lub robi płytszy - zasugerowałam. - Pójdziemy w górę, czy w dół strumienia?

- Ona jest bardziej w lewo.

- Zatem chodźmy tam.

Pocłapaliśmy dalej, by stwierdzić, że szerokość potoku wszędzie była taka sama. Oomark co rusz meldował, że przedostanie się na drugą stronę jest nadal niemożliwe. Nagle znowu przystanął.

- Idziemy teraz w złym kierunku.

Jeden z zakrętów zygzaku tworzył kąt ostrzejszy niż poprzednie. Gdybyśmy dalej szli wzdłuż potoku, cofalibyśmy się. Zanim zdążyłam się zastanowić, jak pokonać tę przeszkodę, Oomark stanął przede mną

- Nie chcę iść dalej, nie chcę!

Zachowywał się wyraźnie wrogo. Kręcił głową w obie strony, jakby został

przyparty do muru i musiał znaleźć drogę ucieczki.

- Oomark, co się stało?

- Nie chcę... nie pójdę! Nie zmusisz mnie... nie zmusisz! W jego głosie pobrzmiwały ostre tony hysterii. - Nie... nie!

Chłopiec rzucił się na mnie, a ja cofnęłam się o krok czy dwa, tak zaskoczona, że nie zdążyłam wyciągnąć ręki, żeby go chwycić. Przemknął obok mnie i uciekł, wbiegając w gęstniejącą szarość, która go pochłoneła.

- Oomark! Oomark! - Bałam się, że go straciłam. Nie rozumiałam, co skłoniło go do ucieczki, chyba że te dwie, za którymi podążaliśmy, tak go odstraszyły.

Nasłuchiwałam. Nie odpowiadał na moje wołanie, a w tej mgle mogłam jedynie kierować się dźwiękami. Usłyszałam coś i pokuśtykałam w tamtą stronę, boleśnie nadwierzając kostkę. Potem znowu zapadła absolutna cisza, więc zawołałam:

- Oomark! Oomark!

Usłyszałam szloch, taki sam jak ten, który doprowadził mnie do niego na początku. Próbowałam ustalić, skąd dochodzi. Okolica była tutaj wypełniona błyszczącymi kształtami. Ich krzykliwe barwy były jeszcze jaskrawsze i nieustannie musiałam trzeć moje umęczone oczy.

W pewnej chwili wpadłam na jaskrawożółty równoległobok. Lecz choć takim go właśnie widziałam, tym, co poszarpało mi odzież i podrapało skórę, były kolczaste gałęzie. Cofnęłam się z okrzykiem, z rąk ściekały mi cienkie strużki krwi. Opadłam na kolana i spojrzałam na podłoże. Zobaczyłam tylko aksamitną szarość. A jednak, kiedy przesunęłam rękami, wyczułam żwir i piasek, miękki mech i trawę o bardzo krótkich źdźbłach.

W tym momencie fakt, że dotyk mówił coś innego niż wzrok, nie miał większego znaczenia. Liczyło się tylko to, że Oomark zniknął, i że teraz nie słyszałam już nawet jego pochlipywań. Przykucnęłam i zawołałam, wyteżając jednocześnie słuch:

- Oomark! Oomark!

Moje wołanie wzbudziło tylko słabe, smętne echo, przypominające jęk. Czy powinnam dalej błądzić po omacku? Lecz nie byłam pewna, w którą stronę mam iść.

- Oomark?

Tym razem usłyszałam odpowiedź - zduszony okrzyk, dochodzący z drugiej strony zarośli, na które wpadłam. Ale z jak daleka? Gdyby tylko odpowiadał na moje

wołanie...

- Oomark!

Tak, odpowiedział, choć słyszałam tylko dźwięki, nie dające się ułożyć w słowa. Powlokłam się dalej, unikając jakiegokolwiek kontaktu z kolorowymi figurami. Były tak jaskrawe i błyszczące, że zaczęłam odnosić wrażenie, iż kroczę wśród strzelających płomieni.

- Oomark!

Byłam tak pewna, iż ostatnia jego odpowiedź dotarła do mnie z daleka, że aż wzdrygnęłam się, kiedy usłyszałam głos chłopca tuż przed sobą.

- Jestem tutaj.

Siedział na ziemi i wydawało się, że w jakiś sposób przejął na siebie część tej szarości, tak że dostrzegałam go tylko wówczas, kiedy się poruszał. Kiedy osunęłam się na szare podłoże niedaleko od niego, zaczęłam mrugać i mrugać, żeby zobaczyć go wyraźniej przez zasłonę bólu i łez. Ponieważ dostrzegałam w nim coś...

Moje pierwsze wrażenie, że zlewa się tak dobrze z szarością, nie było grą wyobraźni. Musiał się kilka razy przewrócić i pobrudzić ziemią, bo całkiem poszarzał... A może wzrok płatał mi figła? Z lękiem przetarłam oczy. Nie, wciąż widziałam kolory, żółty i pomarańczowy, karmazynowy i szkarłatny. Lecz Oomark był szary i ta szarość z każdą chwilą coraz bardziej ciemniała!

- Nie wrócę tam! Nie zmusisz mnie! Bartare i Pani nie chcą mojej obecności! Jeśli tam pójde, one mi zrobią coś złego! Nie pójde!

- Dobrze. - Byłam zbyt zmęczona, żeby w tej chwili przemawiać mu do rozsądku. - Nie musisz. - Będziesz próbowała mnie zmusić!

Stał się agresywny i wrogi, i pomyślałam, że w każdej chwili może znowu uciec. Dręczyło mnie przecucie, że gdyby to zrobił, nigdy bym już go nie odnalazła.

- Nie. - Staralam się, żeby zabrzmiało to stanowczo. - Nie będę. Jestem zbyt zmęczona, żeby iść dalej.

- To dlatego, że nie chciałaś zjeść owocu. - W jego głosie pojawiła się złośliwa nuta. - Nie chcesz się zmienić...

- Zmienić się? - powtórzyłam tępo.

- Tak. Jeśli tego nie zrobisz, to miejsce nie będzie cię lubiło. Jeżeli się zmienisz... no, wtedy wszystko dobrze się skończy. Uwierz mi, Kildo!

Głos Oomarka złagodniał. Wyciągnął szarą rękę, jak gdyby chcąc dotknąć mojej, lecz jego palce nie zetknęły się z moim ciałem.

Zmiana - więc może to nie moje oczy były winne, że widziałam, jak Oomark coraz bardziej i bardziej przybiera barwę ziemi, na której siedział.

- A ty się zmieniłeś, Oomark?

- Chyba tak. Lecz jeśli ty się nie zmienisz, Kildo, nie będę mógł zostać z tobą. A ja nie chcę być sam! Proszę, Kildo, nie skazuj mnie na samotność! Proszę!

Wyciągnął obie ręce, jakby zamierzał mnie chwycić. Jednak odniosłam wrażenie, że me jest w stanie dokończyć tego gestu.

Kiedy z kolei ja wyciągnęłam rękę, chłopiec wzdrygnął się i odsunął. Potem wstał i zaczął się wolno cofać, z twarzą zwróconą ku mnie, jak gdyby pilnując się, żebym go nie zatrzymała.

- Musisz się zmienić, Kildo, musisz!

Odwrócił się i podbiegł do jednego z tych płomiennych kształtów. Tak bardzo sam przypominał płonąca pochodnię, że aż krzyknęłam. Kiedy Oomark cofnął się od tej świetlistej mgły okazało się, że w obu rękach trzyma galaretowatą kulę. Wyciągnął ręce, podając mi ją.

- Zjedz to, Kildo. Musisz to tylko zjeść!

Zanim zdążyłam odmówić, co mogło doprowadzić do walki, ponieważ widziałam, że jest zdecydowany w swoich działaniach, spomiędzy dwóch ognistych kolumn rozległ się dziwny dźwięk.

Był zduszony, ochrypli. Mogły to być słowa mamrotane w jakimś nie znanym mi języku. Oomark upuścił trzęsącą się kulę. Obejrzał się przez ramię i krzyknął z przerażenia.

Rzucił się do ucieczki, umykając z zasięgu mojej ręki. Za nim, dotykając ziemi najpierw jednym, potem drugim wierzchołkiem, sunął jakiś ciemnopurpurowy kształt, który przypominał dwa trójkąty, spojone ze sobą środkami. I z niego to właśnie wydobywały się bulgoczące dźwięki, jak gdyby starał się do nas przemówić.

Choć to coś wyglądało tak niezgrabnie, szybko podążało w ślad za Oomarkiem. Nie miałam pojęcia, co to mogło być, lecz reakcja Oomarka wskazywała, że jest przerażony.

Dziwny kształt przemknął z tupotem obok mnie, pędząc za chłopcem. Próbowałam uderzyć to coś torbą z prowiantem, gdy mnie mijało, lecz albo nie trafiłam, albo też nie poczuło uderzenia. I nie zainteresowało się mną.

Jakoś udało mi się wstać i ruszyć za ofiarą i myśliwym. Wszystko to stało się tak szybko, że początkowo, być może, kierowały mną wyłącznie odruchy. Potem

uświadomiłam sobie nagle całą grozę tego pościgu. Dźwięki upewniały mnie, że Oomark wciąż ucieka, a purpurowa rzecz dalej toczy się za nim.

Mój udział w tej gonitwie nie trwał długo, ponieważ nagle tuż przede mną wyrzuszyła się karmazynowa fala. Nie zdołałam odskoczyć przed tym, co wiło się pod moimi nogami, i tak gwałtownie runęłam na ziemię, że uderzenie pozbawiło mnie tchu i zmysłów.

Otoczała mnie ciemność. Istniał jakiś powód, dla którego musiałam się poruszać. Pełzłam, za każdym ruchem posuwając się naprzód o parę cali. I wciąż ten wewnętrzny przymus nie pozwalał mi odpocząć.

Moje wyciągnięte ręce nagle zanurzyły się w czymś wilgotnym. Wokół nadgarstków pojawiły się zmarszczki, jak na powierzchni cieczy. Woda! Nigdy w życiu nie pragnęłam niczego tak bardzo! Podciągnęłam się, żeby upaść twarzą w wodę. Potem piłam i piłam, jak gdybym nie była w stanie zaspokoić pragnienia. Wreszcie znowu osunęłam się w ciemność.

Zbudziłam się ze snu tak głębokiego, że nie poruszyło się we mnie żadne wspomnienie, dopóki nie usiadłam i nie rozejrzałam się wokół siebie z dziecięcym zdumieniem.

Było jasno, ale bez słonecznego blasku. Jakaś myśl zakiełkowała we mnie - co to jest słońce? Ciepła jasność powinna spływać z góry. Uniosłam twarz ku srebrnoszaremu niebu, w które wkręcały się spirale mgły. Nie potrafiłam określić kierunku, z którego dochodzi światło.

Poruszyłam się niespokojnie, gdy powróciły wspomnienia. Oczy mnie już nie bolały. Cóż - był to normalny, naturalny świat, pozbawiony jaskrawych kształtów. Znajdowałam się przy małej sadzawce zasilanej miniaturowym wodospadem. Z sadzawki wypływał mały strumyk, nad nim zwieszały się rośliny o długich, zielonych liściach w kształcie brzeszczotów starożytnych mieczy. Pośrodku każdego pęku tych liści, jak gdyby była skarbem, do którego dostępu miały bronić owe ostre klingi, sterczała łodyżka w kolorze ciemniejszej zieleni, zwieńczona dużym, białym kwiatem. Na koniuszkach płatków mieniły się srebrne plamki.

Nieco dalej zobaczyłam krzewy, gęsto obsypane kremowobiałymi i bladossrebrnymi kwiatami. W miarę jak rozglądałam się wokół siebie, żeby zobaczyć, gdzie jestem, nigdzie nie dostrzegłam żadnych innych barw z wyjątkiem rozmaitych odcieni bieli kwiatów, szarości skał i zieleni listowia.

Złożyłam dłonie w kubek i znowu się napiłam. Nagle przypominałam sobie

wszystko.

Oomark? Tamten obcy świat... Chyba jakimś cudem wróciłam na Dylana. Ale co stało się z dziećmi? Czy one także wróciły? Czy też dalej są uwięzione tam - tutaj - w zależności od tego, jak na to spojrzeć. Muszę je odnaleźć, sama, albo z pomocą innych.

- Oomark!

Gdy poderwałam się na nogi, stwierdziłam, że moje ciało jest zadziwiająco lekkie, jak nowe. Nie czułam żadnych dolegliwości, bólu ani zmęczenia, nawet głodu. Byłam tylko zniecierpliwiona.

- Oomark?

Przyjrawszy się uważnie podłożu, zobaczyłam na mchu i glebie ślady, jakie pozostawiłam czołgając się do sadzawki. Może gdybym cofnęła się wzdłuż nich...

Kierując się własnym tropem ruszyłam ku ścianie kwitnących krzewów. Kwiaty wydzielały intensywny zapach, a wśród nich unosiły się, trzepocząc delikatnymi, przejrzystymi skrzydłami, jakieś stworzenia, które nigdy nie zamierały w bezruchu na czas wystarczająco długi, bym mogła stwierdzić, czy są ptakami, czy też bardzo dużymi owadami.

Potem weszłam pomiędzy drzewa o ciemnozielonych liściach. Tu i tam widniały duże, płaskie jak talerz kwiaty, takie, jakie zwykle rysują małe dzieci: z okrągłym środkiem i wyrastającymi z niego dużymi, oddzielonymi od siebie płatkami. One również były zielone, ale o wiele jaśniejsze i bardziej błyszczące. I niektóre miały końce płatków zabarwione na niebiesko, podczas gdy inne wyglądały jak oproszone delikatnym, srebrnym pyłkiem. Jednak oba rodzaje rosły na tym samym drzewie.

Choć odczuwałam gwałtowną potrzebę odnalezienia dzieci, to jednak idąc rozglądałam się wokół siebie, odnosiłam bowiem wrażenie, że dostrzegam szczególnie szybciej i wyraźniej niż kiedykolwiek przedtem w życiu.

Ślady pełzania, za którymi podążałam, doprowadziły mnie w końcu do miejsca, gdzie zamiast nich pojawiły się odciski butów. Kiedy to zobaczyłam, moja nadzieja, że wydostałam się z tego obcego świata, legła w gruzach: zostawiły je moje własne trzewiki. W pewnej chwili ślady te nałożyły się na inne, wcześniejsze i mniejsze, zdeptane z kolei przez większe. Te większe były dziwnie bezkształtne, nie umiałam określić, jakiego rodzaju stworzenie je zostawiło. Jedno wiedziałam od razu: musiały pochodzić od istoty, która ścigała Oomarka.

Podążałam więc tym nowym tropem. Ślady wiły się i kluczyły wśród drzew,



wskazując na to, że Oomark robił wszystko, by wymknąć się swemu prześladowcy. Wzbierał we mnie strach, gdy biegłam, najszybciej jak mogłam, tam, dokąd prowadziły.

Tutaj drzewa rosły rzadziej. Wydostałam się z lasu na otwartą przestrzeń, jednak pole widzenia ograniczała mgła. Kiedy obejrzałam się za siebie, zobaczyłam, że mgła wznosi się również za mną.

Drzewa ustąpiły miejsca krzakom, z których wiele było obsypanych pachnącymi kwiatami. Coś zanurkowało nad moją głową i zniknęło. Pewnie jakiś ptak albo inne latające stworzenie w pogoni za ofiarą.

Dręczyło mnie coraz silniejsze wrażenie, że jestem obserwowana. Dwa razy zatrzymałam się niespodziewanie i obejrzałam za siebie. Choć nie zauważyłam, by cokolwiek się tam poruszyło, to jednak nie mogłam oprzeć się uczuciu, że coś właśnie umknęło, kryjąc się przed moim wzrokiem.

Trop, którym podążałam, tak wyraźnie odbity w leśnej ściółce, tutaj stawał się mniej widoczny. Dostrzegłam tylko kilka słabych odcisków i co jakiś czas, na niezarośniętym skrawku ziemi, ślady butów Oomarka lub bezkształtnej stopy jego prześladowcy. Raz zupełnie zgubiłam kierunek i musiałam krążyć tam i z powrotem, aż w końcu znalazłam zdeptaną i pogniecioną trawę, która, jak pomyślałam z nagłym uczuciem strachu, zapewne oznaczała miejsce, gdzie Oomark został pochwycony. Odetchnęłam jednak z ulgą, gdy dalej dostrzegłam odcisk jego buta.

Ślady wskazywały, że chłopiec skręcił ostro w prawo. Przyszło mi do głowy, że może chciał wrócić do lasu, bo na otwartym terenie nie znalazł niczego, co mogło służyć za kryjówkę, z wyjątkiem trawy. Ta była bardzo gruba i soczysta, sięgała łudek i muskała je za każdym krokiem.

Dziwne opary zasnuły drzewa, z których wyszłam. Zamknęły mnie w małej, wolnej od mgły przestrzeni, przesuwał się wraz ze mną. Wyglądało to tak, jak gdyby otaczała mnie jakaś osłona o ściśle określonych granicach, wymyślona po to, bym nie mogła widzieć tego, co znajduje się poza nią. Ta nie zamglona przestrzeń poruszała się razem ze mną, dopóki nie znalazłam się wśród skał wznoszących się tak wysoko jak drzewa.. Kiedy dotarłam do tego miejsca usłyszałam płacz, który swoją absolutną beznadziejnością zwiastował grożące niebezpieczeństwo.

Ostrzeżona w ten sposób zbliżałam się tak cicho, jak umiałam, z uwagą stawiając stopy na żwirze i drobnych kamieniach, gęsto zalegających wśród skał, dopóki nie znalazłam się w miejscu, z którego mogłam spojrzeć w dół zbocza.

Tuż na skraju wolnej od mgły przestrzeni zobaczyłam tych, których tropiłam. Oomark wciskał się pomiędzy dwie skały, tak jakby szukał azylu, zapewniającego bezpieczeństwo. Płakał, choć bardziej przypominało to beczenie - dźwięk, jaki może wydawać człowiek, kiedy strach doprowadza go do stanu granicznego z utratą zmysłów. Poruszał słabo wyciągniętymi rękami, jak gdyby odpychał od siebie jakiegoś napastnika.

Jednak istota, która go ściagała, wcale nie była tuż przy nim, a raczej zachowywała sporą odległość, cofając się za każdym razem, kiedy próbowała postąpić naprzód, jakby jakaś niewidzialna ściana wznosiła się pomiędzy nią a chłopcem. Nią... nim... tym... Wstrzymałam z niedowierzania oddech, lecz równocześnie byłam pewna, że wzrok nie mami mnie, i że to, co się tam czai, naprawdę tak właśnie wygląda. Wielkości człowieka, z grubsza rzecz biorąc humanoidalne, nie przypominało żadnej z obcych ras, których przedstawicielei zdarzyło mi się widzieć. Barki, masywne i pochylone, sprawiały, że zbyt duża głowa stworzenia wychylała się do przodu, podskakując w takt ruchów, zamiast sterceć do góry. Ramiona miało długie, nogi krótkie, i całe pokryte było czarnymi włosami, kędzierzawymi jak sierść zwierzęcia. Pomyślałam, że to jednak nie zwierzę, ponieważ tu i tam na pokrytym sierścią ciele widniały poszarpane szczątki odzienia, poprzekęcane i powiązane ze sobą. Choć wyglądało na to, że stworzeniu byłoby o wiele wygodniej, gdyby je rzuciło - nie potrafiło się ich wyzbyć, tak jak człowiekowi trudno się wyrzec ulubionej maskotki.

Co jakiś czas stworzenie nieruchomiało i zwracało głowę w stronę Oomarka, i wtedy słyszałam niezrozumiałe mamrotanie; takie same odgłosy wydawało to stworzenie, kiedy goniło chłopca. Lecz Oomark nie odpowiadał ani nie poruszał się, wyjąwszy te powtarzane bez przerwy gesty odpychania.

Zastanawiałam się, dlaczego stworzenie nie podejdzie bliżej i nie wyciągnie chłopca z tego kiepskiego przecież schronienia. Z pewnością dysponowało mocą nieskończenie przewyższającą siły przerażonego dziecka. Jednak nie ulegało wątpliwości, że z jakiegoś powodu nie potrafi zrealizować swoich zamiarów wobec ofiary, jakiegokolwiek by one były.

To jego niezdecydowanie, czy może niezdolność do realizacji zamierzeń, stwarzały mi szansę na przyjscie z pomocą. Strząsnęłam z ramienia torbę z prowiantem. Jej zawartość upchnęłam za tuniką, a potem zaczęłam zbierać odpowiednie rozmiarami i wagą kamienie.



## Rozdział siódmy

Z wypełnioną kamieniami torbą w ręce ruszyłam naprzód, kryjąc się za skałami. Potworna postać znowu próbowała zbliżyć się do chłopca. Jej kroki były tak ciężkie i powolne, iż uznałam, że może nie potrafi reagować zbyt szybko. Jednak nie mogłam mieć co do tego pewności. Niedocenianie przeciwnika okazuje się czasem fatalne w skutkach.

Obserwowałam, jak się kręci, wybierając odpowiednią chwilę do ataku. Potem skoczyłam, kręcąc torbą, by uderzyć nią w łeb potwora. Moja prowizoryczna broń była jednak nieporęczna i cios trafił w bark, ześlizgując się po nim.

Osiągnęłam przynajmniej to, że bestia krzyknęła, zatoczyła się do tyłu i opadła na kolana. Ominęłam ją i dopadłam do skał, gdzie krył się Oomark. Gdy już się tam znalazłam, odwróciłam się na pięcie, żeby stawić czoło atakom stworzenia.

Wciąż klęczało, z jedną łapą na ramieniu, w które trafił cios, potrząsając głową, wydawało dźwięki przypominające kwilenie. Nie miałam pojęcia, jak długo będzie niezdolne do działania. Wyciągnęłam rękę do Oomarka, choć próbował mnie odepchnąć. Jakoś udało mi się wyciągnąć go ze szczeliny pomiędzy skałami.

Wyrywał się, najwyraźniej zbyt wyczerpany i zdenerwowany, by mnie rozpoznać, usiłując uciec. Gryzł mnie i drapał, lecz trzymałam go mocno, jednocześnie usiłując uspokoić chłopca zapewnieniami, że już nie jest sam.

Nie wiem, czy w końcu to do niego dotarło, czy też może po prostu był zbyt zmęczony, żeby dłużej walczyć. W pewnej chwili zwiotczał w moim uścisku i poczułam, że dźwigam bezwładny ciężar.

Jedną ręką zaczęłam szukać po omacku torby, drugą zaś podtrzymywałam go, opierając o siebie.

Bestia nadal zajmowała się sobą. Dopiero kiedy ośmieliłam się uwierzyć, że zdołamy uciec, owłosiona głowa odwróciła się ku nam. Nos był ledwie zaznaczony, a oczy tak głęboko osadzone w oczodołach, że z trudem je dostrzegłam. Zamiast ust widniała szczelina, teraz dość szeroko rozwarta, jakby bestia z trudem łąpała oddech. A odsłonięte w ten sposób kły wydawały się tak groźną bronią, że z moją nędzną torbą z kamieniami poczułam się tak, jakbym za pomocą źdźbła trawy miała walczyć z laserem.

- Oomark! - Próbowałam mówić stanowczym tonem, żeby przebić się przez

strach, który go zniewolił. Było oczywiste, że nie zdołam nieść go i równocześnie bronić się przed bestią. - Oomark! Musimy stąd odejść. Rozumiesz?

Poczułam jak przez drobne, przyciśnięte do mnie ciało przebiegł dreszcz. Wciągnął głośno powietrze, lecz nie odpowiedział.

- Kilda? - Wyglądało to tak, jakby nagle zdał sobie sprawę, że to ja stoję pomiędzy nim a źródłem jego strachu.

- Tak, to ja, Kilda! - Nie było czasu na dalsze uspokajanie. Należało uciekać, zanim ten stwór znowu zagrozi nam drogę. Opanowałam zniecierpliwienie i dodałam: - Znalazłam cię, Oomark. Lecz teraz ty musisz mi pomóc. Czy dasz radę iść, jeśli będę trzymała cię za rękę? Nie mogę cię nieść.

- Kildo, to coś...! - Trzymał mnie tak mocno, że nie mogłam się poruszyć. - To coś złapie nas!

- Nie, jeśli stąd odejdziemy. - Starłam się mówić cicho. - Uderzyłam go, Oomark. Jest ranny. Ale musimy stąd odejść, zanim zdoła nas zatrzymać.

Chłopiec odwrócił głowę, żeby spojrzeć na potwora. I kiedy to zrobił, moja ręka musnęła wierzch jego głowy. Wydałam chyba okrzyk zaskoczenia, ponieważ przywarł do mnie jeszcze mocniej.

Jednak to nie zachowanie bestii mną tak wstrząsnęło. Tym czymś było to, co moja ręka wyczuła na głowie chłopca, i co zobaczyłam, kiedy już wiedziałam, czego szukać. Nad każdą skronią, symetrycznie rozmieszczone na głowie, widniały dwie małe wypukłości. Jak na guzy, które mógł nabić sobie podczas ucieczki, były zbyt regularne. I nie bolały go, ponieważ nie uchylił się, kiedy ich dotknęłam.

Przyjrzałam mu się uważniej. Rzeczywiście, wyglądał jakoś dziwnie szaro. A na jego drobnych ramionach i nogach, tam gdzie spod rozdarć w tunice i spodniach przeświecała skóra, zauważyłam miękkie meszki delikatnego, nowego owłosienia. Zmieniał się, zmieniał się w coś, co było zupełnie niepodobne do małego dziecka, ludzkiego dziecka.

Przez chwilę zapominałam nawet o owłosionym potworze, naszym wrogu, ale dźwięk głośniejszy od poprzedniego kwilenia kazał mi na niego spojrzeć. Stwór podniósł się na nogi, lecz jego ruchy były niepewne. Zaświtała mi nadzieja, że mój cios, mimo że nieco chybiony, zranił go jednak.

Stwór uczynił jeden czy dwa chwiejne kroki w naszą stronę. Zakołysałam torbą, którą trzymałam mocno za pasek. Chciałam przygotować się do zadania ciosu. Stwór musiał uznać to za ostrzeżenie. Przystanął.

Zobaczyłam, jak jego wąskie usta poruszają się, a w ich kącikach zbiera się ślina, jakby zmagał się z czymś. Potem wyciągnął przed siebie jedną łapę z uniesioną do góry, pustą dłońią, w geście błagania, podczas gdy te wijące się wargi wyartykułowały dwa słowa, kulawe i niewyraźne, jednak zrozumiałe:

- Nie... przyjaciel...

Wyciągnięta ręka przysunęła się do gardła, chwytając i szarpiąc za owłosioną skórę, jak gdyby stwór był tak przygnębiony niemożnością porozumienia się ze mną, że chciał wydrzeć słowa ze strun głosowych.

Po długiej chwili poruszyłam się. Stwór dawał do zrozumienia, najlepiej jak potrafił, że nie będzie przeszkadzał nam w odejściu. Nie miałam pojęcia, na ile postawa, jaką teraz prezentował, zasługiwała na zaufanie. Jednak prawdą było, że bez trudu mógł oderwać Oomarka od skał, a przecież nie zrobił tego. Musiałam zaryzykować...

Kiedy tak się wahałam, stwór odwrócił się od nas. Powłócząc nogami, z ręką na zranionym ramieniu, zaczął się oddalać. Nie spojrzął ani razu do tyłu, tylko człapał dalej, dopóki nie zniknął nam z oczu. Czy wszystko to było jedynie udawaniem i czy nie będzie skradał się za nami, by urządzić zasadzkę gdzieś wśród skał?

Pozostanie tutaj nie było żadnym rozwiązaniem. Pomyślałam, że mimo mgły, może uda mi się wrócić do lasu, a nawet do sadzawki, gdzie się ocknęłam. Tylko... co to mi da? Naprawdę ważną rzeczą było - nie miałam co do tego wątpliwości - odnalezienie Bartare i tej tajemniczej Pani. Drzwi otwierają się na dwie drogi i jeśli doprowadziły nas tutaj, powinny też pozwolić nam wrócić. Należy tylko je odnaleźć. A najlepszym sposobem na to jest wytropienie tego, kto ma do nich klucz.

- To stworzenie odeszło. - Łagodnie ujęłam Oomarka za głowę i nakierowałam tak, żeby sam mógł zobaczyć. - Teraz, kiedy go nie ma, my też powinniśmy odejść.

- Szybko - zanim to coś wróci!

Jego ręka, zaciśnięta na moim pasie, pociągnęła mnie w stronę otwartej przestrzeni. Ale ja miałam dosyć błąkania się. Należało obrać jakiś cel.

- Oomark, chcesz odejść stąd, z tego świata, prawda?

Nie uniósł głowy, tylko rzucił mi z ukosa dziwne spojrzenie. A ja po raz wtóry przeżyłam wstrząs, kiedy zobaczyłam, że jego oczy nie są już ciepłe i brązowe, lecz twarde i lśniące złote, oczy, jakich nigdy przedtem nie widziałam w ludzkiej twarzy.

- Odejść stąd... - powtórzył. - Tak, proszę, Kildo! Zanim to coś wróci!

- Oomark, czy wciąż wiesz, gdzie jest Bartare?

Jeszcze jedno spojrzenie tych złotych oczu.

- Zawsze wiedziałem. Jej to nie obchodzi... już wcale.

- Dlaczego?

- Ponieważ... ponieważ... - Jego drobna twarz wykrzywiła się w wyrazie zakłopotania. - Myślę, że to już chyba nie ma znaczenia.

Bardzo chciałam wiedzieć, dlaczego to już nie ma znaczenia. Lecz jakoś nie mogłam zmusić się, żeby o to zapytać. Zamiast tego powiedziałam: - Czy teraz możesz ją znaleźć?

Popatrzył na mnie wprost, mierząc mnie długim, badawczym, wcale nie dziecięcym spojrzeniem. Było zimne, pełne rezerwy, i nie przypominało Oomarka takiego, jakiego znałam. Potem skinął głową.

- Teraz mogę. Chodźmy!

Chwytał mnie za rękę i pociągnął na lewo od skał. Przynajmniej, o ile stworzenie nie zatoczyło koła po tym, jak straciliśmy je z oczu, oddalaliśmy się od miejsca, gdzie zniknęło we mgle.

- Jestem głodny - oświadczył Oomark po pewnym czasie.

Bardzo szybko otrząsnął się z przerażenia i stanu granicznego niemal z utratą zmysłów. Dziwiło mnie to odrobinę i zastanawiałam się, czy leżało to w jego naturze, czy też było jeszcze jedną manifestacją zachodzącej w nim przemiany.

- Poradzimy sobie. Mam racje żywnościowe.

Poklepałam ręką wyrzucenie na tunice, gdzie schowałam zapasy.

Wykrzywił twarz.

- Nie chcę tych śmieci, mam ochotę na prawdziwe jedzenie.

- Jest wystarczająco prawdziwe - zapewniłam go - choć może trochę wytrzęsione. Znajdźmy jakieś miejsce z dala od tych kamieni i posilmy się. - Teraz, kiedy wspominał o jedzeniu, ja również poczułam głód.

Skały ustąpiły miejsca łachom piasku i żwiru. Lecz była to najbardziej kolorowa rzecz, jaką zdarzyło mi się dotychczas zobaczyć wśród odcieni zieleni i bieli, bowiem wiele mniejszych kamyków nosiło intensywne, ciepłe barwy, przypominające nieco jaskrawe kolory kształtów, pomiędzy którymi przechodziłam wcześniej.

Oomark puścił moją rękę i odskoczył na bok, potem pochylił się i wyrwał coś z ziemi. Wrócił z ciemnopurpurową rośliną o kształcie wachlarza; jej mięsiste liście miały zielone żyłkowanie.

- Dobrze!

Machnął nią przede mną, a jego podarty rękaw zatrzepotał ukazując ramię, na którym szare włosy wydawały się jeszcze dłuższe i gęściejsze niż przedtem. Uważnie przełamał roślinę na dwoje i podał mi jedną część, wgrzyzając się w drugą z wyraźnym zadowoleniem.

Potrząsnęłam głową. Byłam pewna, że nie zdołam odebrać mu jego kawałka. Tak samo jak tego, że za żadne skarby świata nie wezmę do ust tej dziwnej rośliny. Oomark przeżuł kęs i przełknął.

- To naprawdę jest dobre! - zachęcił mnie, najwyraźniej zaskoczony moją odmową.

- Możesz to jeść, jeśli chcesz. Ale zostaw trochę miejsca na prawdziwe jedzenie.

Znowu położyłam rękę na tunice w miejscu, gdzie schowałam prowiant. Chciałam się upewnić, że wciąż mam to, czego chłopiec potrzebuje. Nie wiedziałam jednak, na jak długo starczą skąpe zapasy. Prawdopodobnie było to tylko kwestią czasu. Wkrótce zmuszona będę jeść dokładnie to samo, co teraz z taką radością pałaszował Oomark.

Znaleźliśmy dogodne miejsce na odpoczynek. Uznałam, że jest bezpieczne, ponieważ znajdowaliśmy się na otwartym terenie, gdzie jedyną osłoną był sięgający mi do pasa gład, tak więc nikt nie mógł podkraść się do nas niepostrzeżenie. Oomark nie miał nic przeciwko temu, by się tam zatrzymać.

Gdy tylko usiedliśmy na ziemi, Oomark zaczął mocować się z zaczepami butów.

- Bołą mnie stopy. Czuję się tak, jakby buty przestały na mnie pasować. Chcę zobaczyć dlaczego...

Szybkość, z jaką odzyskał pogodę ducha po przerażających zajściach, wciąż nie przestawała mnie zdumiewać. Nigdy bym nie przypuszczała, że drzemią w nim tak wielkie siły witalne, ale teraz cieszyłam się, że tak właśnie jest.

Gdy on zdejmował buty, ja wyciągnęłam rozmaite pojemniki, którymi wypchałam tunikę. I choć naprawdę mogłabym zjeść wszystko od razu, otworzyłam tylko jedno opakowanie, przełamując na pół gruby baton, który się w nim znajdował. Było to jedno z wysokokalorycznych, owocowo-proteinowych ciastek, wyśmienitych w smaku.

Jednak kiedy wzięłam swoją porcję ciastka i uniosłam do ust, jego zapach



wydał mi się wstrętny. Musiałam przemóc się, żeby przeżuć i połknąć kęs, a smak wcale nie był przyjemny. Przypomniała mi się wcześniejsza awersja Oomarka do czekolady. I zastanowiłam się, czy ktoś, kto skosztował jedzenia lub picia z tego świata, nie nabiera odrazy do właściwego mu pożywienia. Uparcie gryzłam dalej baton. I im dłużej to robiłam, tym mniej stawało się to nieprzyjemne, tak że ostatni kęs czy dwa smakowały już normalnie.

- To dla ciebie - powiedziałam, podając drugą połówkę Oomarkowi.

Potrząsnął głową.

- Nie chcę. Jest zepsuty albo coś takiego. Nawet stąd czuję, że brzydko pachnie. Nie powinnaś jeść takich śmieci, Kildo. Możesz się przez to rozchorować.

Nie chciał spróbować niczego z tego, co miałam. A ponieważ nie mogłam nakarmić go siłą, musiałam pogodzić się z faktem, że w starczyła mu roślina, którą zjadł.

Może później, jeśli nie znajdzie ich więcej i naprawdę zgłodnieje...

Zdjęłam wierzchnią tunikę i zrobiłam z niej worek, który mogłam przymocować do pasa. Torba na prowiant musiała dalej pełnić rolę broni. Było ciepło i lekkie podmuchy wiatru pieściły skórę na moich ramionach. Choć od pasa w górę chroniła mnie tylko spodnia tunika, pozbawiona rękawów i z głębokim dekoltem, nie czułam zimna.

W szarym świetle moja naga skóra zdawała się nabierać innej barwy. Nie byłam szara jak Oomark; z natury brązowa karnacja stała się jeszcze ciemniejsza i bardziej czerwonośniada. Nabrała też połysku, jak gdyby natarto ją oliwą. Jednak w dotyku wydawała się normalna.

Starając się obyc bez lustra, przesunęłam rękami po głowie i twarzy, żeby chociaż w ten sposób dowiedzieć się, jak wyglądam.

Rezultat nie był tak porażający jak wówczas, kiedy zobaczyłam to okropne odbicie w mojej sypialni, lecz i tak wystarczająco mnie zaskoczył. Przede wszystkim włosy, które zawsze kręciły mi się tak mocno, że mając trudności z ich układaniem strzygłam je krócej niż nakazywała moda, opadały teraz prostymi pasmami. Pociągnęłam za jedno z nich - włosy nie były już ciemnobrązowe, lecz zielone. Ponad wszelką wątpliwość zielone!

Na tyle, na ile mogłam stwierdzić, moje oczy, nos, usta pozostały takie jak zawsze. Byłam wdzięczna przynajmniej za to.

- Teraz lepiej!

Oomark ściągnął buty, odrzucił je tak, jakby już więcej nie chciał ich widzieć, i wyciągnął nogi przed siebie.

Jego stopy... nie! W owej chwili najchętniej krzykiem wyraziłabym swój sprzeciw wobec tego, co widziałam, z tym tylko, że byłam zbyt przerażona, by wydać z siebie jakikolwiek dźwięk. Nie wyglądały już jak ludzkie stopy. Palce zrosły się tak, że to, na co patrzyłam, było czymś pośrednim pomiędzy zdeformowaną stopą a rozszczepionym kopytem, nad którym przypominające sierść owłosienie wyrastało o wiele dłuższe i gęściejsze niż gdzie indziej.

- Oomark...

Choć wzdrygałam się przed tym, zmusiłam się, żeby wyciągnąć rękę, dotknąć kopyta i przesunąć nią w górę po obrośniętej sierścią nodze. Tliła się we mnie rozpaczliwa nadzieja, że jest to tylko złudzenie optyczne, że pod palcami czuję normalną stopę.

Ale tak nie było. Dotyk potwierdzał, że kopyta Oomarka i jego owłosione nogi są rzeczywiste, tak samo jak moje proste, zielone włosy.

- Teraz będzie mi się szło o wiele lepiej - oświadczył. Najwyraźniej widok kopyt wcale go nie kłopotał. Wyglądało na to, że spodziewał się je zobaczyć, kiedy ściągał buty. Zamachał nogami jak ktoś, kogo uwolniono z krępujących więzów.

Gdy obejrzałam go uważnie od tych kopyt po czubek głowy, zobaczyłam coś jeszcze. Guzy na jego skroniach stały się znacznie większe, już nie krągłe i pokryte skórą, lecz zakrzywione, spiczaste i kremowobiałe. To były rogi!

Zdarzają się chwile, kiedy człowiek staje w obliczu zbyt wielu wstrząsów i potem wszystkie, nawet najbardziej niewiarygodne i zdumiewające wydarzenia przyjmuje obojętnie. W jakiś sposób dotarłam do tego właśnie punktu. A może znajdowałam się w takim szoku, że nie znalazłam w tym niczego odbiegającego od normy? Że było to dziwne - owszem, ale nie potęgowało mojego strachu.

Skoro tylko ruszyliśmy dalej, znowu zaczęło prześladować mnie uczucie, iż jesteśmy śledzeni. Lecz zasłona mgły była tak gęsta, że oglądanie się za siebie nie dało mi nic z wyjątkiem przekonania, iż jeśli ktoś lub coś podąża za nami, to z pewnością nie depta nam po piętach.

Oomark nie wziął z sobą butów; zostawił je tam, gdzie je odrzucił. Jeszcze dwukrotnie wrywał z ziemi purpurowe rośliny i przeżuwał je, za każdym razem oferując mi część. Nie chciałam tego, co mi dawał. Tylko raz wzięłam kawałek, żeby przyrzeć mu się bliżej, i stwierdziłam, że reaguję na jego zapach tak samo, jak

Oomark reagował na woń moich racji żywnościowych. Roślina w dotyku była tak nieprzyjemna, że musiałam wytrzeć palce o spodnie, kiedy już ją wyrzuciłam.

- Jak daleko jesteśmy od Bartare? - zapytałam udręczona tym, że wciąż idziemy i idziemy bez końca. Szliśmy przez płaską łąkę, porośniętą gęstą, bujną trawą, pozbawioną choćby jednego krzaka, na którym można byłoby zatrzymać wzrok. Trawa miała szczególną właściwość: rosła w na pozór równych kręgach. Ich brzegi wyznaczały wyższe i wyraźnie ciemniejsze źdźbła. Zauważyłam, że Oomark nigdy nie następował na żadną z tych ciemniejszych obręczy, kiedy przechodził przez kręgi. Naśladowałam go w tym z wrodzonej ostrożności, podpowiadającej mi, że wszystkie środki podjęte w celu uniknięcia niebezpieczeństwa są dobre.

Znajdowaliśmy się właśnie pośrodku jednego z takich kręgów, kiedy zadałam to pytanie. Oomark prowadził. Teraz obejrzał się przez ramię i stwierdziłam, iż jego rogi jeszcze bardziej rzucają się w oczy. Zobaczyłam też, że małe uszy chłopca wydłużyły się, a ich końce zrobiły się wyraźnie spiczaste.

- Nie wiem. Jest tam... - I z przekonaniem wskazał na mgłę, która rozciągała się przed nami.

Lecz gdzie było to "tam"? Wydawało się, że nie ma pojęcia i w końcu spochmurniał, kiedy naciskałam dalej. Powiedział, że nie potrafi tego określić - wie tylko, iż Bartare jest przed nami, i że jeśli zajdziemy wystarczająco daleko, znajdziemy ją. Przyjrzałam się mgłę z powątpiewaniem. Choć nie potrafiłam tego zmierzyć, to jednak miałam całkowitą pewność, iż na początku tej wędrówki mogłam sięgnąć wzrokiem znacznie dalej, i że teraz mgła otacza nas coraz ciaśniej. Ta konstatacja nie należała do przyjemnych, tym bardziej w sytuacji, kiedy nabrałam przekonania, że jesteśmy śledzeni. A jeśli te okrążające nas opary zgęstnieją tak bardzo, że się w nich zgubimy? Wówczas stalibyśmy się łatwym łupem dla każdego, kto by na nas czatował.

Z pewnością byłoby dla nas lepiej, gdybyśmy znaleźli jakieś schronienie i zaszyli się w nim, dopóki mgła nie rozwieje się albo przynajmniej nie wróci do stanu, w jakim znajdowała się, kiedy wychodziłam z lasu. Lecz zanim zdążyłam zasugerować to Oomarkowi, chłopiec zbliżył się do mnie. Spoglądał na lewo, a jego nos, wyraźnie większy, z szerokimi, rozdętymi nozdrzami, zdawał się łowić dochodzące stamtąd wonie.

- Lepiej zostanmy tutaj, w pierścieniu Ludu - powiedział. Inni być na zewnątrz.

Nie tylko jego wygląd uległ zmianie; zmienił się także sposób wystawiania - mówił teraz inaczej, dziwnie dobierając słowa. Zaskoczył mnie też swoim postępowaniem: opadł na czworaki i obszedł krąg od wewnątrz, z nosem tuż przy ziemi, węsząc głośno. Kiedy obszedł cały obwód, usiadł w kucki na kopytkach.

- To dobre miejsce. - Klepnął w ziemię obiema rękami. - Inni nie przełamują kręgu, rozumiesz? Poczekamy tutaj, dopóki znowu nie przyjdzie odpływ...

Usiadłam na ziemi, żeby przyjrzeć się bliżej jego zmienionej twarzy z nadzieją, że może zdołam odczytać coś z jej wyrazu.

- O jakich innych mówisz, Oomark?

- O innych... o Pomroczach. Oni i Lud nigdy nie są jednym. Ale tutaj człowiek z Ludu jest bezpieczny, chyba że musi długo czekać i jest zmęczony. - Zadrżał jak ktoś, kto wspomina przeżyte chwile grozy.

- A kto należy do Ludu? - dopytywałam dalej łagodnie. Oomark, jakiego znałam, niemal zniknął, zatracony w tym obcym dziecku. Pragnęłam złapać i trzymać mocno ostatnie nędzne resztki jego dawnej osobowości, ale nie miałam pojęcia, jak to zrobić.

- Do Ludu? Chyba nie wiesz, co mówisz, Kildo. Wszyscy znają Lud... ty... ja...

- Bartare i Pani też?

- Tak, wszyscy, tak - skinął głową.

- A inni? Czy to jeden z nich cię ścigał?

Odniosłam wrażenie, że pytanie zakłopotало go nieco. - On nie należał... do Pomroczy. Ani do Ludu. Był jednym z Pomędzy. - Wymówił słowo "pomędzy" jak nazwę gatunku. - I ty też, Kildo, staniesz się kimś takim, jeśli nie będziesz uważać! - To ostatnie zdanie wykrzyczał pod moim adresem jak groźbę.

Spojrzałam na ramiona i ręce, żeby upewnić się, że nie widać na nich szorstkiego zarostu, że nie zmieniam się w potwora jak ten, którego uderzyłam torbą z kamieniami. Lecz moja skóra, choć ciemna i lśniąca, wciąż była gładka.

- W jaki sposób mogę się stać kimś takim?

- Jeśli nie zaakceptujesz, nie zostaniesz zaakceptowana.

Wypowiedział to zdanie poważnym i uroczystym tonem, jak gdyby wygłaszał obowiązujące prawo.

- Przebyłaś połowę drogi. Lecz twoja wędrówka musi zaprowadzić cię jeszcze dalej. Zdejmij buty, dotknij stopami ziemi - czuj!

Zawahałam się. Kiedy Oomark zrzucił trzewiki, odkrył kopyta. Czy jeśli ściągnę swoje, ujrzę podobną deformację? Spróbowałam podkurczyć palce u nóg - miałam pewność, że mogę nimi poruszać. Ale musiałam przekonać się na własne oczy. Zdjęłam buty.

Moje stopy! Nie miałam kopyt, ale stopy wcale nie były takie jak zawsze. Palce zrobiły się dłuższe i szczuplejsze. Wydawały się rozprostowywać, jakby każdy z nich otrzymał dodatkowy staw. I okazały się o wiele bardziej chwytne, niż u ludzi. Te nowe, giętkie palce zagięły się, zupełnie bez mojej woli, i wbiły w ziemię.

A ja poczułam wstrząs, jak gdyby te szpony, zanurzając się w glebie, napotkały tam źródło energii, która przepłynęła przez nogi i wypełniła całe ciało. Gwałtownym ruchem wyrwałam je z ziemi i spróbowałam znowu nałożyć buty.

Ale nie dało się tego zrobić. Musiałabym tak podwinąć palce w butach, że uniemożliwiłoby mi to chodzenie. W dodatku szpony wiły się niezależnie od mojej woli, gdy próbowałam złączyć je i wcisnąć do butów, jak gdyby żyły własnym życiem i były zdecydowane z powrotem zanurzyć się w podłożu.

Ostatecznie oderwałam od butów wyściółkę i z furją obwiązałam nią ciasno stopy. Może nie poradzę sobie z własnym ciałem i kośćmi, ale poskromię buntownicze palce, które mnie nie słuchały, pomyślałam.

Skoro tylko zostały owinięte tak, że żaden nie dotykał bezpośrednio ziemi, uspokoiły się. I niemal uwierzyłam, że wyściółka skrywa normalne, ludzkie stopy. Musiałam iść dalej bez butów, lecz płótno było zabezpieczeniem, którego nie śmiałam porzucić.

- To nie było mądre, Kildo - zauważył Oomark. - Lepiej żebyś wstąpiła na ścieżki Ludu, bo inaczej zginiesz, ponieważ nie należysz do Pomroczy...

- Jestem Kilda c'Rhyn - rzuciłam wyzywająco. - Nie należę do tego świata! Tak samo jak i ty, Oomarku Zobak!

Wtedy roześmiał się w sposób zupełnie nie dziecinny.

- Och, należysz, Kildo, należysz, tak samo jak i ja. I wkrótce nie będziesz się już tego wypierała. Wcale.

## Rozdział ósmy

W owej chwili nie chciałam spierać się z Oomarkiem, ponieważ dostrzegałam w nim coś, co mnie przed tym powstrzymywało. Choć wciąż był małym chłopcem, w jakiś sposób wydawał mi się starszy, bardziej skryty. Nie podobały mi się te kose spojrzenia, którymi co jakiś czas obrzucał ranie, napawając się, ciesząc się z moich trudności, może szukając zachodzących we ranie zmian?

Znowu sięgnęłam po jedzenie. Lecz on nie chciał nawet spróbować tego, co mu oferowałam. Sama zjadłam o wiele mniej, niż miałam na to ochotę. Lecz musiałam się ograniczać. Wiedziałam, że tych zapasów nie da się uzupełnić.

Zaczęło padać, a może to tylko mgła, która coraz bardziej gęstniała, skraplała się na naszych ciałach. Sięgałam wzrokiem tylko do zewnętrznej krawędzi pierścienia, w którym siedzieliśmy. Dość niezwykle, jednak wszechobecna wilgoć wcale mi nie dokuczała.

Coś dziwnego działo się na mojej głowie i kiedy uniosłam ręce, stwierdziłam, że wilgotne włosy wcale nie przylegają do czaszki, tylko sterczą wyprostowane, i muszę przycisnąć je ręką, żeby opadły. Wilgoć na skórze i we włosach sprawiła, iż przestałam odczuwać pragnienie.

Kiedy spojrzałam na Oomarka, zobaczyłam, że liże mechaty zarost na grzbietach rąk (bowiem wyrósł mu już i tam), i nawet na ramionach, zupełnie jak wybredny kot, który robi sobie toaletę, kiedy przemoknie, choć nie wydawało się, by wilgoć psuła mu humor. Potem z gwałtownym szarpnięciem poderwał głowę, spoglądając gdzieś nad moim ramieniem. Odwróciłam się, by też tam spojrzeć. Początkowo zobaczyłam tylko kłębiącą się mgłę. Potem dostrzegłam jakiś ciemniejszy kształt, który nie unosił się wraz z tumanami mgły, lecz przedzierał się przez nią. Choć do moich uszu nie dochodził najlżejszy dźwięk, zrozumiałam, że to coś okrąża pierścień. Czy właśnie to podążało za nami?

Sięgnęłam po obciążoną kamieniami torbę. Jakże pragnęłam mieć przy sobie ogłuszacz lub pistolet laserowy. Jednak ta istota, kimkolwiek była, jawiła się tylko jako ciemny kształt.

Oomark obchodził krąg od wewnątrz, śledząc ją wzrokiem. Zastanowiłam się, czy widzi więcej ode mnie.

- Co to jest?

- Pomroc.

Jego nozdrza rozszerzyły się, jak gdyby wężąc, a potem dodał:

- Nie może przedostać się do kręgu. Ale... - uniósł głowę nieco wyżej - ...na zewnątrz jest coś jeszcze.

W tej właśnie chwili poczułam zapach, który kazał mi odwrócić ze wstrętem głowę. Fala wywołującego mdłości odor, przypominającego fetor zgnilizny i nieczystości, ogarnęła nasze schronienie. Musiałam krzyknąć, bowiem usłyszałam, jak Oomark powiedział:

- To jeden z Pomroczy. Zawsze tak pachną. Ale ten drugi...

Oomark wstał. Przed nim przesunął się mroczny cień. Lecz chłopiec wpatrywał się prosto przed siebie we mgłę. Po chwili potrząsnął głową.

- Jest tam. Wydaje mi się, że się nam przygląda. Ale nie wiem, co to może być, poza tym że nie cuchnie jak Pomroc.

Jeśli chciał powiedzieć coś więcej i tak zagłuszyłby to wysoki, donośny dźwięk, który sprawił, że zadrżałam. I coś zareagowało na ten sygnał trąby czy rogu - z tak bliska, że pomyślałam, iż to krążący wokół nas cień mógł udzielić odpowiedzi. Brzmiała jak głuche, dudniące warknięcie.

Jeszcze raz rozległ się sygnał, przywodzący na myśl wezwanie, żądanie, tak bardzo bowiem był władczy. I ponownie odpowiedział mu pomruk, posępny skowyt, brzmiący jak sprzeciw. Lecz gdy ów róg zabrzmiał po raz trzeci, po nim rozległ się nie pomruk, lecz raczej głęboki, donośny ryk, być może pożądana odpowiedź.

Oomark znowu przykucnął, obejmując ramionami kolana. Skulił się tak, jak gdyby chciał uczynić się jak najmniejszym, pozostać nie zauważonym. Zobaczyłam, że wstrząsają nim dreszcze. Głowę wcisnął w kolana, tak że nie mogłam dojrzeć, jaki wyraz maluje się na jego twarzy.

Choć starałam się przebić wzrokiem ścianę mgły, nie zobaczyłam już tego ciemnego cienia ani też nie doszedł do mnie jego fetor. Gdzieś w szarych tumanach po raz kolejny zadźwięczał róg. Teraz nie stanowił już wezwania, brzmiało w nim raczej zadowolenie, obietnica, że najgorsze dopiero nastąpi. Zanim jeszcze umilkły jego echa, rozległo się ujadanie, dźwięk, który sprawił, że mimowolnie uniosłam rękę do uszu. Nagle zapragnęłam zapaść się pod ziemię i naciągnąć na siebie osłonę z darni.

- Co to jest? - zapytałam szeptem Oomarka. Zdawał się wiedzieć wiele o tym świecie, a jego strach był tak oczywisty, że pomyślałam, iż potrafi nazwać to, co dla

mnie pozostawało bezimienne.

- Polowanie! Ach... - Jego słowa urwały się w jęku obłądnego strachu. - On poluje...

- Kto? - Chwyciłam Oomarka za ramię. W odpowiedzi zamierzył się na mnie, jak gdyby teraz nie potrafił odróżnić przyjaciela od wroga. - Kto? Powiedz mi! - Potrząsnęłam nim.

- Nadzorca Pomroczy. - Dziwne, żółte oczy, którymi Oomark mierzył ten obcy świat, były utkwione w ścianie mgły. Jego język przesuwiał się po wargach. - Wzywa swoją sforę na łowy...

Z pewnością nie mogło to mnie uspokoić. Nasłuchiwałam, nie puszczając Oomarka, starając się wyłowić z wilgotnej mgły najłżejsze dźwięki. Lecz kiedy róg zabrzmiał znowu, jego głos był słabszy, odleglejszy, a okropne ujadanie, które nań odpowiedziało - ledwie słyszalne.

Poczułam, że Oomark odprężył się odrobinę. Jeszcze raz przejechał językiem po wargach. Wciągnął powietrze w nozdrza.

- Czarny pies odszedł - zameldował.

Zdawałam sobie sprawę, że muszę wyciągnąć z Oomarka wszystko, co wiedział - lub czego domyślał się - o tym świecie. Wędrówka na ślepo, kiedy człowiek nie wie, kiedy i skąd pojawi się niebezpieczeństwo, była zbyt wielkim ryzykiem. W wiedzy kryła się moja nadzieja.

- Oomark, musisz powiedzieć mi wszystko, co wiesz o tym świecie - o istotach takich jak Pomrocze i łowca...

Znowu spojrzał na mnie z ukosa, chytrze.

- Proszę, Oomark, jeśli mamy iść dalej, muszę wiedzieć, jakie niebezpieczeństwa czają się tutaj.

Wzruszył ramionami.

- To twoja wina, że nie potrafisz określić zagrożenia. Chcesz należeć do tamtego świata, a nie w całości do tego.

Wtedy zbuntowałam się.

- Wcale nie należę do tego świata! Chcę wrócić do własnego.

- Widzisz? - Rozłożył z zakłopotaniem ręce. - Postanowiłaś być pośrodku. I dlatego łowca Pomroczy - i tacy jak on - mogą na ciebie polować. Chcesz wiedzieć... masz taką możliwość, ale ty nie chcesz po nią sięgnąć.

- Oomark! - Moja cierpliwość była na wyczerpaniu. - Powiedz mi wszystko,



co wiesz.

Chłopiec zawahał się. Pomyślałam: jeśli odmówi, w jaki sposób zmuszę go, żeby powiedział? Potem Oomark rzekł wolno:

- Nie wiem wszystkiego, ale kiedy zabrzmi coś takiego jak róg łowcy, wówczas tutaj... - dotknął ręką czoła - ..pojawia się wiedza. Wiem, co można jeść i pić, co możemy spotkać na drodze, i czy będzie to przyjaciel, czy wróg. Ale zanim się to wydarzy, nic nie wiem, naprawdę. Dopiero kiedy widzę lub słyszę...

Nie wątpiałam, że mówi prawdę. Zanim jednak zdążyłam wyciągnąć z niego więcej, uniósł nieco głowę i wskazał coś, wysuwając podbródek.

- Jeden z Pomędzy, ten który był przy skałach, jest tutaj.

- Czego chce?

Oomark mówi! z taką pewnością, jak gdyby widział owłosionego stwora.

- On głodny...

W moich myślach zrodziło się straszliwe przypuszczenie. Czy to my byliśmy ofiarą, którą tropił stwór? Zacisnęłam rękę na torbie i zebrałam siły do obrony.

Oomark dotknął mojego ramienia i potrząsnął głową.

- On nie chce nas. Nie jest taki jak łowca. Nie, on pragnie tego, co niesiesz - jedzenia z innego świata.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Wiem tylko, że go przyciąga. Chce go tak bardzo, że jest dla niego jak cały świat. Nie potrafi myśleć o niczym innym, tylko o tym. A ja z kolei czuję jego wielki głód w sobie. - Oomark przyłożył obie ręce do brzucha, pocierając go.

Ale dlaczego? Dlaczego stwór z tego świata chce moich skromnych zapasów? I nie dostanie ich, pomyślałam zawzięcie. Tobołek spoczywał bezpiecznie pod moją ręką; w drugiej dzierżyłam torbę, przygotowana na jakikolwiek atak.

- Tak, tego właśnie chce. Będzie podążał za nami, dopóki starczy mu sił. Jest ranny, dobrze wiesz. Kiedy go uderzyłaś, zraniłaś go. Tutaj. - Oomark dotknął palcami własnego barku, delikatnie, jakby obawiając się, że urazi jakąś ranę.

- Mimo to wciąż jest bardzo silny...

Aż za dobrze pamiętałam cielsko stwora i wcale nie pragnęłam być zmuszona do odpierania kolejnego ataku.

- Jest znużony i ranny. Teraz znalazł inny pierścień i odpoczywa w nim. Lecz kiedy ruszymy dalej, on pójdzie za nami - rzekł z przekonaniem Oomaik, a ja mu uwierzyłam. Więc tylko od nas będzie zależało, czy zgubimy albo zniechęcimy

podążającego za nami stwora.

Dziwne, ale nie miałam ochoty na sen, choć czułam zmęczenie, kiedy dotarliśmy do kręgu. Oomark również nie sprawiał wrażenia, że potrzebuje snu. I choć trochę rozmawialiśmy, to przede wszystkim spędzaliśmy czas (ile go jednak upłynęło, tego nie potrafiłam określić) jak gdyby w oczekiwaniu na jakiś sygnał. A jednak to nie czekanie budziło we mnie niepokój i zniecierpliwienie. Źródłem zdenerwowania była raczej ospałość i cisza. Nic się na razie nie działo.

Nie słyszeliśmy już więcej żadnych dźwięków. Nie widzieliśmy też cieni poruszających się we mgle. W końcu uświadomiłam sobie, że kurtyna unosi się i mój wzrok sięga dalej. Oomark poderwał się na nogi, a raczej na kopyta.

- Teraz jest czas wychodzenia. Ruszajmy w drogę. Jestem głodny.

Sięgnęłam po zapasy. Oomark potrząsnął głową.

- Chcę prawdziwego jedzenia - nie takiego, którego zapach wywołuje mdłości.

Powiedziawszy to przeskoczył przez ciemniejszą zieleń krawędzi kręgu, a jego małe kopytka zagrzechotały na spłachetku skały, który się tam znajdował. Spojrzałam na moje buty. Było oczywiste, że nie zdołam ich znowu nałożyć. Owinięte wokół stóp strzępy wyściółki musiały je zastąpić. Nie widziałam żadnego powodu, żeby obciążać się niepotrzebnymi rzeczami. Zostawiłam je więc tak, jak leżały, i ruszyłam za chłopcem.

Mgła unosiła się coraz szybciej. Teren, gdzie się zatrzymaliśmy, był płaski, pokryty wieloma pierścieniami rozmaitej wielkości. Całkiem niedaleko od nas ktoś zajmował jeden z tych pierścieni. Zgarbiona postać, podnosząca się teraz niezdarnie na nogi, była stworem, ścigającym Oomark. Strzępy, które zastępowały mu odzież, trzepotały na wietrze. Stworzenie odwróciło głowę w naszą stronę. Jedno ramię zwisało bezwładnie u boku. Lecz drugie poruszyło się, wyciągając ku nam pustą rękę, z uniesioną do góry dłonią. Zobaczyłam, że usta stworzenia poruszają się, jak wówczas, kiedy usiłowało coś powiedzieć.

Stworzenie wkładało w to tyle wysiłku, że w końcu mój strach zabarwiony został cieniem współczucia. Nawet ja rozumiałam, iż nie chce zrobić nam krzywdy, przynajmniej na razie; błagało nas o to, co miałam przy sobie. Dlaczego tak bardzo pragnęło jedzenia, którym gardził Oomark? Wąskie usta poruszały się, w ich kącikach pojawiła się ślina. A ręka, drżąca, jak gdyby utrzymanie jej w tej pozycji wymagało wysiłku, wyciągnęła się do mnie błagalnie.

- Chodź! - Oomark wysforował się naprzód. Oglądał się teraz niecierpliwie. -

Chcę jeść.

- Jeeeeeeść... - Słowo było nieudolnym naśladowaniem tego, co powiedział chłopiec, jednak stworzenie wypowiedziało je.

Łokciem przyciskałam mocno do siebie prowiant, w drugiej ręce zaś kołysałam obciążoną kamieniami torbę. I nagle zrozumiałam, że nie potrafię uczynić tego, co nakazywał zdrowy rozsądek. Chwyciłam w zęby pasek torby, trzymając ją w pogotowiu. Potem sięgnęłam uwolnioną ręką po żywność. Nie patrząc, chwyciłam to, co pierwsze wpadło mi w ręce. Był to kawałek czekolady.

Nie przyglądając się, z obawy, bym nie zrobiła się jeszcze bardziej hojna, rzuciłam czekoladę mniej więcej w kierunku stworzenia i pobiegłam za Oomarkiem.

Chłopiec przystanął i kiedy zrównałam się z nim, spojrzał na mnie pochmurnie.

- Dlaczego to zrobiłaś?

- Ponieważ... było mi przykro, że...

- Że co?

Roześmiał się nieprzyjemnie i wyciągnął rękę.

Odwrociłam się i zobaczyłam, że stworzenie przypadło do ziemi i kuli się, tak jak Oomark, kiedy usłyszał dźwięk tamtego strasznego rogu. Nie uczyniło najmniejszego ruchu, żeby podążyć za nami.

- Co... co się stało?

- Jest ci przykro. - Szydził ze mnie, szczerząc zęby w uśmiechu, który wcale nie był miły i przypominał mi... Bartare! - Tobie jest przykro. Lecz jemu jest jeszcze bardziej przykro! - Dźgnął palcem w kierunku nieruchomej postaci.

- Dlaczego?

- Dałaś mu jedzenie - a teraz popatrz na niego! To boli, boli i boli. I on zasługuje na ten ból! Nie jest ani jednym, ani drugim. Może wkrótce stanie się niczym.

- Oomark... - Chciałam chwycić go za ramię, lecz uchylił się i roześmiał nienawistnie. - ..To jedzenie... czy on się nim zatruł?

- Jeśli nie, to będzie chciał, żeby tak się stało. Ty też, Kildo, ty też tego zapragniesz. Popatrz na siebie - tylko popatrz!

Teraz on z kolei chwycił mnie za ramię i przysunął mi je do oczu, ściskając wystarczająco mocno, żeby zostawić sińce.

Brunatny połysk mojej skóry stał się wyraźniejszy. Tworzyło się na niej coś w

rodzaju twardej skorupy. Wyszarpnęłam się Oomarkowi, nie chcąc na to patrzeć.

- Nie możesz tego powstrzymać, rozumiesz? - Głos Oomarka nie był już tak szyderczy. - Spójrz na mnie!

Zaczął podskakiwać to na jednym kopytku, to na drugim, obracając się tak, że mogłam obejrzeć go ze wszystkich stron. Sięgnął do zapięcia tuniki, rozluźnił je. Potem ściągnął z siebie wierzchnią i spodnią szatę, i stał teraz nagi do pasa. Nagi? - nie! Jego małe ciało pokrywał miękki, szary puch. Był rzadszy na ramionach i barkach mogłam dojrzeć pod nim skórę - lecz tors porastało znacznie obfitsze i dłuższe owłosienie.

- Ubierz się! - powiedziałam, starając się, aby w tym rozkazie zabrzmiał mój dawny autorytet.

- Nie! - Kopnął którąś z tunik. - Nie! - Rozwarł szeroko ramiona, podskakując w groteskowym tańcu. - Jest mi w nich za gorąco. Drapią mnie. Nie założę ich już nigdy! - Odbiegł ode mnie, jak gdyby w obawie, że będę chciała złapać go i ubrać siłą. Nie miałam takiego zamiaru, jednak nie zostawiłam tunik, tak jak butów. Zrolowałam je ciasno i wepchnęłam do torby z kamieniami.

- Chodź! - Oomark skinął na mnie. Lecz ja jeszcze raz spojrzałam na owłosioną istotę.

Czy Oomark miał rację? Czyżby jedzenie, o które obcy tak żałośnie błagał, rzeczywiście okazało się trucizną? A jeśli nasza naturalna żywność wiodła go do zguby, to dlaczego tak bardzo jej pożądał - lub pożądała? Dlaczego prześladował nas, zebrał o nią? Jeżeli to pożywienie było trucizną dla mieszkańca tego świata, czy nie wynika z tego, że miejscowe jedzenie okaże się takie samo dla nas? Ja jadłam wyłącznie to, co miałam przy sobie. Lecz Oomark...

Odeгнаłam od siebie wszelkie myśli o rannym stworzeniu i pobiegłam za chłopcem, zdecydowana, że tym razem nie pozwolę mu na takie ryzyko.

Spóźniłam się jednak, bowiem Oomark stał przy dużym krzaku lub małym drzewie, rosnącym przy jakimś kopcu. Obsypane było złocistymi jagodami, a Oomark już biesiadował. Miał towarzystwo - tu i tam z gałęzi zwisały te przejrzystoskrzydłe stworzenia, które widziałam w lesie. A w trawie dostrzegłam jakieś małe zwierzątka.

Zarówno skrzydlate stworzenia, jak i zwierzęta, nie zwracały uwagi na Oomarka ani też na mnie, kiedy podeszłam bliżej. Bez reszty absorbowano je jedzenie. Jagody były duże, mniej więcej wielkości paznokcia kciuka, i tak soczyste, że kiedy skórka pękała, sok pryskał na wszystkie strony. Oomark wpychał je do ust po trzy i

cztery na raz, tak że ściekało mu po brodzie i skapywało na porastające pierś owłosienie.

- Masz.

Wyciągnął lepką rękę z leżącymi na niej trzema jagodami. Kiedy potrząsnęłam przecząco głową (a wymagało to ode mnie samozaparcia, ponieważ widok jagód sprawił, że zapragnęłam ich skosztować), wyszczerzył zęby w uśmiechu. Potem wzruszył ramionami i wrzucił sobie jagody do ust.

Odsunęłam się, zdając sobie sprawę, że nie zdołam go powstrzymać, i lękając się, że sama mogę ulec pokusie. Przyjrzałam się uważnie kopcowi, przy którym rósł ten krzak. Pagórek dziwnie nie pasował do płaskiego terenu, sprawiając wrażenie, że został tu celowo usypany z jakiegoś dawno zapomnianego powodu. Co więcej, był tylko pierwszym w szeregu kopców biegnących w linii prostej. Do ściany mgły, ograniczającej pole widzenia, naliczyłam ich dziewięć.

Przy każdym rosło coś, co wyglądało na krzew bądź niewysokie drzewo, ale nie wszystkie należały do tego samego gatunku. Na trzech zobaczyłam żółte jagody. Kuliste owoce trzech innych miały barwę purpurowoczerwoną; na mojej dłoni zmieściłby się jeden taki owoc. Nie znajdowały one amatorów wśród żerujących stworzeń. Prawdę mówiąc, wyglądały odpychająco. Liście tych drzew nie miały jednolitego kształtu; były nieregularne i tak intensywnie ciemnozielone, że niemal czarne.

Trzy pozostałe drzewa rozjaśniały ten pejzaż; ich długie, wstążkowate i bladezielone liście miały srebrne obwódki. Wysmukłe pnie i gałęzie tych drzew okrywała kora - nie szorstka, lecz gładka i również o srebrzystym odcieniu. Nie było na nich owoców, tylko białe kwiaty zebrane w kiście, które kołysały się łagodnie, nawet wówczas, kiedy wydawało się, że nie ma wiatru. Co jakiś czas dochodziła do mnie fala woni tak słodkiej, że miałam ochotę podbiec i zanurzyć twarz w tych kwiatkach. Jednak tak samo jak purpurowe owoce, zdawały się ostrzegać przed dotknięciem, choć nie budziły we mnie takiej odrazy, jak tamte.

Wszystkie te drzewa posadzono według oczywistego wzoru: najpierw złote jagody, potem purpurowe kule, wreszcie srebrne kwiaty. Potem ten wzór powtarzał się jeszcze dwa razy do ściany mgły. Nie ulegało więc wątpliwości, że nie jest to przypadek. Czym były te kopce? Grobami dawno zapomnianych władców lub kapłanów? Otaczała je aura minionych czasów, aura rzeczy, które zapadły się w ziemię, jak gdyby spoczywało na nich brzemień nie tylko upływających lat, ale całych

stuleci. A może były to okryte ziemią szczątki budowli, ruiny jakiejś starożytnej fortecy?

Wyglądało na to, że Oomark nasycił się, podszedł bowiem od krzaka, uklęknął i wytarł ręce w trawę. Wiechciem trawy starał się też zetrzeć sok z twarzy, choć bez większego powodzenia.

Potem wstał, odwrócił się twarzą do pagórka i unióś obie ręce. Trzymając je z rozwartymi i skierowanymi ku górze dłońmi, przemówił - z pewnością nie do mnie ani do latających i podskakujących stworzeń, które wciąż objadały jagody.

- Dzięki ci, o Uśpiony, za hojnie zastawiony stół, za wspaniałą ucztę.

Słowa brzmiały jak rytuał, jak inwokacja. Gdy już to powiedział, nie marudził, tylko podszedł do mnie, jak ktoś przygotowany do szybkiego działania.

- Kim jest Uśpiony?

Na twarzy Oomarka pojawił się wyraz zakłopotania.

- Nie wiem - odparł, oglądając się na kopiec.

- Ale powiedziałaś...

- Powiedziałem, ponieważ jest to właściwe i stosowne. Przestań wciąż pytać i pytać, Kildo! Gdybyś zjadła, wiedziałabyś - nie musiałabyś pytać!

- Tak, wiedziałabym, gdybym zjadła. Czy to właśnie dlatego ty wiesz, Oomark?

- Chyba tak. Tak czy inaczej wiem, że tutaj dziękuje się Uśpionemu po jedzeniu. Lud zawsze dziękuje.

Ruszył dalej, obierając trasę równoległą do szeregu pagórków. Minął drzewo z czerwonymi owocami i zbliżył się do tego z kiściami srebrnych kwiatów.

- A co z tymi? - Cały czas starałam się wzbogacić moją wiedzę. - Tu jest więcej owoców...

- Nie! - Odwrócił wzrok od purpurowych kuł. - Jeśli zjesz te umrzesz. Nie wszyscy Uśpieni są przyjaźnie nastawieni do Ludu. Nie jedz tych i nie dotykaj tamtych! - Wskazał na kwiaty.

- Są równie niebezpieczne?

Na jego twarzy znowu pojawił się wyraz zakłopotania.

- Nie... nie w taki sam sposób. To znaczy... ci Uśpieni pomogliby Ludowi, gdyby to było możliwe, ale nie są w stanie tego zrobić. - Zmarszczki na jego twarzy pogłębiły się. - Naprawdę nie wiem, Kildo. Owoce są złe, ponieważ tamten Uśpiony nienawidzi nas. Ale kwiaty - ci Uśpieni nie są wystarczająco podobni do Ludu, żeby

można ich było dotykać.

Są zatem trzy rodzaje Uśpionych, wywnioskowałam - oferujący jagody dla pokrzepienia; niebezpieczni i źli; oraz ci zbyt niepodobni do mieszkańców, żeby nawiązywać z nimi kontakt. A może moja wyobraźnia płatała mi figle, może dostrzegałam zbyt wiele w tym, co widziałam i słyszałam od Oomarka?

Gdy mijaliśmy pagórek ze srebrnym drzewem, jego kwiatowe pęki i długie, wstęgowe liście zafalowały. Poruszały się tak, jakby targał nimi silny wiatr. Jednak drzewa przy sąsiednich pagórkach stały spokojnie. W końcu porywy wichury złamały cienką gałązkę, uginającą się pod ciężarem kwietnego pędu. Nie spadła, lecz zawirowała w powietrzu, unosząc się coraz wyżej, aż została ciśnięta podmuchem wiatru i jak ostrze włóczy wbiła się ułamanym końcem w ziemię u mych stóp.

Oomark krzyknął i odsunął się. Kierowana odruchem pochyliłam się i ujęłam gałązkę pod kołyszącą się kłasią kwiatów. Poczułam się tak, jakbym chwyciła lodowy sopel, bowiem przez moje ramię przepłynęła fala piekącego zimna. Jednak nie puściłam gałązki. Zamiast tego wyszarpnęłam ją z ziemi.

Wichura, która odłamała gałązkę od drzewa i cisnęła przede mną, ucichła, jak gdyby nigdy jej nie było. A... moje palce...!

Okrywająca je brunatna i twarda skorupa zaczęła pękać i łuszczyć się jak wyschnięta farba. Odslonięta w ten sposób skóra była dalej śniada, lecz była to skóra, jaką miałam przez całe życie. Choć moją rękę wciąż przenikało zimno, nie chciałam odrzucić gałązki. Wsunęłam ją pieczołowicie za pas. Oomark cofnął się jeszcze dalej.

- Wyrzuć ją, niech wraca tam, skąd przysła! - Wskazał ręką stojące bez ruchu drzewo. - Zrani cię!

Zgięłam palce i z wdzięcznością stwierdziłam, że są zupełnie normalne.

- Taką ranę przyjmę z radością. Zobacz, Oomark, moja ręka jest teraz taka jak zawsze!

Chłopiec krzyknął i rzucił się do ucieczki, umykając przede mną tak jak przed owłosionym stworem, jakbym teraz ja uosabiała ścigającą go grozę.

## Rozdział dziewiąty

Wymknął mi się bez trudu i pędził dalej, nie zwracając żadnej uwagi na moje rozkazy, a potem błagania. Zachowywał się tak, jak gdyby wiedział, do jakiego schronienia chce dotrzeć. Opanowała mnie myśl, że jego ucieczka może mieć dwojaki skutek: nie tylko utracę dziecko, za które czułam się odpowiedzialna, ale i sama pozostanę bez przewodnika, którego tak bardzo potrzebowałam.

Jakoś udało mi się nie stracić go z oczu, kiedy mijaliśmy ostatnie pagórki. Za nimi ciągnęły się inne, tyle że te nie miały tak wyraźnych kształtów jak kopce; były bardziej spłaszczone.

Oomark nie skręcił, lecz wbiegł pomiędzy nie. Gęsto porośniętą trawą, wznosiły się z obu stron, dając mu teraz osłonę. Biegając zastanawiałam się, czy mogą to być ruiny jakiegoś wielkiego miasta. Jeśli tak, to niewiele pozostało z jego murów i budynków.

Tu i tam, niekiedy w małych kępach, rosły skarłowaciałe drzewa ze śmiercionośnymi, purpurowymi owocami - choć te wydawały się nieco mniejsze. Wiele dojrzałych owoców spadło i leżało w trawie, drażniąc nozdrza odorem zgnilizny.

Gdy coraz więcej i więcej takich drzew zaczęło się pojawiać w polu widzenia, stwierdziłam, że dławię się i kaszlę, z konieczności zwalniając tempo biegu. Teraz zupełnie straciłam z oczu Oomarka, zniknął za ścianą mgły.

Znowu zaczęłam biec, najszybciej jak mogłam, wołając go po imieniu. Ale tylko echo tego wołania, zniekształcone, jakby wydobywało się z ust, które nie zostały stworzone do posługiwania się ludzką mową, wracało do moich uszu. Potem usłyszałam odgłos trzepotania, jakieś krakanie, i spojrzałam w lewo.

Rosło tam kilka z tych owocowych drzew. Na nich, pod nimi, siedziały, chodziły i żerowały jakieś opierzone stworzenia. Uznałam, że są opierzone, dopóki nie przyjrzałam im się lepiej. Miały pazurzaste, pokryte łuskami nogi domowego ptactwa. Lecz te nogi podtrzymywały żółte ciała z długimi, giętkimi ogonami. Gibkie szyje kończyły się dziobatymi głowami zwieńczonymi czterema białymi rogami, co sprawiało wrażenie, że stworzenia noszą małe korony. Oczy miały czerwone, i ta czerwień zdawała się jarzyć. Ostro zakończone skrzydła były pokryte szerokimi, żółtymi lotkami. Stworzenia te smagały się ogonami i groziły dziobami i szponami



walcząc o gnijące owoce, co świadczyło o ich niezbyt łagodnym usposobieniu.

Choć niewielkie, roztaczały wokół siebie aurę złośliwości, która źle wróżyła każdemu, kto ściągnąłby na siebie ich uwagę. Natychmiast przestałam wołać Oomarka i przyspieszyłam, obserwując ptaszyska uważnie nawet kiedy je minęłam, bowiem dręczyło mnie uczucie, że ich zachłanne żerowanie jest tylko udawaniem, i że gotowe są podążyć moim śladem.

W tym właśnie czasie, kiedy moją uwagę pochłaniały latające stworzenia, straciłam resztki nadziei na to, że dogonię Oomarka. Zaraz potem dotychczasowy szlak rozdzielił się w trzy strony. Nie wiedziałam, którądy powinnam pójść, bowiem na sprężystej darni nie zachowały się żadne ślady. Pagórki i kopce ograniczały pole widzenia w takim samym stopniu co mgła. I w dodatku dwa z trzech nowych szlaków, środkowy i lewy, niebawem zakręcały, tak że nie mogłam zobaczyć, dokąd biegną. Może to sprawiło, że zdecydowałam się na prawe rozwidlenie, z pozoru prowadzące prosto.

W miarę jak szłam coraz dalej, te pokryte darnią ruiny, lub cokolwiek innego, czym mogły być te kopce, robiły się coraz wyższe, aż w końcu sięgały znacznie ponad moją głowę. I okazało się, że ta droga też zakręca. Co jakiś czas przystawałam, żeby nasłuchiwać, w nadziei, że pochwycę jakiś dźwięk, który potwierdzi słuszność mojego wyboru.

Właśnie podczas jednej z takich przerw spostrzegłam miejsce, gdzie darni została zdrapana z kamienia - ślad, że ktoś, lub coś, rzeczywiście tędy przechodził.

Miejsce to zwróciło moją uwagę, ponieważ odkryty kamień lśnił tak, że był zauważalny nawet w półmroku zalegającym pomiędzy kopcami. Zbliżyłam się z nadzieją, że znajdę tam ślad stopy, i lśnienie zmieniło się w srebrzyste pałanie.

Okazało się, że jest to tylko nieokreślona rysa, która nic mi nie powiedziała, z wyjątkiem tego, że jest świeża. Chciałam wierzyć, iż zostawił ją Oomark.

Kiedy minęłam pierwszy zakręt, zobaczyłam, że moja droga stała się zawiłą płataniną ścieżek obiegających kopce, w większości pogrążonych w gęstniejącym mroku. Zrozumiałam ze strachem, że nie mogę mieć nadziei na odnalezienie kogoś, kto chciałby się tutaj ukrywać. Droga rozgałęziała się znowu i znowu, jakby była korzeniem, z którego wyrasta bezlik mniejszych odrostów. Potem, tak jak korzeń, zaczęła się zwężać.

Przystanąłam. Otaczające mnie kopce były może dwa razy wyższe ode mnie, a zalegający tu półmrok niemal tak gęsty jak wówczas, gdy mgła zbliżała się

najbardziej. Nie podobało mi się to, co widziałam przed sobą - lepiej wracać do pierwszego rozgałęzienia i ruszyć dalej którąś z pozostałych dróg, pomyślałam. Pewnie nie pozwoli mi to odnaleźć śladów chłopca - nie mogłam mieć nadziei na taki uśmiech losu - lecz może wyprowadzi mnie z tego nawiedzonego miejsca.

Bo że jest nawiedzone, na to mogłabym przysiąc. Byłam pewna, że jakieś istoty przemykają na granicy mojego pola widzenia, albo czają się, szpiegując mnie. Niekiedy dochodził do moich uszu upiorny, odległy chichot, przypominający szelest wiatru wśród suchych liści, przywodzący mi na myśl szept nieziemskich głosów. Tutaj też, choć nigdzie indziej na tym świecie nie odczuwałam wahań temperatury, było coraz cieplej. Tylko że to ciepło nie niosło z sobą otuchy. Raczej wywoływało wrażenie, że kroczę po cienkiej warstwie, dzielącej mnie od pochłaniających wszystko płomieni.

Przesunęłam językiem po wargach i pomyślałam o wodzie. Moje stopy poruszały się niemal mechanicznie, szurając po ziemi, a w spowijających je resztkach wyściółki wiły się te długie, szczupłe palce, jak gdyby chciały się uwolnić i wbić w glebę, co tak mnie przestraszyło, kiedy zdjęłam buty.

Lecz gdy odwróciłam się, by wrócić po własnych śladach, w pełni pojęłam swoją głupotę. Wszystkie te kręte drogi wyglądały tak samo, i nie potrafiłam powiedzieć, która z nich przywiodła mnie tutaj, ani nawet określić ogólnego kierunku. Poczułam się jak w pułapce i wraz z tym uczuciem przyszła panika, rozbijając w puch moje opanowanie. Pobiegnęłam najbliższą ścieżką i, kiedy się rozdzieliła, skrzyłam w prawo, a gdy rozdzieliła się znowu, w lewo. Serce waliło mi jak młotem, strach wysuszył usta, a w głowie miałam taki zamęt, że dla każdego, kto by na mnie polował, byłabym łatwym łupem. To, że znajdowałam się w miejscu wrogim dla formy życia, jaką reprezentowałam, nie ulegało już dla mnie wątpliwości, tak samo jak nie wątpiłam w to, że jestem obserwowana przez coś, co z przerażającą cierpliwością czeka i chichocze, a czego ja nie potrafiłam ani nazwać, ani nawet sobie wyobrazić.

I wtedy zrobiłam najtrudniejszą rzecz w moim życiu: zatrzymałam się, z trudem łapiąc oddech, spojrzałam przed siebie i opanowałam strach. To prawda, że wszystkie drogi wyglądały podobnie, lecz teraz usilnie walczyłam z paniką. Nie mogłam utrzymać stóp w bezruchu. Uderzały w ziemię i wbijały się w nią, jakby żyły własnym życiem i nie słuchały już mojej woli. A pragnienie, żeby zerwać szmaty nałożone z takim nakładem starań, było tak nieznośną męką, że nie wiedziałam, jak ją

wytrzymam.

Nagle dotarła do mnie fala zapachu i przypomniałam sobie gałązkę, zatknietą za pasem. Choć minęło trochę czasu od momentu, kiedy ją podniosłam, na kwiatach i liściach nie dostrzegłam śladu wędnięcia. Wyglądała tak, jakby dopiero przed chwilą została odłamana od drzewa. Dotknęłam gałązki i ogarnęła mnie fala oczyszczającego zimna - w żaden inny sposób nie potrafię opisać tego uczucia. Tak jak ciepło wydobywające się tutaj z ziemi niosło z sobą wrażenie brudu i rozkładu, tak to zimno było nożem, który oddzielał od niego zdrowe zmysły i rozsądne myślenie.

Pod wpływem impulsu wyjęłam gałązkę z za pasa i pochyliłam się, omiatając nią delikatnie moje udręczone stopy. Choć resztki materiału chroniły skórę przed bezpośrednim dotknięciem, palce przestały się wić. Nie wbijały się też już w ziemię. Ruszyłam dalej, trzymając gałązkę w dłoni, a do pasa przymocowałam paczkę z prowiantem. W drugiej ręce wciąż dzierżyłam obciążoną kamieniami torbę.

Dla czegoś, na co się natknęłam, kiedy okrążyłam kolejny kopiec, torba z kamieniami nie mogła stanowić żadnego zagrożenia. Przez jedną chwilę, bardzo krótką, pomyślałam, że dogoniłam Oomarka. Potem zrozumiałam, że stojąca przede mną istota nie jest Oomarkiem, nawet w zmienionej postaci.

Była o wiele większa, nieco wyższa ode mnie i o znacznie potężniejszym ciele. Podobieństwo do Oomarka dotyczyło tylko ogólnego zarysu postaci, gdyż stwór wspierał się na dwóch kopytach. I ponieważ nie miał ubrania, sierść na jego bokach zwisała w grubych strąkach, pozlepiana grudami błota i jakąś kleistą masą. Jakkolwiek miał kopyta, był również dwunożny i stał w pozycji wyprostowanej. Jego górne kończyny niewątpliwie zakończone były dłońmi. I właśnie nimi drapał się zawzięcie po owłosionych bokach. Głowa stwora była długa i wąska. Być może ongi była bardziej humanoidalna, lecz teraz przypominała jakąś groteskową maskę, z szerokim nosem i małym, cofniętym podbródkiem pod obwisłymi i ruchliwymi wargami.

Ponieważ ślinił się trochę, nitka śliny zwisała z ust i moczyła kępkę brody dyndającą na podbródku. Rogi, o wiele większe i bardziej zakrzywione niż te, które wyrosły Oomarkowi, sterczały ponad bardzo dużymi oczami najpierw prosto, a potem zaginały się do tyłu. Skóra na twarzy miała barwę żółtobrazową. A od jego ciała bił taki fetor, że dostawałam mdłości. Przyglądał mi się bez mrugnięcia okiem i - co było jeszcze gorsze - spojrzenie to zdradzało oczywistą inteligencję i złą wolę.

Cofnęłam się. Stwór dalej drapał się, nie spuszczając ze mnie wzroku. Potem

postąpił naprzód, krocząc sztywno i wolno, jak gdyby wiedział, że nie musi się spieszyć, bo wynik walki i tak został już rozstrzygnięty na jego korzyść. Wyczułam, że raduje się moim strachem i obrzydzeniem.

Nie śmiałam odwrócić się do niego plecami, żeby uciec. Coś mi mówiło, że muszę patrzeć mu prosto w oczy, i że dopóki jestem do tego zdolna, zachowuję niewielką przewagę. Celowo wykorzystywał wrażenie, jakie na mnie robił, żeby złamać moją odwagę. Tak więc cofałam się, wymachując torbą z kamieniami, choć wiedziałam, że to śmieszna broń przeciwko czemuś takiemu.

Obserwował mnie z pogardliwym zadowoleniem swoimi dziwnymi oczami. Nie miały ciemnej tęczówki ani źrenicy i były całe czerwone, jak oczy latających stworzeń, które spotkałam wcześniej. Gdy tak się cofałam, a on postępował za mną, w pewnej chwili znaleźliśmy się w cieniu kopca, i wtedy te oczy nagle zapłonęły ogniem, jak bliźniacze pochodnie w mroku.

Mimo swej odmienności, nie sprawiały wrażenia, że są ślepe. Choć wyglądały jak nieprzezroczyste owale ognia, jednak nie ulegało wątpliwości, że są narządami wzroku.

Cofałam się, a on nieustępliwie podążał za mną, choć nie próbował atakować. Potem moje barki uderzyły w jedno z pokrytych darnią wzniesień i zachwiałam się, starając się utrzymać równowagę. Próbowалам cofać się dalej z jednym ramieniem wspartym o kopiec, czerpiąc doprawdy niewielką pociechę z tego, że przynajmniej jeden bok mam chroniony.

Stwór uniósł rogatą i zdeformowaną głowę, i wydał z siebie serię chrząknięć. I ku mojemu przerażeniu z prawej strony rozległa się odpowiedź, jak gdyby jeszcze jeden taki potwór czekał tam tylko na to, by mnie dopaść. Znieruchomiałam, bojąc się oderwać wzrok od tych błyszczących ślepi, żeby się rozejrzeć.

Mój przeciwnik chrząknął ponownie i tym razem odpowiedział mu skrzek dwóch pożeraczy purpurowych owoców, latających stworzeń, które opadły na dół z trzepotem skrzydeł. Rogaty wyciągnął ramię i jedno z nich przysiadło na nim jak na grzędzie. Drugie pozostało w powietrzu, wzbijając się w górę i opadając, a jego giętka szyja skręcała się, jakby nie było w niej kości. Ptaszydło skierowało głowę najpierw w stronę potwora, a potem, ustawivszy ją w linii prostej, wycelowało spojrzenie we mnie.

Lecz to jeszcze nie byli wszyscy, którzy zbierali się, żeby zapędzić mnie w matnię. Rozległo się głucho dudnienie, tupot czegoś biegnącego i obok rogatego

pojawił się czarny cień. Był czworonożny i ogromny, jego grzbiet sięgał bowiem barków tamtego. Ogon, tak chudy jak skóra naciągnięta na kości (co mogło być prawdą, gdyż na całej jego długości widniały w regularnych odstępach zgrubienia), uderzał o zad. Głowa także wyglądała jak czaszka obleczona w skórę, bez jakichkolwiek mięśni pod spodem. Zamiast oczu stwór miał dwie wielkie, ciemne jamy, w głębi których dostrzegłam migotanie tego samego ognia, jaki rozpalał oczy rogatego. Szeroko rozwarta paszcza, zajmująca dwie trzecie głowy, uzbrojona była w podwójny szereg fosforyzujących kłów. Pomiedzy nimi poruszał się wielki, czarny język. Małe uszy przylegały do czaszki i w przeciwieństwie do rogatego, skóra tego potwora, miejscami napięta, lecz marszcząca się obrzydliwie wokół nadętego brzucha, była całkowicie bezwłosa.

Potwór przysiadł na zadzie tuż przy rogatym. Wiedziałam, że nie potrafię odwrócić się plecami do tych dwóch, ani nawet oderwać wzroku na tyle, żeby zobaczyć, czy mogę bez przeszkód przesuwać się dalej wzdłuż ściany kopca. Odwrót był niemożliwy; nie miałam też nawet cienia nadziei na zwycięstwo w przypadku, gdyby potwory rzuciły się na mnie.

To, co nastąpiło potem, zaskoczyło mnie tak bardzo, że szarpnęłam się do tyłu uderzając o ścianę kopca, i znów o mało się nie przewróciłam. Usłyszałam słowa, choć nie miałam pojęcia, co oznaczają.

- Skark, Skark! Shuck, Shuck!

Czworonożny stwór poderwał się, okręcił i uderzył przednimi łapami w kopic, wznoszący się po drugiej stronie ścieżki. Odchylił łeb do tyłu i z otwartej paszczy wydobyl się ryk, który mógł przyprawić o drżenie każdego, kto go usłyszał.

Rogaty również odwrócił się w tamtą stronę i przechylił potworny łeb, żeby spojrzeć do góry. Jednocześnie strząsnął z ramienia skrzydlatą istotę, jak gdyby sygnalizując jej, żeby odszukała tego, kto wołał. Ochryply głos rozległ się ponownie:

- Skark, Skark! Shuck, Shuck!

Byłam tak zaskoczona, że musiała minąć dobra chwila, nim uświadomiłam sobie, iż ich uwagę przykuło to wołanie, i że teraz mam nikłą wprawdzie, ale jednak szansę na ucieczkę. Odwróciłam się i ruszyłam wzdłuż ściany kopca w stronę przeciwną niż ta, z której dochodził głos. Skręciłam w jedną z bocznych ścieżek, a potem ruszyłam biegiem, co jakiś czas oglądając się za siebie.

Ciągle powtarzane wołanie, co pewien czas zagłuszane rykiem czworonożnego potwora, w jakiś sposób dodawało mi otuchy. Czy to możliwe, by

ktoś - coś - w tym labiryncie grozy świadomie przyszedł mi z pomocą? Oomark? Lecz to nie był jego głos. Głębszy, bardziej ochrypli, wcale nie przypominał dziecięcego.

- Skark... Shuck...

Teraz, kiedy nie znajdowałam się już w jego bezpośrednim sąsiedztwie, nie byłam pewna kierunku, z którego dochodził - wiedziałam tylko, że gdzieś z tyłu. Słowa odbijały się echem wśród pagórków, niekiedy rozbrzmiewając tak głośno, że ogarniał mnie strach, iż nieszczęśliwym trafem wróciłam w pobliże tamtego miejsca, to znów cichnąc do tego stopnia, że z trudem mogłam rozróżnić poszczególne słowa. To z kolei budziło we mnie nadzieję, że oddaliłam się od niebezpieczeństwa, choć nie pozwalałam sobie uznać tego za pewnik.

Gdybym tylko zdołała wydostać się spośród tych kopców! Rozglądałam się wokół, wbrew wszelkiej nadziei spodziewając się zobaczyć coś, co potwierdzi, że wracam tą samą drogą, którą przyszłam. Jednak nic mi to nie dało, bowiem wszystkie ścieżki były do siebie podobne.

Pierwszej wskazówki dostarczyła mi fala zgniłego zapachu. Miałam pewność, że ten sam fetor, który teraz dochodził z lewej strony, czułam przy owocowych drzewach. Ponieważ nie miałam innego przewodnika, równie dobrze mogłam kierować się wskazówkami mojego nosa.

Fetor stawał się coraz silniejszy i w końcu znalazłam się nie w miejscu, gdzie widziałam żerujące skrzydlate istoty, lecz na otwartej przestrzeni porośniętej większą ilością takich drzew. Drzewa, z jednej i drugiej strony, wytyczały skraj drogi prowadzącej do stawu lub małego jeziora w kształcie trójkąta, zbyt regularnego na to, by mogło powstać dzięki siłom natury.

Ujrawszy ten widok, natychmiast poczułam pragnienie, lecz nie mogłam go zaspokoić. Woda, do której wpadały owoce - widziałam bowiem unoszące się w niej ich zgniłe kule - z pewnością nie nadawała się do picia. Skierowałam się więc w wąski przesmyk pomiędzy kopcami, otaczającymi cały ten teren, a drzewami. Wkrótce gruba ściana pni i gałęzi oddzieliła mnie od wody. Słabe echo wołania ucichło zupełnie, więc pokonując zmęczenie ruszyłam kłusem. Jeśli potwory uwolniły się spod wpływu, jaki wywierał na nie tajemniczy głos, mogły już ruszyć w ślad za mną.

Właśnie wtedy, kiedy dobywałam z siebie resztki sił, by biec jeszcze szybciej, natknęłam się na jakiś trop. Z pewnością odciski tych kopyt zostały zrobione przez kogoś znacznie mniejszego od tego potwora z nocnego koszmaru i bardziej

przypominały ślady, jakie mógłby zostawić Oomark. Podniesiona tym na duchu, skręcałam, żeby podążyć za nimi. Wciąż jednak byłam czujna, nasłuchując odgłosów pościgu. W pewnej chwili usłyszałam odległe ujadanie, lecz nie przypominało ono ryku, jakim czworonożny stwór odpowiedział na wołanie dochodzące ze szczytu kopca. W tym ujadaniu brzmiał upiorny triumf, wyrażający radość z bliskiego końca ściganej ofiary. Wciągnęłam głośno powietrze i spróbowałam biec jeszcze szybciej, marząc o tym, by wydostać się na otwarty teren.

Przypadek, a może coś innego, zagrał na moją korzyść, bowiem kiedy wybiegłam zza kopca, zobaczyłam przed sobą trawiastą równinę. I nie tylko to, lecz również ślady małych kopyt, odcisnięte głęboko na skrawku nie pokrytej darnią ziemi. Wiedziałam albo myślałam, że wiem, iż Oomark tędy przechodził.

Pobiegłam najszybciej jak mogłam, zostawiając za sobą złowieszcze kopce, choć nie opuszczałam lęku, że w każdej chwili mogę usłyszeć tuż za sobą ujadanie ścigającej mnie sfory. Kiedy jednak nic takiego się nie stało, zaczęłam rozmyślać, na co poluje. Pytanie, dlaczego ktoś zainterweniował w samą porę, by mnie uratować, pozostało bez odpowiedzi.

Kto przyszedł mi wówczas na ratunek? Nagle przypominałam sobie włochatą istotę, która prześladowała nas i zebrała o jedzenie. Być może ów stwór tak bardzo chciał położyć łapę na moich zapasach, że wybawił mnie przed swoimi towarzyszami tylko po to, by zagarnąć całe jedzenie dla siebie. Myśl ta wystarczyła, bym jeszcze bardziej zwiększyła tempo.

Nie miałam pojęcia, jak długo błąkałam się w labiryncie kopców. W rzeczy samej, gdy się nad tym zastanowiłam, doszłam do wniosku, iż upływ czasu w tym obcym świecie zdaje się nie podlegać żadnym znanym mi prawidłom. Choć niewykluczone, że okresy, kiedy mgła zbliżała się, i te, kiedy się oddalała, mogły odpowiadać nocom i dniom na normalnym świecie. Jeśli tak, to prędzej czy później będę musiała stawić czoło kolejnemu procesowi kurczenia się. Doświadczenie mówiło mi, że w tej sytuacji lepiej będzie poszukać jednego z tych bezpiecznych pierścieni, które pokazał mi Oomark. Lecz choć rozglądałam się, kiedy biegłam, nigdzie nie mogłam dostrzec charakterystycznych obwódek ciemniejszej zieleni. Zaczęłam odczuwać takie zmęczenie, jakiego nie zaznałam od czasu, kiedy moje zbyt giętkie palce u nóg wysały energię z samej ziemi. Szmaty na stopach obluźowały się i postrzępiły. Wkrótce będę musiała znaleźć coś, co je zastąpi. Straciłam też z oczu ślady i nie wiedziałam, czy dalej podążam za Oomarkiem, czy już nie. Wziąwszy

wszystko razem uznałam, że w tej sytuacji kontynuowanie marszu sprawi ogromne trudności.

Ostatecznie sprawę załatwiły strzępy na jednej ze stóp. Przewróciłam się jak długa, kiedy nadepnęłam na luźny koniec. Przez chwilę leżałam, otumaniona upadkiem, a potem z wysiłkiem wstałam i stwierdziłam, że muszę na nowo obwiązać sobie stopy, poświęcając na to część tuniki.

Rozejrzawszy się wokół siebie nabrałam też pewności, że ściana mgły była teraz bliżej niż wówczas, kiedy wydostałam się spomiędzy kopców. Wkrótce miała ogarnąć mnie zupełnie.

Gałązka! Trzymałam ją w ręce, kiedy upadłam. Spojrzałam na nią szybko. Długa łodyżka przełamała się na dwoje. Ale liście i kwiaty nadal zachowały świeżość. A trawa, kiedy jej dotknęłam, okazała się wilgotna, jak gdyby mgła zmieniła się w łagodny deszcz, który padał, by mnie orzeźwić. Położyłam gałązkę na darni i wyciągnęłam zapasy. Zostało ich tak niewiele! A byłoby jeszcze mniej, gdyby nie to, że zapakowałam więcej niż należało, z myślą o tym, że częścią słodczy podzielę się z Oomarkiem i jego przyjaciółmi. Wsunęłam do ust jeden wafel. Zamiast ukoić głód, spotęgowało to tylko udrękę, budząc we mnie takie pragnienie, by zjeść więcej, że czym prędzej zapakowałam resztę zapasów, żeby pokusa nie wzięła góry nad ostrożnością.

Zatrzymując w ustach ów kęs najdłużej jak to było możliwe, odwinęłam ze stóp splątane i postrzępione kawałki materiału. Chciałam postawić stopy na torbie z kamieniami, tak żeby nie dotykały ziemi, lecz znowu straciłam nad nimi kontrolę. Zanim zdążyłam sięgnąć po gałązkę, palce wkręciły się w darni.

Nie mogłam ich wyrwać. Zgięły się i wbiły w ziemię, przykuwając mnie do niej. Walczyłam zawzięcie, rwąc boleśnie własne mięśnie. Ciało pokonało mnie jednak, bowiem ponownie wypełniła je energia napływająca przez palce. Ogarnęło mnie tak dobre samopoczucie, że poddałam się niechętnie.

Lecz zaprzestałam walki tylko chwilowo. Być może potrafiłam wykorzystać powracającą siłę we właściwym celu. Wzięłam gałązkę i przysunęłam ją do piersi, pochylając nad nią głowę. Kiedy to zrobiłam, odniosłam wrażenie, że mój umysł oczyszcza się i znowu wypełniło mnie niezłomne postanowienie. Instykt powiedział mi, że gdybym pozwoliła mojemu ciału na przejęcie kontroli, oznaczałoby to koniec mnie, Kildy c'Rhyn, takiej, jaką byłam do tej pory. A do tego nie mogłam dopuścić.

Wspomożona w ten sposób, zdołałam dotknąć nóg kwiatami, potem



wyciągnąć palce z ziemi i ułożyć stopy na torbie z kamieniami. Przestraszyłam się, kiedy starłam gliniastą ziemię i zobaczyłam, że palce u nóg stały się bardzo ciemne i jeszcze dłuższe i szczuplejsze niż wówczas, kiedy widziałam je ostatnim razem. Wzdragałam się przed ich dotknięciem, jakby należały do kogoś, kto zapadł na jakąś wstrętną chorobę.

Podarłam tunikę, co przy braku nożyczek lub noża wcale nie było łatwe. W rezultacie otrzymałam dwa podwójne pasy materiału. Pomiedzy nie włożyłam, wyprostowane i wygładzone, opakowania od koncentratów żywnościowych, starając się wzmocnić te prowizoryczne osłony stóp. Przywiązałam je z największą starannością, w obawie, by nie rozluźniły się, co mogłoby doprowadzić do tego, że dotknęłabym podłoża gołą stopą. Kiedy zaciągnęłam ostami węzeł, sprawdziłam je ostrożnie, stawiając prawą stopę na ziemi. Palce nie poruszyły się. Chyba więc odizolowałam je wystarczająco.

Wszystko to wymagało czasu i choć czułam się silniejsza niż wówczas, kiedy upadłam, otaczająca mnie mgła zdążyła się przybliżyć. Nie miałam ochoty błąkać się w niej na oślep. Nasłuchiwałam, lecz nie usłyszałam żadnego dźwięku. Jednak ta cisza wcale nie działała uspokajająco. Wyobraźnia szybko podsunęła mi niepokojące obrazy - może stałam się widoczna dla normalnych mieszkańców tego świata, i któryś z nich w tej właśnie chwili skradał się ku mnie?

Przykucnęłam skulona, z gałązką na kolanach, tak by płynący od niej aromat mógł koić moje rozedrgane nerwy. Zawiniątko z prowiantem przymocowałam do pasa, w ręce dzierżyłam torbę z kamieniami. I tak czekałam, choć nie miałam pojęcia, co może mnie spotkać - z wyjątkiem nieszczęścia.

## Rozdział dziesiąty

Nie spałam. Uświadomiłam sobie, że od jakiegoś czasu nie czuję się senna. Dręczyło mnie zmęczenie, owszem, ale nie senność. Nie mogłam jednak ruszyć dalej, dopóki mgła nie ustąpi, jedynym moim zajęciem było więc myślenie. Coś w głębi mojej świadomości, jakiś strzęp wspomnienia, nie dawało mi spokoju - może było to coś, czego dowiedziałam się w skarbnicy wiedzy Lazka Volka.

Lazk Volk - moja przeszłość na Chaloksie wydawała mi się teraz tak odległa, jak gdybym spoglądała przez długi, bardzo długi korytarz na uchylone nieco drzwi w jego końcu. Lecz w jakiś sposób wspomnienie Volka pozwoliło mi skupić myśli. Próbowałam wyobrazić sobie, że siedzę przy jego stole przed omówieniem wyników jakichś badań, układając sobie w głowie to, co mam powiedzieć, gotowa do obrony swoich wniosków.

Jakimi faktami dysponowałam? Niewątpliwa była niechęć Oomarka do żywności, którą miałam ze sobą, jego przemiana i strach przed kwitnącą gałązką.

Ale przecież ja też zaczęłam się zmieniać, choć w przeciwieństwie do Oomarka niczego tutaj nie jadłam. Dlaczego więc? Jakim sposobem? Starannie przeanalizowałam to, co się wydarzyło. Tak, przecież piłam tutaj. Kiedy się ocknęłam, napiłam się wody z sadzawki. Stąd znalazły się w moim ciele naturalne elementy tego świata. Dlaczego zatem kwitnąca gałązka przywróciła mojej skórze normalny wygląd? I co z moimi włosami? Naciągnęłam pasemko włosów, żeby mu się przyjrzeć.

Z pewnością nie były już tak zielone i znowu zrobiły się nieco bardziej kręcone. Powodem tego bez wątpienia stało się oddziaływanie kwiatów. Dlaczego Oomark tak się ich bał? Czyżby wiedział, że mogły powstrzymać jego przemianę, a może nawet przywrócić mu dawny wygląd i osobowość? Przecież powinien tego chcieć! Potrząsnęłam głową i przypomniałam sobie starą śpiewkę komputera Volka - "brak wystarczających danych".

Nie było co spekulować na temat Oomarka. Należało ograniczyć się do tego, co sama myślałam, czułam i wiedziałam. Mogłam teraz uwierzyć, że jedzenie tutejszej żywności i picie wody doprowadza do cielesnej przemiany. Zatem, jeśli przesłanki mojego rozumowania były prawdziwe, to owłosione stworzenie mogło mógł?, mogła? - być ongi człowiekiem. To wyjaśniałoby (z jakiegoś powodu

myślałam o obcym jak o mężczyźnie) jego szalone próby zdobycia żywności pochodzącej nie z tego świata, w nadziei, że to pomoże mu wrócić do własnej postaci. Kwiaty działały na moją korzyść - dlaczego więc nie pomagały jemu? Być może zaszedł w przemianie tak daleko, że uniemożliwiało mu to ich użycie. Mogłam się tylko domyślać, lecz nie miałam pewności, jak wygląda prawda.

Wzdrygnęłam się, poderwałam głowę, wyteżyłam słuch. Coś poruszało się we mgle. Uważnie obserwowałam ów niewyraźny cień. Zbyt dobrze pamiętałam, co kręciło się wokół pierścienia, kiedy wraz z Oomarkiem schroniliśmy się tam, i na co natknęłam się wśród pagórków.

Jakiś ciemny kształt zbliżał się prosto ku mnie! Wstałam, z obciążoną torbą w ręce. Ucieczka na oślep przez mgłę nic by nie dała. Już lepiej stawić czoło niebezpieczeństwu, choć miałam niewielką nadzieję, że to, co nadchodzi, będzie przeciwnikiem, z którym mogłabym dać sobie radę.

Postać zbliżała się wolno, słaniając się na nogach, jakby była ranna lub okaleczona. Potem zobaczyłam ją na tyle wyraźnie, na ile pozwalała mi na to mgła. Owłosiony stwór! Zakołysałam ostrzegawczo torbą, a on zatrzymał się.

Jego pierś przewiązywały postrzępione bandaże, które mogły opatrywać ranę. Był wyraźnie zmieniony! A przynajmniej nie pamiętałam, by tak bardzo przypominał człowieka. Głowę trzymał bardziej wyprostowaną, ramiona nie były tak pochylone. I jego owłosienie nie wydawało się tak gęste jak przedtem.

- Przyjaciel... - Słowo było wyraźne, brzmiało tak, jakby wypowiedział je Oomark lub Bartare. Ponownie wyciągnął ku mnie puste dłonie w geście przyjaźni. Czy mogłam mu zaufać? Gdybym znalazła towarzysza, przewodnika przez ten koszmarny świat, wówczas miałabym większą szansę na odnalezienie dzieci, a może nawet udałoby mi się wrócić do normalnego świata.

- Kim jesteś? - zapytałam.

Zawahał się, jak gdyby nie wiedział, czy ma się zbliżyć, a potem zrobił kilka kroków. Zobaczyłam ciemną plamę na szmatach, którymi przepasał swoje ciało, i dodałam niemal mimowolnie: Jesteś ranny! Złożoną w kubek rękę przyłożył do zabandażowanej rany.

- Shuck ma kły.

W jego głosie słychać było znużenie.

- Shuck... Skark. - Powtórzyłam słowa, które przyciągnęły uwagę potworów, umożliwiając mi ucieczkę. - Czy to ty wołałeś tak ze szczytu kopca?

- Muszą odpowiadać na swoje prawdziwe imiona. Takie jest prawo - odpowiedział wymijająco. - To dlatego tak bardzo strzegą swych imion, żeby nikt nie mógł uzyskać władzy nad nimi.

Być może miałyby to jakiś sens, gdybym wiedziała tyle, co on. Ale to on uratował mnie przed potworami czającymi się wśród pagórków. Więc gdy tak stał przede mną, nie mogłam uwierzyć, że chce mnie skrzywdzić.

- Czego chcesz?

Być może słowa te zabrzmiały zimno i twardo. Jednak nie byłam jeszcze gotowa traktować obcego jak towarzysza podróży.

- Masz... jedzenie.

Obliznął wargi.

- Już bardzo mało - odpowiedziałam szybko. - I po co ci ono? Wydaje się, że jest go tutaj mnóstwo.

- Jeśli będziesz jadła tutejsze jedzenie, staniesz się częścią tego świata - rzekł wolno. - Możesz wtedy pożegnać się z nadzieją, że wrócisz.

- A zatem istnieje powrotna droga? - zapytałam z ożywieniem. - Gdzie?

- Oni wiedzą. Wielcy tego Ludu. I istnieją sposoby, żeby nakłonić ich do zdradzenia tej tajemnicy. Ale o tym dowiedziałem się zbyt późno. Byłem już wówczas taki jak teraz. Jednak ktoś, kto je prawdziwe jedzenie, ma ponoć możliwość złamania ich czarów. - Wskazał na ukwieconą gałązkę. - Nie mogłabyś tego trzymać, gdybyś była jedną z nich. Boją się notusa, ponieważ przeciwstawia się ich mocy. - Zachwiał się, jak gdyby nie mógł dłużej utrzymać się na nogach, a potem upadł, wyrzucając ramiona ku mnie i temu, co miałam.

Rozwaga nakazywała mi zostawić go samemu sobie. Lecz w owej chwili współczucie przeważyło nad rozwagą. Uklękłam przy nim, ciągnąc za masywne ramiona, dopóki nie przewróciłam go na plecy. Oczy miał zamknięte, oddychał płytko. Plama na bandażach była sucha, więc nie próbowałam ich odsunąć, żeby zbadać ranę, bowiem mogło to przynieść więcej szkody niż pożytku.

Tym razem znalazłam się wystarczająco blisko, żeby stwierdzić, że szmaty zastępujące mu ubranie są zwyczajną tkaniną. Na jednym ze strzępów widniał jakiś znak. Znałam go. Ten z trudem przypominający człowieka stwór nosił odznakę Zwiadu!

Zwiad! Zetknięcie się z tym symbolem przeszłości dało mi impuls do działania, wzmocniło postanowienie, by przeciwstawić się niebezpieczeństwom tej

krainy. Doprawdy, był to symbol zdrowych zmysłów i normalnego życia, choć mogło się wydawać, że ten, kto go nosił, nie miał dość szczęścia, by pozostać sobą.

Poruszył się, a powieki na zapadniętych oczach drgnęły. Nie miałam nawet pewności, czy potrafi mnie zrozumieć, ale musiałam się przekonać.

- Należysz do Zwiadu, kim jesteś? - I myślę, że wytrząsnęłabym z niego odpowiedź, gdyby nie powiedział wolno: - Jorth Kosgro. Pierwszy Zwiadowca, Wydział Dwudziesty Piąty, Sektor Argol...

Tylko jedna rzecz miała dla mnie znaczenie - Sektor Argol. Gdyby działał właśnie tam, mógłby znaleźć się na Dylanie. Ale po co? Dylan widniał na mapach gwiazdnych już od ponad stu lat. A zwiadowcy penetrowali obszary nieznane. O ile nie został wysłany tutaj z jakąś misją administracyjną, znajdował się niezmiernie daleko od miejsca, gdzie powinien był wykonywać swoją pracę.

- Ja przybyłam tu z Dylana. A jak ty tutaj trafiłeś?

Gdyby potrafił odpowiedzieć na to pytanie, być może uzyskałabym jakąś wskazówkę co do możliwości powrotu. Jego gadanie o tych z Ludu, których ewentualnie dałoby się nakłonić do udzielenia informacji, niewiele znaczyło. Pragnęłam faktów.

- Jorth Kosgro, Pierwszy Zwiadowca, Wydział Dwudziesty Piąty, Sektor Argol...

To mechaniczne powtórzenie zirytowało mnie. Pochyliłam się nad nim.

- Jorth Kosgro!

W odpowiedzi wytrzeszczył oczy, a ja odniosłam wrażenie, że wcale mnie nie widzi. Rozgoryczona, przykucnęłam na piętach. Może byt to skutek rany, a może przemiana posunęła się już tak daleko, że nie pamiętał dobrze przeszłości. Dużo dałabym, żeby mieć wodę - to skrzywienie jego twarzy mogło oznaczać...

Co on powiedział? Chciał jedzenia, jakie miałam przy sobie. Otworzyłam zawiniątko z prowiantem. Zostały mi trzy kawałki czekolady i resztki wafli. I jeszcze coś - tubka dżemu z jeżyn, przeznaczonego do posmarowania nim wafli, oraz tubka koncentratu mięsnego, który zamierzałam wykorzystać w tym samym celu. Wybrałam koncentrat, z uwagi na jego wartość odżywczą.

Jednak zawahałam się przez chwilę, zanim zdjęłam zakrętkę. Prowiantu miałam tak niewiele. Musiałam go oszczędzać, bo inaczej nie mogłabym pomóc ani sobie, ani dzieciom. Odnalezienie dzieci to mój podstawowy obowiązek. Z drugiej strony, ten obcy znał grożące tutaj niebezpieczeństwa. Już raz mnie uratował i mógł

pomóc w znalezieniu drogi powrotnej. Moją pomoc uzasadniałam sobie takimi właśnie względami. Wśród nich był również i fakt, że nie mogłam odwrócić się od kogoś, kto przyszedł do mnie z prośbą o pomoc i właściwie należał do mojego gatunku.

Wsunęłam rękę pod jego kudłatą głowę, uniosłam go odrobinę, tak że oparł się o moje ramię, i włożyłam koniec tuby między jego na wpół otwarte wargi, wciskając miękką pastę do ust. Nie dałam mu dużo, wiedząc, że muszę ją oszczędzać.

Zobaczyłam, że przetyka, choć wydawało się, iż nie przychodzi mu to łatwo. Potem poruszył się jak ktoś, kto próbuje usiąść, więc podtrzymałam go. Przechylił się do przodu tak bardzo, że przestraszyłam się, iż upadnie na twarz, ale utrzymał się w pozycji siedzącej, wykrzywiając z bólu usta.

- To... bez znaczenia... - Słowa wydobywały się z niego wraz z urywanymi oddechami. Widać było, że stara się opanować to, co sprawiało mu mękę. - Wkrótce... poczuję się lepiej.

Lecz dla mnie chwile, kiedy tak walczył sam ze sobą, zdawały się trwać bardzo długo. W końcu wyprostował się. Na włosach porastających jego twarz błyszczał pot; uniósł rękę, żeby zetrzeć go z oczu.

Potem spojrział na jedzenie, a ja wyciągnęłam szybko rękę, żeby je zakryć. Mógł zjeść tyle, ile dostał, nie więcej.

- Masz rację. - Jego głos brzmiał teraz pewniej. - Nie można go marnować.

Potem, odwracając głowę z widocznym wysiłkiem, wskazał na gałązkę.

- Daj mi... notus...

W jego głosie znowu pojawiło się niezdecydowanie, gdy niemal z lękiem spoglądał na kwiaty.

Nie wiedziałam, czego się po nich spodziewa; pamiętałam tylko, jak na mnie podziały. Być może liczył na to samo. Pochyliłam głowę, by wchłonąć ich zapach, gdy podawałam mu gałązkę.

Odwrócił gwałtownie głowę, jakby aromat, który na mnie wpływał tak pobudzająco, był ohydny fetorem lub gryzącym oparem.

Widziałam, jakiego wysiłku wymagało od niego to, by pochylić głowę nad gałązką i głęboko wciągnąć powietrze. Krztusząc się i kaszląc wypuścił je z siebie szybko. Jego ręce uniosły się wolno, przywodząc mi na myśl człowieka wyciągającego palce, by ująć rozżarzony węgiel i dodającego sobie odwagi do wykonania zadania, do którego zmusza go obowiązek lub wola.

Ujął gałązkę i zacisnął ją w dłoni, choć zwiął się i skręcał, jak człowiek poddawany torturom.

- Nie... mogę... dłużej...

Na jego wardze pojawiła się ciemna kropla krwi w miejscu, gdzie zęby przecięły skórę. Odrzucił od siebie gałązkę i siedział z opuszczonymi ramionami tak strapiony, że zapytałam:

- Czy na to właśnie liczyłeś?

- Zaszedłem zbyt daleko... Kiedy utraciłem racje żywnościowe, pozostało mi tylko albo jeść to co oni, albo umrzeć z głodu, choć całą siłą woli próbowałem się opierać.

Siedział wpatrując się we własne ciało, jak gdyby zarazem brzydził się go i obawiał. Potem odniosłam wrażenie, że zdołał pogodzić się z pewnymi faktami, ponieważ znowu uniósł głowę i spojrzał na mnie, gotów stawić czoło temu, co było tu i teraz.

- Nie można iść naprzód oglądając się za siebie. - To mógł być jakiś cytat. - A teraz musimy iść dalej. Czy należysz do starego rodu Terran?

Zmiana tematu zaskoczyła mnie. Potem roześmiałam się, ponieważ było to głupie pytanie.

- Kto teraz do niego należy, kiedy nawet lokalizacja Terry jest sprawą dyskusyjną? Mój ojciec był zwiadowcą. Zawarł planetarny związek na Chaloksie, z którego ja pochodzę. Skąd mogę wiedzieć, ile setek pokoleń dzieli mnie od Terry?

- Terra nieznaną? Ależ to niemożliwe! Przecież na moim statku są terrańskie taśmy. Należę do czwartego pokolenia z Pierwszego Statku, które skolonizowało Nordeny.

Teraz ja z kolei wytrzeszczyłam oczy. Nigdy nie spotkałam, nawet wśród tych wszystkich wędrowców, przewijających się przez kwaterę Lazka Volka, nikogo kto miałby jakikolwiek rzeczywisty kontakt z Terrą. Od pokoleń stanowiła legendę. Słyszałam opowieści o tym, jak została zniszczona w jakiejś galaktycznej wojnie. Ci, których znałam, byli albo mieszkańcami różnoplanetarnych ras, jak ja sama, albo też z przesadną dumą wywodzili swoje pochodzenie od załogi Pierwszego Statku. Lecz ten statek, z kolei, wystartował z jednego z zatłoczonych wewnętrznych światów, nie z Terry.

- Nigdy nie spotkałam nikogo, kto miałby jakikolwiek związek z Terrą.

Zastanawiałam się, czy mówi prawdę, czy też z jakiegoś powodu próbuje

wywrzeć na mnie wrażenie.

- To nie ma znaczenia. Istotne jest, że na Terrze znane były prastare legendy o miejscach takich jak to... - Wskazał ręką na otoczenie. - Tylko że w tych legendach takie miejsca były częścią Terry.

Zrozumiałam, że musiał postradać zmysły i plecie nonsensy umęczony tym, co tutaj przeszedł.

- To jest Dylan! - odcięłam się. Nie byłam jednak tego pewna. Nie był to ten Dylan, który znałam.

Ten, który nazywał siebie Jorthem Kosgro, potrząsnął głową.

- Mówisz, że przybyłaś tutaj z Dylana. Ja wiem, że przyleciałem z jakiejś nieznanej planety, gdzie wylądowałem. A Terranie znają legendy. Na moim statku są taśmy zawierające nagrania o tym wszystkim. Mówią o Ludzie ze Wzgórz, który mieszka pod ziemią i próbuje zwabić do siebie zwykłych śmiertelników. Jeśli ktoś zjadł ich jedzenie albo napił się ich wody, zostawał z nimi. Skark - o nim też istnieją legendy. Widziałem nawet na hologramie prastary posąg, podobny do niego. I Shuck - legendy mówią, że nocami pojawia się w pewnych miejscach na Terze, przynosząc cierpienia lub śmierć tym, którzy go zobaczą. Wszystkie te istoty posiadają niezwykłą moc umysłu, dzięki czemu potrafią robić rzeczy, jakie ludziom wydają się niemożliwe. Nawet ochronne pierścienie, te również widywano niekiedy na terrańskiej ziemi. I uważa się, że wejście do któregoś z nich, a tym bardziej zniszczenie, przynosi nieszczęście.

Wypowiadał te słowa z pełnym przekonaniem. Przynajmniej nie uległo wątpliwości, że wierzył w to, co mówił. Lecz to nie mogła być Terra - po prostu nie mogła! I powiedziałam mu to.

- Niewykluczone, że nie jest to Terra, tylko inna planeta. Może to być rzeczywistość jakiejś innej czasoprzestrzeni, świat, w którym nie rządzą prawa materii, jakie my znamy - lecz który co jakiś czas jest w stanie utworzyć połączenie pomiędzy sobą a jedną z naszych planet. Wszystkie te legendy z Terry są stare, bardzo stare. I prawdą jest, że dotyczą czasów, kiedy ta planeta była z rzadka zamieszкана, a rodzaj ludzki nieliczny. Do takich przejść w tę i w tamtą stronę dochodziło w odległej przeszłości. Więc mogło być tak, że połączenie zostało w jakiś sposób zerwane i ten świat, lub Terra, przesunął się na inną pozycję. W takim razie, kiedy wrota zostały ponownie otwarte, połączyły ten świat z inną planetą.

- Ale dlaczego korzystają z tych wrót, dlaczego sprowadzają nas tutaj? -



Wszystko to zaczęło nabierać dla mnie sensu. - Bartare... chciała tu przybyć...  
wskazano jej drogę. Ale po co była im potrzebna?

- Bartare? Kto to jest?

Najkrócej jak potrafiłam opowiedziałam mu, dlaczego i w jaki sposób  
znalazłam się tutaj, i że muszę odnaleźć dzieci.

- Podstawione dziecko - powiedział. - Istnieje jeszcze inna opowieść o  
mieszkańcach Wzgórz, mówiąca o tym, że co jakiś czas z pewnych powodów  
potrzebują świeżej krwi, i że muszą zdobywać ją wśród ludzi. Więc albo kuszą  
dorosłych, albo zwabiają ich podstępem do swojego królestwa. Czasem też  
zamieniają swoje dzieci na ludzkie, kiedy są zupełnie małe, choć to ostatnie mogło  
mieć na celu coś innego. Nie ulega wątpliwości, że twoja Bartare dobrze wiedziała, na  
co poluje, i że znalazła to tutaj. Jeśli naprawdę jest z ich krwi... - Potrząsnął głową. -  
.. nie sądzę, by chętnie wróciła z tobą.

- Chętnie czy nie, musi wrócić - odparłam zdecydowanie, choć w głębi duszy  
wątpiłam, czy zdołam wytrwać w tym postanowieniu.

- Zastanawiam się... - zaczął, lecz urwał, więc ponagliłam go.

- Domyślasz się może, gdzie mogę ją znaleźć?

- Chyba tak. Z pewnością wzywał ją któryś z Wielkich. Musisz pójść do  
jednego z ich miast, żeby go odnaleźć. A ponieważ posiadają swoje zabezpieczenia,  
ci, których szukasz, będą o tym wiedzieli. Nie lekceważ ich, Kildo c'Rhyn, bowiem  
podczas gdy my polegamy na maszynach i potędze naszych umysłów, by  
podporządkować sobie świat, oni posiadają coś, co okazuje się zupełnie obce  
naszemu sposobowi myślenia i naszym mocom, lecz jest tutaj o wiele potężniejsze.

- Pokażesz mi... zaprowadzisz mnie tam? - Machnięciem ręki zbyłam jego  
przestrogi.

- Jeśli chcesz... Wydaje się, że w tej sprawie nie mamy dużego wyboru.

Nic więcej nie zdążył powiedzieć, ponieważ w tej właśnie chwili usłyszeliśmy  
z oddali dźwięk rogu, który tak bardzo przeraził Oomarka i mnie. I tym razem nie  
mieliśmy pierścienia, który zapewniłby nam bezpieczeństwo. Mój towarzysz poruszył  
się z prędkością, o którą nie posadziłabym go w jego stanie. W mgnieniu oka  
poderwał się na nogi, wpatrując się w zasłone mgły; jego szerokie i płaskie nozdrza  
unosily się i opadały, jak gdyby wykorzystywał zmysł powonienia do zlokalizowania  
niebezpieczeństwa.

Najpierw zwrócił się w stronę, skąd dochodził odgłos. I tym razem nie

mogłam się łudzić - dźwięk zbliżał się. Potem Jorth spojrział w prawo i jeszcze raz pociągnął nosem.

- Tam płynie woda... - Pokazał ręką, jakby rzeczywiście mógł ją zobaczyć. - Jeśli zdołamy do niej dotrzeć, może uda nam się wymknąć.

Nie potrafiłam zrozumieć, w jaki sposób woda może nam pomóc. Lecz musiałam zaufać komuś, kto znał ten świat lepiej niż ja. Przymocowałam więc zawiniątko z prowiantem do pasa i ujęłam w ręce gałązkę i torbę z kamieniami.

Wskazał na gałązkę.

- To może ich zatrzymać na jakiś czas. Za każdym razem, kiedy powiem "teraz", odwróć się i omieć gałązką ziemię w miejscu, przez które przeszliśmy. Psy na parę chwil stracą trop.

Tak więc ruszyliśmy pod osłoną tumanów mgły. Za każdym razem, kiedy powiedział "teraz", odwracałam się i omiatałam gałązką ziemię za sobą. Co jakiś czas słyszeliśmy dźwięk rogu i rozlegające się w odpowiedzi ujadanie. Niekiedy rozbrzmiewało bliżej, a wówczas serce zaczynało mi walić i czułam wzbierającą we mnie falę lodowatego strachu. Potem, ku mej uldze, znowu cichło, choć nie wiedziałam, czy to dlatego, że się oddalamy, czy też z powodu jakichś szczególnych właściwości mgły. Zobaczyłam jednak, że moja gałązka, która wytrwała tak długo bez szwanku oddzielona od macierzystego drzewa, zaczyna więdnąć i tracić kwiaty. Ogarnął mnie strach, że wkrótce opadnie z niej wszystko. Powiedziałam o tym Jorthowi, lecz on mógł pocieszyć mnie tylko stwierdzeniem, że być może znajdziemy następne srebrzyste drzewo, ponieważ nie należały tutaj do rzadkości.

- Jesteśmy już blisko, słyszysz?

Tym, co miałam usłyszeć, był szmer płynącej wody. Pod stopami mieliśmy szarą ziemię, w której lśniły blade białe kamienie. Kosgro przyklęknął na jedno kolano i wydłubał kilka z nich. Ku mojemu zdziwieniu oglądał je uważnie, jakbyśmy mieli całą wieczność na jakąś dziecięcą zabawę. Kiedy wybrał dziewięć kamieni, machnięciem ręki dał mi znać, żebyśmy ruszyli dalej. Zsunęliśmy się ze skarpy i zobaczyłam strumień, który nie dość, że był wartki, to jeszcze w dodatku toczył ciemne wody. Nie miałam ochoty przeprowiać się przezeń w bród.

- Tutaj.

Ujmował kamienie po kolei i spluwał na nie, mamrocząc coś tak cicho, że nie słyszałam wyraźnie, co mówił. Kiedy potraktował już tak wszystkie, zaczął wrzucać je do wody, pierwszy blisko brzegu, a każdy z następnych coraz dalej, jak gdyby

zamierzał wzniesć na nich przęsła jakiegoś mostu. Właśnie kiedy zamierzałam poprosić o wyjaśnienie, ze zdumienia odebrało mi mowę.

Czy mogłam uwierzyć w to, co widziały moje wytrzeszczone oczy? Z pomarszczonej falami wody, z każdego miejsca, gdzie z pluskiem wpadły do niej te małe kamienie, wyłonił się biały skalny blok. Można było przejść po nich z jednego brzegu na drugi. To z pewnością jakaś iluzja!

- Ruszaj!

Wciąż trzymał w jednej ręce trzy kamienie, lecz drugą popchnął mnie, podkreślając rozkaz. Zrozumiałam, że chce, abym przeszła po skalnych blokach. Pewnie zbuntowałabym się, tylko że róg odezwał się znowu - o wiele za blisko.

Tak więc wskoczyłam na najbliższy, przekonana, że moje stopy nie znajdą oparcia i wpadnę do wody. Moje stopy znalazły jednak solidne oparcie. Zachęcona tym, wskoczyłam na drugi, a potem na następny. Mgła nie pozwalała mi dojrzeć drugiego brzegu rzeki, nie wiedziałam też, jak daleko sięga ten dziwny most.

Znalazłam się na szóstym kamieniu i wciąż miałam przed sobą rwącą wodę. Kosgro doskoczył do mnie i przez chwilę badał wzrokiem wodę, zanim rzucił siódmy kamień. Potem powiedział:

- Poczekaj tutaj, dopóki się nie upewnię, jak odległy jest drugi brzeg.

Wskoczył na siódmy kamień i stamtąd rzucił ósmy. Znajdował się na krawędzi mgły i nie widziałam go wyraźnie. Czekałam, drżąc z zimna, kiedy rozbryzgująca się o skalny blok woda spryskiwała mi nogi.

- Dalej... - Jego głos był stłumiony, lecz uznałam, że chce, bym dołączyła do niego. Tak więc przeskoczyłam na siódmy, potem na ósmy i w końcu na ostatni. Przedemną wciąż płynęła woda, zbyt szerokim pasmem. Lecz mgła nie mogła ukryć Kosgro, który stał po pas w wodzie, trzymając się zwałonego drzewa, przegradzającego rwący nurt. Skinieniem dał mi znać, żebym skoczyła i że mnie pochwyci.

Kiedy upewniłam się, iż torba z kamieniami i zawiniątko z prowiantem są przymocowane do pasa, wepchnęłam to, co pozostało z gałązki za pazuchę, uwalniając w ten sposób obie ręce. I dopiero wtedy wykonałam ostatni skok.

Prąd był tak silny, że zwałiłby mnie z nóg i wciągnął pod powierzchnię, gdyby nie silny chwyt owłosionej ręki. W jakiś sposób udało się nam wydostać na brzeg, gdzie upadliśmy dysząc ciężko.

Znowu odezwał się róg, tak blisko, że musiał rozbrzmiewać z drugiego brzegu

rzeki.

- Kamienie... mogą po nich przejść...

- Spójrz - powiedział, a ja poszukałam ich wzrokiem.

Nic nie znalazłam, choć przynajmniej dwa skalne bloki powinnam była zobaczyć.

- To zaklęcie nie działa długo ani też nie może być wykorzystane wbrew mojej woli. Jak widzisz, szpiegowanie Ludu okazuje się przydatne. Podglądałem ich z ukrycia, kiedy wychodzili ze swoich warowni, w nadziei, że dowiem się czegoś, co umożliwi mi powrót lub pozwoli na dobiecie targu z którymś z nich. Nie zwracają na mnie uwagi, bo jestem jednym z Pomędzy - nie należę ani do Pomroczy, ani do nich, ponieważ nie chciałem przyjąć ich zwyczajów. Moja jedyna nadzieja kryła się w tym, że dowiem się jak najwięcej. I przynajmniej jeden z tych z trudem zdobytych strzępów wiedzy przydał nam się w tych ciężkich chwilach!

Choć wciąż z trudem przychodziło mi uwierzyć, że przeprowadził nas przez rzekę w tak niezwykle sposób, przecież nie mogłam zaprzeczać oczywistym faktom.

Rozległ się przeraźliwy, budzący grozę dźwięk rogu. Poderwałam się na nogi, gotowa uciekać. Ale w zachowaniu Jortha nie było widać pośpiechu.

- Bieżąca woda. - Wskazał na rzekę. - To powstrzyma Pomroczy, dopóki nie znajdą gdzieś jakiegoś mostu, po którym będą mogli przejść na drugą stronę. Przez jakiś czas nic nam z ich strony nie grozi.

## Rozdział jedenasty

Nie możemy tutaj zostać!

Bez względu na to, gdzie znajdował się taki most, chciałam oddalić się jak najszybciej z tego miejsca, choć marsz we mgle również stwarzał problemy.

- To prawda.

Otrząsnął się z wody jak zwierzę. Moje wilgotne ubranie oblepiało mnie. Po raz pierwszy, odkąd znalazłam się tutaj, pragnęłam ciepła, chciałam zobaczyć słońce i poczuć na sobie dotyk jego promieni.

Byłam zdecydowana pozwolić Jorthowi na objęcie przewodnictwa, ponieważ nie wiedziałam, dokąd mamy iść. W tej mgle mogłam zabiłdzić i wrócić do rzeki. Ponownie zaczął węszyć, jakby chciał w ten sposób znaleźć drogę.

Potem powiedział:

- Niedaleko stąd znajduje się miejsce, gdzie chroni się Lud.

Ruszył przed siebie jak ktoś, kto wyraźnie widzi drogę. Pospieszyłam za nim i kiedy się z nim zrównałam, zapytałam:

- Skąd wiesz?

- Nie czujesz go?

Czułam tylko zapach wędnącej gałązki, i to było wszystko.

- Lud używa roślin do zaklęć czynienia i odczyniania. W miejscach, gdzie rosną, ich zapach jest bardzo intensywny.

- Taki jak tego? - Dotknęłam zmiętej gałązki.

- Nie, te są inne. Nie wiem, kto je posadził. Ale Lud ich nie używa. Pochodzą z wcześniejszej ery, być może z czasów jakiegoś innego ludu...

- Te kopce, gdzie one rosną - czy były ongi miastem, czy też miejscem pochówku?

- Mogły być tym albo tym, lub jednym i drugim. Jeśli ktokolwiek zna historię tego świata, to tylko Wielcy Ludu. A Wielcy zazdrośnie strzegą swej wiedzy. Oni i Pomrocze od zawsze konkurują ze sobą. Dochodzi też do rywalizacji wśród nich samych. I jest jeszcze coś... - Urwał, jak gdyby nie miał ochoty mówić dalej.

Naciskałam go jednak, ponieważ to, czego się dowiedziałam, nawet najdrobniejsza rzecz mogła umożliwić mi powrót do znanego świata.

- Co jeszcze?

- Nie wydaje mi się, żeby Lud był tu najważniejszy, choć to prawda, że udaje mu się trzymać Pomroczy w szachu. Lecz z tego, co podsłuchałem, wynika, że jest tu jeszcze coś, czego oni się boją, ponieważ co jakiś czas składają daniny. I płacą te daniny żywymi istotami - co jest jednym z powodów, dla których muszą werbować mieszkańców innych światów.

- Dzieci!

Czy Bartare została wezwana z takiego właśnie powodu? Jeśli tak, tym bardziej należało odnaleźć rodzeństwo - i to szybko.

- Naprawdę nie wiem.

Wydawało się, że niewiele go to obchodzi.

W obliczu jego obojętności zapłonęłam gniewem, lecz zdrowy rozsądek ugasił te płomienie. Ostatecznie, dlaczego powinno obchodzić? Dzieci nic dla niego nie znaczyły. Prawdopodobnie jedyną rzeczą, która trzymała go przy mnie, było moje jedzenie. Ale, jeśli tak, to czemu po prostu nie ogłuszył mnie i nie zabrał mi go? Nie wątpiłam, że przewyższał mnie znacznie siłą i znajomością sztuki walki, i bez większego trudu mógł zabrać mi prowiant. Jednak od początku tylko prosił, a nie próbował odebrać mi zapasów przemocą. I w ten sposób zagadka, którą sobą przedstawiał, dalej nie dawała mi spokoju.

- Mgła rzednie.

Zajęta swoimi myślami niczego nie zauważyłam, dopóki tego nie powiedział. Teraz na własne oczy mogłam się przekonać, że pole widzenia rzeczywiście się poszerzyło. A parę chwil później znaleźliśmy się na drodze. Nie była to tylko wydeptana darń, jak ścieżka prowadząca do kopców, lecz prawdziwa droga, wyłożona dopasowanymi do siebie kamiennymi płytami. Niektóre z tych płyt jarzyły się takim samym bladym lśnieniem, jak kamienie, wykorzystane przez mojego towarzysza do zbudowania owego niezwykłego mostu. Inne były czerwone, żółte, czy nawet czarne. I choć ułożono je bez jakiegoś określonego wzoru, rozrzucając tu i tam, przecież dałoby się pójść drogą - jeśli ktoś chciałby poświęcić na to czas i uwagę - stąpając tylko po płytach jednego rodzaju.

- Czekaj. - Uniesione ramię Kosgro zagroziło mi drogę. - To jedno z ich miejsc służących do podróżowania.

- Droga, przecież widzę...

- To coś więcej niż tylko droga. Nie prowadzi do jednego określonego miejsca, lecz do wielu. Och, nie potrafię tego wyjaśnić, ponieważ nie rozumiem zasad, które

tym rządzą. Ale widziałem, jak ją wykorzystywano. A działa w taki sposób: poszczególne kolory służą określonym celom. Jeśli nie będziesz uważała, gdzie stawiasz nogę, to albo nie ruszysz z miejsca, albo droga zaprowadzi cię tam, dokąd nie chcesz iść, bowiem Pomrocze również jej używają. Szukając określonej osoby, wybierasz błyszczące płyty. Kroczysz tylko po nich, wyobrażając sobie twarz tego, kogo chcesz zobaczyć. Koncentrujesz się na tym ze wszystkich sił, i wtedy go napotkasz.

- Ale dzieci jest dwoje - Oomark i Bartare. Wzruszył ramionami.

- Chyba więc będziesz musiała wybierać.

Wybierać? Bartare była z tą tajemniczą Panią, która sprowadziła tują i nas. A ponieważ dziewczynka przybyła tutaj chętnie, być może była na tyle bezpieczna, na ile to możliwe w tym świecie pełnym wielorakich niebezpieczeństw. Ale Oomark uciekł w nieznaną. I wspominając polowanie oraz tych, na których natknęłam się wśród kopców, uznałam, że wcale nie mam wyboru - muszę odnaleźć Oomark. I powiedziałam o tym Kosgro.

- Jak chcesz. Idź zatem po błyszczących kamieniach i wyobrażaj go sobie takim, jakim widziałas go po raz ostatni.

Byłam zaskoczona, ponieważ wyglądało, iż nie jest zainteresowany tym, dokąd mam się udać. Czy to oznaczało, że rozstajemy się tutaj? Zapytałam go o to i z jego ust wydobył się dźwięk, który mógł być ochryłym śmiechem.

- Zostawić cię? Nigdy, dopóki masz to, co dla mnie jest życiem. Lecz każde miejsce jest równie dobre, jeśli tylko Pomrocze nie będą mogli nas osiągnąć. Wciąż nie tracę nadziei, że z naszego spotkania wyniknie coś więcej. Jednak przewodnictwo należy teraz do ciebie, bo ty prowadzisz poszukiwania. Podaj mi tylko rękę, ponieważ nie wiem, na kim mam się skoncentrować, i muszę polegać na tobie.

Przez chwilę skłonna byłam odmówić, żeby uwolnić się od Jortha Kosgro. Odżyły moje dawne podejrzenia. Lecz w końcu wyciągnęłam rękę, a on ujął ją mocno.

Gdyby ktoś obserwował nas, ujrzałby dziwny widok. Żeby kroczyć wyłącznie po błyszczących kamieniach, musiałam posuwać się zygzakami, to w przód, to znowu, z konieczności, do tyłu. Starłam się usunąć z myśli wszystko z wyjątkiem obrazu Oomark, takiego, jakiego zapamiętałam, kiedy uciekł ode mnie przestraszony widokiem ukwieconej gałązki.

Poruszając się tą krętą trasą oddaliliśmy się od miejsca, gdzie po raz pierwszy

wstąpiliśmy na płyty. Teraz, kiedy mgła się cofnęła, mogłam zobaczyć, że droga kończy się nagle niedaleko od miejsca, gdzie przystanęłam, by się jej przyjrzeć. Jak dotąd nic się nie stało i chciałam już zrezygnować z tego sposobu podróżowania i zażądać od Kosgro, żebyśmy skierowali się gdzieś indziej.

- Myśl o chłopcu!

Wyglądało, jak gdyby czytał w moich myślach i zachęcał do skupienia uwagi na poszukiwanej osobie.

Posłusznie wyobraziłam sobie znowu twarz Oomarka i zrobiłam trzy ostatnie kroki, ciągnąc za sobą Kosgro. Nagle odniosłam wrażenie, że biegnę, a jednak ziemia pod stopami nie uciekała do tyłu, lecz również poruszała się do przodu, tak że musiałam jeszcze bardziej przyspieszyć, żeby utrzymać się na nogach. Z obu stron rozległ się furkot, a kontury zamazały się, jak gdyby zatarte prędkością, z jaką mijaliśmy to, co nas otaczało.

Potem upadłam, albo raczej doznałam uczucia, jakbym została wyrzucona z pędzącej drogi; uderzyłam o coś twardego, i przez chwilę lub dwie leżałam dysząc, zanim usiadłam, by zobaczyć, gdzie jesteśmy. Usłyszałam jęk i spojrzałam w tamtą stronę.

Kosgro leżał kawałeczek dalej, z rękami przyciśniętymi do bandaży na piersiach, walcząc z bólem. Po chwili udało mu się usiąść. Wreszcie oboje mogliśmy zobaczyć, dokąd trafiliśmy, podróżując w tak niezwykle sposób.

Przed nami rozciągała się szeroka połać zieleni, opadająca łagodnie w dół od miejsca, gdzie wylądowaliśmy. Łąka cieszyła oczy soczystą zielenią, lecz nigdzie nie było widać na niej ciemniejszych kręgów. Rosły tu blade kwiaty, białe i kremowe, oraz krzewy, obsypane tymi złotymi jagodami, które tak smakowały Oomarkowi. Wokół nich pełno było latających i podskakujących stworzeń.

Niezbyt daleko od nas poruszały się większe istoty, zajadające jagody albo leżące w trawie. Oomark? Nie. A może tamta to Oomark... albo tamta... czy może ta?

Z tej odległości nie mogłam dostrzec różnic między nimi. Wszystkie miały rozszczerzone kopyta, gęste owłosienie i rogi, tak jak Oomark. Kiedy poruszały się obok siebie, można było tylko dopatrzeć się niewielkiej różnicy w wielkości. Nie potrafiłabym odróżnić jednej od drugiej. Czy Oomark przyszedłby, gdybym zawołała?

Trzy stworzenia zdawały się bawić w jakąś grę, rzucając po kolei, jedna do drugiej, kulisty przedmiot. Inne tuliło małe zwierzątko, pieszcząc je i głaszcząc



futerko. I żadne nie nosiło nawet strzępka odzieży takiej, jaką wciąż jeszcze powinien mieć na sobie Oomark. Wspomniawszy jednak, jak łatwo pozbył się butów i wierzchniej tuniki, stwierdziłam, iż nie mogę liczyć na to, że nie wyrzucił reszty swojego nietutejszego stroju.

- Wiesz, który to? - zwrócił się do mnie Kosgro.

- Nie. Ale mogę zawołać...

- Nie! - przerwał mi zdecydowanym tonem. - Lepiej nie ściągać na siebie więcej uwagi niż to konieczne.

- Czy oni... czy to są Pomrocze?

- Nie, to są niższe istoty należące do Ludu. Ale są psotne i złośliwe i nie zrobią nic, żeby ci pomóc. Wręcz przeciwnie. Lepiej spróbuj odnaleźć chłopca po cichu.

- Ależ one wszystkie są takie same! Z tym tylko, że niektóre wydają się nieco wyższe od pozostałych. To tak, jakbym miała wybrać pojedyncze ziarnko piasku z wielkiej wydmy.

Zaczęłam liczyć. Naliczyłam dziesięć stworzeń i nie mogłam dostrzec między nimi żadnych różnic.

- To rzeczywiście problem - zgodził się Kosgro. - Czy jest coś, do czego chłopiec był mocno przywiązany i o czym mogłabyś teraz wspomnieć, żeby przyciągnąć jego uwagę? Jeśli wiesz o czymś takim, możemy podejść bliżej. Inne będą starały się go ukryć, lecz może zdradzi się odpowiadając ci.

- Bartare? Gdybym tak wymieniła jej imię...

Kosgro potrząsnął głową.

- Z twojej relacji wynika, że jest mocno związana z tym światem. Mogą ją znać. A wtedy postarałyby się nas zwiędzić.

- Wydaje się, że dużo o nich wiesz.

- To prawda. Kiedy zjawiłem się tutaj, zdarzyło się, że ugrzęzłem w bagnie i to właśnie te stworzenia ukradły mi wtedy prowiant.

Uciekły, rozerwały torbę i rozrzuciły całą zawartość. Udało mi się wydostać z trzęsawiska i ruszyłem ich tropem, dopóki nie dowiedziałem się, że gniew przyciąga Pomroczy. Odkryłem, że dla ochrony przed nimi muszę kontrolować emocje. Te niższe istoty są niezwykle zmienne, niczym nie potrafią zająć się na dłużej. Sądzę, że wszystkie są dziećmi, które w ciągu stuleci zwerbowano z innych światów...

- Stuleci! Ale przecież nie mogą żyć tak...

Odwrócił się i patrzył mi teraz prosto w oczy.

- Wyjąwszy sporadyczne przypadki zabójstw, będących dziełem Pomroczy, nie ma tutaj śmierci.

Galaktykę zamieszkują rasy, których długowieczność jest bez porównania większa niż w przypadku mojego gatunku - Zacamani, na przykład. Ale nawet ich życie kończy się ostatecznie śmiercią. Nigdy nie natrafiono na miejsce, gdzie życie nie kończyłoby się śmiercią, choć miejsca takie istnieją w legendach i mitach wielu ludów.

- Czy wiesz, co może zainteresować Oomarka? Jakieś imię, no, coś w tym rodzaju? - zapytał, kierując moją uwagę z powrotem na to, co mieliśmy zrobić.

Pomyślałam: imię jego matki? Ojca? Nie byłam pewna. Może imię któregoś z przyjaciół z Dylana? I wtedy olśniło mnie - Griffy! To z jego powodu przeżył taki wstrząs.

- Spróbuję,...

- Nie będziesz miała zbyt wiele czasu - zauważył. - Potrafią poruszać się z taką szybkością, że nie zdołamy ich dopędzić, jeśli uciekną.

Obyłabym się bez tego ostrzeżenia, ponieważ sprawiło, że nerwy miałam jeszcze bardziej napięte. Teraz istoty przyglądały się nam i zlekłam się, że odwrócą się i uciekną. Nie tracąc więc czasu zaczęłam rozglądać się po łące, jak gdybym czegoś szukała. Wyciągnęłam rękę i zawołałam pieszczotliwie: - Griffy, chodź! Griffy! Griffy!

Nie śmiałam unieść wzroku, żeby zobaczyć, jakie robi to wrażenie na stojących przede mną stworzeniach. Zamiast tego dodałam coś, co miało stanowić ukoronowanie mojego występu:

- Griffy? Musi gdzieś tu być! Pomóż mi go znaleźć... Griffy!

- Griffy! - Tym razem nie ja to zawołałam. Był to młodszy, bardziej przenikliwy głos. - Griffy! Tutaj! Gdzie... gdzie on jest?

Jedna z rogatych postaci wyrwała się z grupy i rzuciła ku mnie. Dwie inne ruszyły, jakby zamierzając przeciąć drogę swemu towarzyszowi. Lecz skrzyżowały się i cofnęły się, gdy Kosgro chwycił małe stworzenie, które natychmiast zaczęło się wyrwać. Wówczas pozostałe zerwały się do ucieczki. Poruszały się z taką szybkością, że nigdy nie zdołałabym ich dogonić.

Kosgro z pewnym wysiłkiem zapanował nad jeńcem. Dyszał trzymając Oomarka, podczas gdy chłopiec kopał i rył darń kopytami. Gdy podeszłam do nich, Oomark krzyknął przenikliwie:

- Puść mnie, puść mnie! Kłamałaś! Griffy'ego tutaj nie ma!

Puść mnie! Zawołam Bartare. Ona sprowadzi Panią i wtedy pożałujecie - naprawdę pożałujecie.

Znowu był małym chłopcem. Teraz, w napadzie furii, utracił ów dziwny sposób wysławiania się, jaki pojawił się wraz ze zmianami w wyglądzie.

- Chcę się zobaczyć z Bartare, Oomark. Jeśli ją zawołasz, będę ci bezgranicznie wdzięczna...

Tak nagle zaprzestał prób wyrwania się, że nabrałam podejrzeń. Miałam nadzieję, że Kosgro nie da się zwieść i nie puści go.

- Nie wiesz, co mówisz. Bartare i Pani sprawiają, że będzie ci okropnie przykro. Bardzo dobrze wiedzą, co zrobić, żeby komuś było przykro. Zobaczysz!

- Chcę zobaczyć się z Bartare. I myślę, że wiesz, gdzie ona jest. Mówiłaś, że wiesz, miałaś mnie tam zaprowadzić.

- Nie lubię tamtego miejsca. Jestem już wśród swoich - należę do wolnego Ludu. Pozwól mi wrócić do nich.

Stał spokojnie i teraz był raczej gotów błagać o wolność, niż walczyć o nią. Tylko że w spojrzeniu utkwionych we mnie oczu kryła się chytryść, pomyślałam, że lepiej zrobimy nie ufając mu. Jego towarzysze, do których chciał wrócić, zniknęli już z pola widzenia.

- Oomark, nie należysz do tego świata... - zaczęłam, ale zobaczyłam, że Kosgro potrząsa głową. Wiedziałam, co chciał przez to powiedzieć: ten argument nie trafi do chłopca. Miał rację, lecz może gniew byłby skuteczniejszy.

- Nie wierzę, że wiesz, gdzie jest Bartare. Tylko tak mówisz. Gdybyś naprawdę wiedział, dowiódłbyś tego...

Nie miałam pojęcia jak postąpić, gdyby odmówił współpracy. Mogliśmy zatrzymać go w charakterze więźnia, lecz przecież nie zmusilibyśmy go, żeby pokazał nam drogę. A nawet jeśliby się na to zgodził, skąd pewność, że prowadzi nas tam, gdzie chcemy?

- Będziesz żałować, naprawdę będziesz żałować!

- Doskonale, będę żałować. Lecz mimo to muszę zobaczyć się z Bartare.

- Ona jest z Panią. Nie lubię Pani. Nie chcę tam iść...

Jego niechęć do tajemniczej towarzyszki Bartare była tak wielka, że nie trafiały do niego żadne argumenty. Mogłam tylko próbować wciąż od nowa.

- Chcesz wrócić do swoich przyjaciół, prawda? Zaprowadź nas zatem do

Bartare. Wówczas pozwolimy ci wrócić. Lecz dopóki tego nie zrobisz, zostaniesz z nami.

Być może w tym kosmatym ciele pozostała wystarczająco duża część dawnego Oomarka, by mógł odczuć wagę autorytetu dorosłego człowieka, bowiem odpowiedział ulegle:

- Dobrze. W każdym razie nie będzie mi cię żal - i ciebie też kiedy spotkacie się z Panią.

- Chodźmy już - powiedziałam.

Oomark wyszczerzył zęby.

- Tym lepiej dla mnie. Wreszcie zobaczę twój koniec!

W jego głosie zabrzmiało coś więcej, niż zwykła dziecięca złośliwość. Tak jak wcześniej w przypadku Bartare, tak i teraz odniosłam wrażenie, że zdobył wiedzę, jakiej nigdy żadne dziecko nie powinno posiadać. Obca część jego istoty znowu wzięła górę, tłumiąc to, co jeszcze pozostało w nim z człowieka. Uniósł wzrok, oglądając się na Kosgro.

- Możesz mnie puścić, ty Pomiedzy - powiedział tonem rozkazu. - Nie ucieknę. Chcesz, żebym to przysiągł na Darń i na Liść?

Kosgro cofnął się o krok.

- Wystarczy mi twoja obietnica.

- Więc chodźmy, jeśli tego chcecie!

Ruszył przed siebie, rozgorączkowany i zniecierpliwiony, co chwilę oglądając się na nas.

Podążyliśmy za nim. Prowadził, utrzymując takie tempo, że musieliśmy kłusować, by nie pozostać w tyle. Gdy znaleźliśmy się wśród krzaków z jagodami, usłyszałam przenikliwe głosy. Pecyny miękkiej ziemi zmieszanej z rozgniecionymi jagodami nadleciały znikąd, rozpryskując się na nas, dopóki Oomark nie uniósł ręki i nie krzyknął ostro. Wówczas grudy ziemi przestały spadać, a jego towarzysze, którzy być może planowali zasadzkę, pozwolili nam przejść. Kiedy jednak w pewnej chwili obejrzałam się za siebie, zobaczyłam, że nie opuścili Oomarka, lecz zbili się w grupę, podążając naszym śladem.

Nie miałam żadnych wątpliwości, że narażamy się na jedno z wielkich niebezpieczeństw, grożących w tym świecie. A zachowanie

Kosgro w żaden sposób nie osłabiało moich złych przeczuć. Bez przerwy rozglądał się wokół siebie, jak gdyby w oczekiwaniu ataku. Przyjaciele Oomarka

pozostali tak daleko w tyle, że niemal zniknęli we mgle.

- Jak jeszcze daleko? - zapytałam w końcu.

Oomark posłał mi jedno ze swych przebiegłych spojrzeń.

- Jak daleko? Jeśli Bartare nie będzie chciała się spotkać, wtedy zrobi się podwójnie daleko.

Nie miało to dla mnie żadnego sensu, lecz Kosgro zdawał się rozumieć, o co chodzi, ponieważ zatrzymał się nagle. Oomark odwrócił się.

- Na co czekasz? Przecież chcecie zobaczyć Bartare. Jeśli tak, to chodźmy!

- Nie, jeżeli chcesz poprowadzić nas drogą przez dolinę - odparł ostro Kosgro.

Znowu nic nie rozumiałam. Zaakceptowałam jednak fakt, że przeciwstawił się Oomarkowi; było bowiem oczywiste, iż to właśnie robi.

Oomark przestąpił z kopyta na kopyto w jakimś niecierpliwym tańcu.

- Nie chcę marnować czasu. Chodźmy albo puśćcie mnie!

- Nie drogą przez dolinę.

Oomark odpowiedział na to wybuchem gniewu.

- Co ty wiesz o drogach? Wewnętrznych, zewnętrznych, przez dolinę, prostych drogach? Jesteś jednym z Pomiedzy. Czymś gorszym niż stworzenia, które ryją w tym! - Kopnął grudę ziemi, która trafiła Kosgro w kolano. - Pomiedzak! - krzyknął, zmieniając to słowo w zniewagę.

- Nie drogą przez dolinę - powtórzył po raz trzeci Kosgro, spokojnym i niewzruszonym tonem. W jego głosie brzmiał autorytet człowieka, którego każde polecenie wykonywano bez szemrania, i ma wszelkie powody, by oczekiwać, że i tym razem tak będzie.

Oomark opuścił głowę, jakby nie mógł już wytrzymać spojrzenia swego przeciwnika. Kopnął jeszcze jedną grudę, lecz ta nie doleciała do Kosgro, o ile to właśnie leżało w jego zamiarach.

- No dobrze! - zawołał w końcu. - Poprowadzę was zewnętrzną drogą!

- Tak będzie lepiej.

I znowu spokojna odpowiedź Kosgro odniosła skutek. Na własne oczy mogłam się przekonać, iż faktem, że postawił na swoim, ponownie doprowadził do przebudzenia się dawnej osobowości Oomarka. A z chłopcem o imieniu Oomark łatwiej mogliśmy sobie poradzić.

Podszedł i wyciągnął dłoń do Kosgro, który ujął ją, równocześnie podając mi drugą rękę. Kiedy już połączyliśmy się w ten sposób, Oomark ruszył, prowadząc nas.

Tym razem nie kłusował prosto przed siebie, tak jak przedtem, tylko kluczył, skręcając i zawracając. Przypomniało mi to przeskakiwanie z płyty na płytę na drodze, pozornie prowadzącej donikąd, choć tym razem zamiast kamiennych bloków mieliśmy pod stopami sięgającą kostek trawę. Nie było też tutaj żadnego wzoru, podług którego wytyczaliśmy naszą trasę.

Podążaliśmy więc w ten męczący sposób przez siebie. Droga zdawała się nie prowadzić do żadnego celu, a bardziej przypominała jakąś bezsensowną grę. Jednak doceniałam wagę tej gry, bowiem Oomark zgodził się na to wyłącznie pod naciskiem Kosgro.

Tak bardzo pochłaniało mnie obserwowanie owych skrętów i zwrotów, że właściwie na nic więcej nie zwracałam uwagi. W końcu jednak zauważyłam, że trawa rzednie. Pojawiły się długie łąchy srebrzystego piasku, usiane ognistymi plamkami, choć owe cętki nie były czerwone, tylko zielone. Pojawiało się ich coraz więcej i więcej, aż w końcu piasek zaczął przypominać roziskrzony pył.

Kiedy zniknęło ostatnie źdźbło trawy i pozostał tylko ów iskrzący się piasek, we mgle zamajaczyły wysokie cienie. W pierwszej chwili pomyślałam, że są to gigantyczne drzewa; potem zobaczyłam, że to kryształowe kolumny o wielofasetowej powierzchni, mlecznobiałe lub o barwie zimnej zieleni. Przypominały zdobione rzeźbami wieże. Tak przynajmniej wyglądały z oddali. Lecz w miarę jak się zbliżaliśmy, stawały się ogromnymi, noszącymi ślady zniszczenia filarami. A jednak te dalsze wciąż przywodziły na myśl wieże, całe mnóstwo wież.

Z bliska złudzenie pryskało. U stóp filarów pojawiła się płatanina krętych ścieżek. Wśród tych olbrzymich słupów człowiek czuł się mały i zagubiony.

Nawet tutaj Oomark nie szedł prosto, lecz kluczył przechodząc to na jedną, to na drugą stronę ścieżki. Dwukrotnie zawracał po własnych śladach, jak gdyby zamierzając opuścić to miejsce. W jakiś sposób zaprowadził nas jednak w głąb labiryntu. Ogarniał mnie coraz większy strach na myśl, że możemy natknąć się tutaj na takie same potwory, jakie spotkałam wśród kopców.

Być może kopce były ongi czymś takim jak tutaj, tylko że tam filary skruszały i runęły.

Złudzenie, iż jest to miasto, uparcie powracało, z tym tylko, że było to miasto bez przechodniów na ulicach, bez głów w oknach, bez jakiegokolwiek śladu, że przebywają tu inne żywe istoty oprócz nas.

Narastała we mnie ochota, żeby zawołać i dowiedzieć się, czy jesteśmy tutaj

sami. Lecz wszędzie wokół zalegała napawająca lękiem cisza. Słyszałam tylko szept Oomarka; wyglądało to tak, jak gdyby powtarzał jakieś słowa w monotonnym zaśpiewie. Być może robił to od chwili, kiedy zaczęliśmy poruszać się w ten niezwykle sposób, ale wcześniej nie zdawałam sobie z tego sprawy.

Oomark przystanął tak niespodziewanie, że Kosgro wpadł na niego, a ja z kolei zatrzymałam się równie gwałtownie na szerokim ramieniu mojego towarzysza. Widzieliśmy przed sobą miasto, wokół nas filary, i nic więcej. Oomark znowu wyszczerzył zęby w tym nieprzyjemnym, wcale nie dziecięcym grymasie, w którym nie było śladu życzliwości.

- Jest tu ściana - oznajmił.

Nie mogłam dostrzec niczego takiego. Kosgro puścił moją rękę. Wciąż ściskając dłoń Oomarka, wyciągnął ramię przed siebie. Nie uległo wątpliwości, że jego palce natrafiły na jakąś niewidoczną powierzchnię. Przesunął ręką w górę i w dół, badając ją. Oomark szarpnął się, próbując mu się wyrwać.

- Tu jest ściana - powtórzył. - Nie da się jej obejść ani wewnętrzną, ani zewnętrzną drogą. Zrobiłem wszystko, co mogłem. Puść mnie teraz!

- Nie zaprowadziłeś nas do Bartare - przypomniałam.

Spojrzał na mnie krzywo, z wyraźną wrogością.

- Teraz to niemożliwe. Nie jestem Wielkim. Nie mogę przez to przejść.

- To prawda, nie możesz - przytaknął Kosgro.

Byłam przerażona. Mój lęk brał się nie tylko z faktu, że Jorth zgodził się z Oomarkiem, ale też ze świadomości, że przywykłam polegać na nim, być może za bardzo, do stopnia, który mógł zagrozić temu, co musiałam zrobić.

- My nie możemy, ale niewykluczone, że ona tego dokona. Kosgro odsunął się odrobinę, tak że stałam teraz bezpośrednio przed niewidzialną barierą. - Spróbuj z notusem.

## Rozdział dwunasty

Spojrzałam na gałązkę. Teraz już marniała w oczach, kwiaty pożółkły i zwiędły, a aromat nie był tak intensywny jak przedtem. Lecz gdy wyciągnęłam ją zza pasa, Oomark cofnął się i skurczył.

- Nie!

Z pewnością próbowałby uciec, gdyby Kosgro nie trzymał go.

- Dotknij tym ściany - polecił, przytrzymując chłopca.

Wyciągnęłam rękę i... wymacałam gładką powierzchnię. Była ciepła i w palcach, gdy przesuwały się po niej, poczułam mrowienie, jak gdyby przepływał tam strumień jakiejś energii.

Potem dotknęłam ściany gałązką. Zobaczyłam błysk światła, któremu towarzyszył trzask. Wyglądało to tak, jakby gałązka doprowadziła do zwarcia lub krótkiego spięcia.

- Tak. - Kosgro skinął głową. - Tak właśnie myślałem. To dlatego boją się notusa. Działa niszczycielsko na ich moc. A ponieważ czerpią energię z samych siebie, to, co zrobiłaś, może tę moc osłabić. Chodźmy.

Jednak Oomark nie chciał iść. Przestał kopać i wrywać się, lecz zwiesił ponuro głowę i nie odpowiadał na pytania Kosgro.

- Czy nie możemy po prostu pójść naprzód? - zniecierpliwiłam się.

- Nie sądzę. To jedno z miejsc, które osłania ich iluzja. Chyba że... - Kosgro znowu spojrzał na gałązkę. Skurczyła się bardzo, prosząc szarym pyłem, kiedy nią poruszyłam.

- Czy zostały jakieś kwiaty? - zapytał.

Obejrzałam uważnie gałązkę. Pośrodku tkwiło jeszcze sześć; były zwiędłe, ale wciąż nietknięte.

- Daj mi trzy. Ty weź pozostałe - powiedział Kosgro. - Wetrzyj je w powieki.

Zawahałam się. Wzrok jest niezmiernie cennym zmysłem. Nie chciałam narażać swojego, pamiętałam bowiem aż nadto dobrze, jak czułam się wśród jaskrawych, geometrycznych figur.

- Jeśli chcesz tutaj znaleźć drogę - teraz on z kolei się zniecierpliwił - to ten sposób jest naszą jedyną szansą. Ich iluzje są bardzo trwałe. Mogą usidlić nas tak, że się zupełnie zagubimy.



Wierzył w to, co mówił, tego byłam pewna. Powoli uniosłam zmięte kwiaty, zamknęłam oczy, i potarłam powieki zwiędłymi płatkami. Trzymając kwiaty tak blisko twarzy mogłam wdychać ich zapach, który, jak zwykle, napełnił mnie dobrym samopoczuciem. Uniosłam powieki...

Wznoszące się wokół nas wieże–filary zniknęły. Wciągnęłam głośno powietrze, odniosłam bowiem wrażenie, że znowu znalazłam się wśród pagórków, gdzie czały się potwory. Otaczały mnie stosy zwałonych na siebie kamiennych bloków, porośniętych trawą i kolczastymi krzakami, droga zaś, szeroka i prosta, która przedtem ciągnęła się przed nami, okazała się wąską ścieżką, wijącą się tu i tam wśród tych pagórków.

- Co widzisz? - zapytał Kosgro.

Spojrzałam na niego, a potem szybko odwróciłam wzrok, omal nie pokonana przez mdłości i zawroty głowy. Owłosiona postać, tak dobrze mi znana, drżała i migotała; raz była tym, to znowu owym, aż w końcu nie wiedziałam już, co widzę. Czy to sylwetka człowieka, zamglona, o niewyraźnych konturach? Czy też owłosiony stwór? Czy nawet - chwilami - ogromny, purpurowy trójkąt?

- Przestań!

Wyciągnęłam błagalnie rękę w nadziei, że może przybierze jakąś jednorodną formę.

- Co widzisz? - zapytał znowu.

- Ty... zmieniasz się. Czym... czym jesteś?

- Nie patrz na mnie! - Głos wydobył się z tego oszałamiającego wiru kształtów, w którym jedna postać natychmiast przeistaczała się w drugą. - Co widzisz wokół siebie?

- Pagórki... ruiny.

Badałam wzrokiem to, co wydawało się konkretne i stałe.

- Jest tam droga?

- Wąska ścieżka.

- Poprowadź nas nią - i nie oglądaj się za siebie!

Posłuchałam z największą ochotą. Wzrok wbity w ścieżkę pozwalał mi poczuć się pewniej i po chwili byłam już w stanie opanować panikę, która ogarnęła mnie na widok tego, co stało się z Kosgro.

- A co ty widzisz? - zapytałam.

- To samo co przedtem. Nie użyłem jeszcze notusa.

Pewnie mówił prawdę. Gdyby widział mnie i Oomarka podwójnie czy potrójnie, sprawiłoby mu to tylko kłopot.

- Trzymasz chłopca?

- Tak. Co jest przed nami?

Nie byłam do końca pewna, do czego potrzebna mu ta informacja, lecz postarałam się jak najlepiej opisać słowami sypiące się pagórki. Jednak wszystkie były tak do siebie podobne, że znalezienie wśród nich jakiegoś, mogącego służyć za znak orientacyjny, raczej nie wchodziło w rachubę. Tylko wydeptana ścieżka sprawiała wrażenie, że ktoś korzysta z niej regularnie. Widniały na niej ślady przypominające odciski kopyt i inne, które mogły być zostawione przez obute stopy. Mówiłam Kosgro o tym, co widziałam, lecz on nie zadawał więcej pytań.

Labirynt kopców zdawał się rozciągać na wielkim obszarze. W końcu Kosgro przerwał milczenie.

- Co jest przed nami?

- Nic tylko pagórki i pagórki.

- Jednak my widzimy wyżej położone skupisko wież. Myślę, że zbliżamy się do centrum.

I rzeczywiście, jego słowa jakby przekreśliły jakiś klucz, wreszcie bowiem coś się zmieniło. Zza zakrętu ścieżki wyłoniło się wzniesienie, z którym czas obszedł się łagodniej niż z całą resztą. Jego boków nie porastała zielona darń. Kamienne bloki ścian były nagie, a nasza ścieżka wiodła ku masywnej bramie otwierającej się w murze. Gdyby w wejściu zalegała ciemność, nie sądzę, bym tak chętnie je przekroczyła. Lecz zza bramy lało się potokami światło, jaśniejsze niż wszystko, co dotychczas zdarzyło mi się widzieć na tym spowitym mgłą świecie.

Tak więc przeszliśmy przez bramę i znaleźliśmy się na dziedzińcu, z pewnością stanowiącym samo centrum tego dziwnego miejsca. Podwórzec pozbawiony był dachu. Na wewnętrznych ścianach, w równych odstępach, osadzono pierścienie ze srebrzystego metalu, na nich zaś spoczywały kule, jarzące się bladą poświatą. Blask poszczególnych kul nie był silniejszy od światła księżyca na typowej planecie, lecz razem dawały o wiele jaśniejszą iluminację.

Staliśmy na posadzce z płyt, takich jak te na drodze, po której potrafił poruszać się Kosgro. Posadzkę ułożono z różnobarwnych kamiennych bloków: srebrnych, zielonych i kryształowych. Ale w odróżnieniu od tych na drodze, nie było wśród nich czarnych ani czerwonych.

Czworobok posadzki otaczał podium, wznoszące się o dwa stopnie ponad jej płaszczyznę. Samo podium było całe z kryształu i promieniowało łagodnym blaskiem, przypominającym rzadki opar, którego smugi unosiły się z czterech rogów, jak dym z płonących tam ognisk.

Pośrodku podium mgielka gęstniała i rozplywała się, potem znowu gęstniała tworząc nieokreślone kształty, by zaraz zniknąć i skupiać się ponownie. To pulsowanie mgły przyciągało wzrok, i...

- Kilda!

Szarpięcie za ramię oderwało moje oczy od podium. W głosie Kosgro brzmiała taka gwałtowność, że natychmiast przypomniałam sobie o jego obecności. I nie potrzebowałam już innych ostrzeżeń. Znajdowaliśmy się w miejscu, gdzie nieustannie należało mieć się na baczności.

Jego okrzyk nie tylko wyrwał mnie spod wpływu na wpół utkanego czaru, lecz również wywołał zmianę w tej falującej mgle. Zgęstniała, przybierając wyraźne kształty.

- Bartare.

Zobaczyłam japo raz pierwszy od czasu, kiedy opuściliśmy dolinę dźwięczących skał. Ona również się zmieniła.

Włosy, o wiele dłuższe, okrywały ją do pasa jak płaszcz. Jej twarz zeszczipiała, co sprawiało, że oczy wydawały się większe. Stała z uniesioną do podbródka ręką i skubała palcami dolną wargę, mierząc nas wzrokiem osoby, która musi podjąć jakąś ważną decyzję. I otaczała ją onieśmielająca aura pewności siebie.

Uśmiechnęła się, jak gdyby potrafiła czytać moje myśli i zdawała sobie sprawę z mojej narastającej niepewności, bowiem nie było to już dziecko, któremu mogłabym przeciwstawić ową odrobinę autorytetu, jaką niegdyś miałam.

- A więc przybyłaś, mimo wszelkich ostrzeżeń, Kildo c'Rhyn - powiedziała. Głos miała wciąż wysoki i beztroski, jak głos dziecka, tyle że nie była już ludzkim dzieckiem. - I co zamierzasz zrobić, Kildo? Zmusić nas do powrotu do tego małego, nędznego świata, gdzie byłam nikim, niczym? Czy myślisz, że wrócę - albo Oomark, teraz, kiedy wie, co oznacza przynależność do Ludu? Czyż nie błagał o wolność? Wyrwaliśmy się ze skorup, jakie twój rodzaj nam narzucił. To ciało należało do waszego świata, tak... Przesunęła ręką od piersi aż po udo. - ..ale duch, który je zamieszkiwał, wrócił do siebie! I teraz ciało przybiera właściwą dla niego formę. Nie możemy wrócić - i nie wrócimy!

Przesunęła się ze środka podium do jego krawędzi, bliżej nas, i teraz stała spoglądając z góry i nawijając na palce długie pasemka włosów. A jednak wciąż była w niej cząstka dawnej ludzkiej istoty, cząstka, która co jakiś czas ujawniała się w Oomarku, bowiem tak samo jak kiedyś, tak i teraz Bartare czerpała radość z tego, że jest góra.

- Jesteśmy wolni! - zawołała. - I nie możesz odebrać nam tej wolności, Kildo!

Ta dziewczyna była ośrodkiem wszystkiego. Jeśli kiedykolwiek mieliśmy wrócić do normalnego, zdrowego świata, nie mogło się to odbyć bez niej.

- Jesteś wolna, Bartare? - Z uwagą dobierałam słowa. - Kto stoi za tobą, tam? - Wskazałam na słupek gęstej mgły, której smugi wciąż wiły się ku górze pośrodku podium.

Z jej twarzy zniknął drwiący uśmieszek i zbliżyła się jeszcze bardziej do krawędzi.

- Nie nazywaj mnie "Bartare"! Nie jestem Bartare. Jestem tym, kim miałam być. Nie zdobędziesz nade mną władzy, nazywając mnie tym imieniem.

- Więc kim jesteś, jeśli nie jesteś Bartare?

Zauważyłam, że zbyła milczeniem moje pytanie dotyczące tego, kto jeszcze znajduje się na podium.

Roześmiała się.

- Nie złapiesz mnie w ten sposób, Kildo. Nie poznasz i nie wymówisz mojego imienia. Zrzuciłam z siebie wszystkie więzy. Zrozum, Kildo - jestem wolna!

- Nie wierzę w to - odparłam stanowczo i zuchwale.

Wytrzeszczyła na mnie oczy, a potem, po raz pierwszy odkąd stanęła przed nami, obejrzała się za siebie, na mgłę. Kiedy znowu skupiła uwagę na mnie, roześmiała się po raz wtóry, lecz już nie z taką pewnością siebie. Być może kontakt z notusem wyostrzył mi intuicję, bowiem odgadłam, co było przyczyną jej niepokoju.

- Zapytaj jej... - wskazałam na mgłę - ...czy jesteś wolna.

Czułam, że Pani, przewodniczka Bartare, musi tu być. I moje słowa spowodowały zmianę w tej mgle. Zgęstniała jeszcze bardziej i pociemniała. W końcu przeobraziła się w postać, wyższą niż jakikolwiek człowiek, a jednak ludzką w kształcie. Była to kobieta, jak sobie uświadomiłam, i to taka, której majestat napawał lękiem i czcią. Czarne włosy spływały falami aż do stóp; nosiła je odrzucone do tyłu za ramiona, tak jak Bartare,, a jej głowę opasywała srebrna opaska wysadzana białymi kamieniami. Takie same białe kamienie zdobiły srebrny kołnierz, szeroki i głęboko

wcinający siew zieloną suknię; jego wąskie końce zbiegały pomiędzy piersiami, łącząc się z pasem na wysokości talii. Jej szata miała taką samą barwę zieleni, jak ta, która jeszcze na naszym świecie tak bardzo podobała się Bartare. Spływała wokół postaci, jak gdyby okrywała ją nie tkanina, a jakaś żywa substancja, która pieściła jej ciało. Tak jak w przypadku Bartare, czarne brwi kobiety łączyły się w jedną linię nad oczami, a zimne piękno jej regularnych, wyrazistych rysów było wręcz odpychające.

Widziałam ją tylko przez chwilę, jednak wystarczająco długo, by ten obraz wrył mi się w pamięć na wieki. Potem, tak jak się to stało z Kosgro, zamigotała i zmieniła się w coś innego, i jeszcze innego, i jeszcze... Tak szybkie były te zmiany, że opanowały mnie mdłości, jednak nie mogłam oderwać od niej wzroku.

I znowu Kosgro wyrwał mnie z sideł iluzji, bo to z pewnością była iluzja. Głośno, ostro wykrzyknął moje imię. Wzdrygnęłam się i to pozwoliło mi wyzwolić się spod władzy, jaką jej oczy narzuciły moim, i skierować wzrok z powrotem na Bartare.

- Zapytaj o to ją - rzekłam. - Niech ona powie, czy jesteś wolna.

- Nie muszę pytać. - Głos Bartare ociekał dumą. - Należę do tego samego rodzaju, co ona - to moja duchowa matka! Jestem podrzutkiem. Czy wiesz, co to oznacza, Kildo? Kiedyś twój gatunek wiedział. Należę do tych, których umieszczono wśród ludzi, by uczyli się ich zwyczajów i ściągnęli wybrańców do tego świata. Teraz Ona zezwoliła mi, bym ci pokazała, że moje miejsce jest wśród Ludu i że nie możesz wykorzystywać mnie, tak jak byś sobie tego życzyła. Uważasz mnie za dziecko, Kildo, które robi wszystko, co mu każesz. Uczestniczyłam w tej grze, dopóki musiałam, żeby dotrzeć do wrót. Ale dziecko z tego świata, dziecko należące do Ludu, nie jest kimś, komu możesz cokolwiek rozkazywać. Ponieważ ty... ponieważ ty... - Zawahała się i zająknęła. Jeszcze raz spojrzała na stojącą za nią istotę, choć ja rozważnie nie skierowałam wzroku w tamtą stronę. Cokolwiek Bartare chciała powiedzieć, zrezygnowała z tego i tylko machnęła ręką.

- Patrz, oto Lud i ci, którzy są z nim zjednoczeni. Przychodzą, by zobaczyć, jak dowodzę. Mam prawo zajmować to miejsce i dzierżyć...

Nie miałam pojęcia, skąd to wzięła, lecz nagle zobaczyłam, że trzyma w ręku miecz o wąskim ostrzu, wykonany nie z metalu, tylko z drewna, tak świeżo ściętego, że lśniło jeszcze czystą bielą. Wykorzystując miecz jako wskazówkę machnęła nim w jedną i drugą stronę, zwracając naszą uwagę na fakt, że nie jesteśmy już sami.

Pojawili się inni, którzy stali przyglądając się w milczeniu.

Doprawdy, niezwykle wyglądało to zgromadzenie. Niektórzy przypominali Oomarka; niewykluczone, że należeli do tej samej grupy, która nas śledziła. Były tam kobiety, szczupłe, o gęstych zielonych włosach, kołyszących się na ich głowach, i lśniącej brązowej skórze, przyodziane w skąpe okrycia z liści. Obok stali mężczyźni, z wyglądu jeszcze bardziej przypominający ludzi, wszyscy z czarnymi włosami i ubrani na zielono. I byli tam jeszcze inni, piękni i szpetni, wśród których trafiała się głowa czy twarz tak groteskowa, jak gdyby wyjęta z nocnego koszmaru. Wszyscy oni zgromadzili się na podium, ale na wprost Bartare stała tylko nasza trójka.

- Pozostałaś Pomiędzy, Kildo, tak jak ten pociągający nosem potwór, który przywlókł się tutaj na twój rozkaz. I Oomark.

Skierowała wzrok na brata, kulącego się teraz u mych stóp. Jedną ręką trzymał się moich spodni, lecz głowę miał opuszczoną i nie podnosił oczu.

- Tak, Oomark. Jestem mu coś winna, ponieważ pomógł mi otworzyć wrota - choć nie zrobił tego, by mi pomóc, lecz dlatego, że tak chciałam. Wydaje się jednak, że teraz wybrał ciebie, Kildo.

Moje usta wypowiedziały słowa, których jeszcze nie zdążyłam sformułować w myślach.

- Ponieważ nie zatracił wszystkiego, czym był wcześniej.

- Tak? Jeśli więc dokonał wyboru, będzie musiał się z nim pogodzić. Teraz zmuszę was troje, byście podporządkowali się naszym zamierzeniom, a potem oddamy was w daninie Zewnętrzny Ciemnościom. Zaryglujecie tamte drugie wrota, przez które wyciekło o wiele za dużo naszej krwi. Na tkwiącą we mnie moc...

- Kildo! - To był Kosgro. - Daj mi rękę! Daj, ale nie patrz na mnie. Patrz tam!

Spojrzałam na coś, co rzucił na ziemię. Były to dwa z trzech kwiatów notusa, jakie mu dałam, żółte już i zwiędłe, lecz natychmiast rzucające się w oczy.

Jego ręka zacisnęła się na mojej tak mocno, że pewnie krzyknęłabym z bólu, gdybym nie uświadomiła sobie czegoś jeszcze - poczułam w nim siłę, płynącą nie tylko z ciała, ale i z ducha. Coś we mnie odpowiedziało na tę siłę i zostało przez nią przyciągnięte. Gdyby to ode mnie zależało, mogłabym nie odrywać oczu od tych dwóch kwiatów. Oomark tulił się do mnie, obejmując mnie za nogi i chowając twarz.

- Weź do ręki to, co zostało z gałązki!

Rozkaz Kosgro sprawił, że zaczęłam po omacku dotykać resztek łodygi, liści i kwiatów. Część z nich rozpadła się teraz w suchy pył, który ścisnęłam mocno w pięści.

Niejasno zdawałam sobie sprawę, że słyszę dziecięcy głos Bartare, w monotonnym zaśpiewie skandujący dziwne słowa. Próbowałam zatkać uszy, przekonana, że słuchanie tego pomaga utkać iluzję.

Patrzyłam nadal na zmięte kwiaty, czując jak spięty Kosgro ścisną mi boleśnie rękę z wysiłkiem, pochłaniającym całą energię.

Kwiaty zamigotały, tak samo jak najpierw Kosgro, a potem kobieta, która nie była kobietą. I nagle na miejscu zwiędłych płatków ujrzałam lasery, podobne do tych, jakie wiele razy widziałam na moim ojczystym świecie.

Kosgro puścił moją rękę. Przyglądałam się, jak się pochyla i podnosi tę broń z innego wymiaru. Jeden laser ścisnął w rękę, a drugi, kolbą naprzód, wyciągnął do mnie. Chwyciłam go, choć nigdy przedtem nie miałam w ręku takiego uzbrojenia.

- Powstrzymaj ją!

Zrozumiałam, że każe mi strzelić do Bartare. Ale ja miałam inny pomysł. Wysunęłam się przed Kosgro i stanęłam u podnóża podium. Cisnęłam spopielałe resztki martwych kwiatów prosto w twarz dziewczyny. Część z nich osiągnęła cel. Reszta opadła, tworząc chmurę cząsteczek; wydawało się, że jest ich o wiele więcej niż ta odrobina, którą rzuciłam.

Bartare krzyknęła okropnie. Miecz-różdzka wypadł jej z ręki, uderzył o krawędź podium i złamał się na pół. Dziewczyna zachwiała się, orząc palcami twarz. Potem zrobiła jeden czy dwa chwiejne kroki w moją stronę i przechyliła się nad krawędzią podium, jedną ręką osłaniając oczy, jak gdyby próbowała znaleźć po omacku swój złamany miecz. Pochyliła się jeszcze bardziej i spadła niemal prosto w moje ramiona, a ja chwyciłam ją mocno.

W głębi podium ów słup mgły zawirował dziko; zrobiłam wszystko, żeby oderwać od niego wzrok. Trzymając w ramionach zwisające bezwładnie ciało dziewczynki, i wiedząc, że jest to brzemię, którego nie zdołam utrzymać zbyt długo, cofnęłam się. Nawet przez chwilę nie próbowała się wyrwać. Byłam za to wdzięczna losowi. Gdyby walczyła, nie udałooby mi się jej podporządkować.

- Do tyłu!

To był Kosgro. Nie zmieniał się już; widziałam przed sobą tę samą postać, co zawsze: owłosionego humanoida. W rękę trzymał gotowy do strzału laser. Wsunął się pomiędzy mnie i tamtych.

Zgromadzeni przyglądali się nam w absolutnej ciszy. Żaden z nich nie ruszył w naszą stronę. Nie mogłam uwierzyć, że los dalej będzie nam tak sprzyjał.

Zamierzali pozwolić nam tak po prostu odejść z Bartare?

Oomark wciąż kulił się na ziemi w miejscu, gdzie go zostawiłam, kiedy oderwałam się od niego, by zaatakować Bartare. Teraz zaczął pełznąć na czworakach, jakby brakowało mu sił, żeby powstać. Pragnęłam mu pomóc, lecz nie mogłam zająć się dwojgiem dzieci naraz.

W powietrzu rozległo się trzepotanie. Z wirującej masy na podium wyleciała w naszą stronę długa, zielona macka. Zobaczyłam jak przecina ją jasny promień lasera. Odcięty kawałek spadł na posadzkę. Lecz zamiast znieruchomieć, zaczął pełznąć ku nam, wijąc się po podłożu jak jakaś niebezpieczna, węzowata istota.

Kosgro strzelił jeszcze raz i przeciął ją na pół. Teraz oba kawałki poruszały się gadzimi ruchami. Za to zgromadzeni na podium w dalszym ciągu stali jak wyciosani z kamienia. Wyglądało to tak, jak gdyby cokolwiek, co znajdowało się, pomiędzy nami a istotą na podium, wcale ich nie dotyczyło. Byłam im wdzięczna za tę dziwną neutralność, lecz wiedziałam, że nie możemy się na tym opierać.

Weszliśmy pod łuk bramy w murze. I wydawało się, że - pomijając te pełzające zielone wstążki - zdołamy wycofać się bez przeszkód, chyba że na zewnątrz czyhało jakieś niebezpieczeństwo...

Lecz za bramą zobaczyłam tylko kopce... Kopce? Nie! Z rozplywających się pagórków wyłaniały się błyszczące, kryształowe wieżycy. Działanie notusa, który chronił przed iluzją mój wzrok, ustępowało. Krzyknęłam.

- Co się stało? - zapytał natychmiast Kosgro.

- Znowu widzę wieże. Notus...

- Dobrze, że to trwało tak długo, ale zdaje się, że teraz szczęście nas opuściło.

Wiedziałam, co chciał przez to powiedzieć. Skoro mój wzrok znowu mamliła iluzja, mogłam nie odnaleźć powrotnej drogi. Ale jeśli ja nie mogłam, czy dotyczyło to również Oomarka? Znowu przyszedł do mnie i trzymał się mnie mocno jak przerażone ludzkie dziecko, choć z wyglądu wciąż przypominał owłosionego stwora, w jakiego się zmienił. Bezwładne ciało nieprzytomnej Bartare ciążyło mi w ramionach.

- Nie zdołam ponieść jej dłużej...

- Wiem. Daj mi ją.

Kosgro wziął dziewczynkę z moich obolałych ramion i przerzucił ją sobie przez masywny bark, przytrzymując lewą ręką. W prawej wciąż trzymał laser.

Ujęłam Oomarka i podniosłam go do pozycji stojącej. Nie stawał żadnego



oporu. Pozostawiwszy pilnowanie tyłów Jorthowi, odwróciłam chłopca tak, by miał przed oczami drogę, biegnącą z pozoru prosto pomiędzy szeregami wież.

- Oomark, musisz nas poprowadzić!

Spojrzałam na rękę, w której przedtem trzymałam spopieliałe resztki notusa. Ich cienka warstewka wciąż przylegała do dłoni. Niewykluczone, że mogło mi to pomóc, rozsmarowałam ją więc po powiekach.

I oto znalazłam się w obliczu migoczącego świata - najpierw jeden obraz, potem drugi. Wymagało całej siły mojej woli, żeby nie zamknąć oczu i nie odgrodzić się od tego wywołującego mdłości kalejdoskopu zmieniających się form. Trzymając Oomarka za ramię skierowałam go w stronę drogi, którą widziałam jedynie we fragmentach. Zaczął iść, patrząc prosto przed siebie, jak gdyby poruszała go wyłącznie moja wola, a nie jego własna.

Widziałam dość, bym mogła użyć lasera. Zielona macka podpełzła, żeby oplatać nam stopy, a druga wysunęła się zza pagórka. Gdy do nich strzeliłam, promień lasera nie zniszczył ani jednej, ani drugiej; wijąc się, pełzły dalej za nami.

- Czy tamci idą naszym śladem? - zawołałam do Kosgro.

- Nie.

Drobną cząstką umysłu zastanawiałam się nad tym. Lecz przede wszystkim koncentrowałam się na drodze.

Kluczyliśmy, zawracając i posuwając się naprzód. Wokół nas wieże stawały się pagórkami, a pagórki wieżami. Ale po jakimś czasie wieże zaczęły sprawiać wrażenie trwalszych i solidniejszych, i domyśliłam się, że działanie pyłu ustępuje. Oomark wciąż jednak szedł, nawet wówczas, kiedy ja widziałam już tylko iluzje, to on stał się więc naszą jedyną nadzieją na ucieczkę. Nie odezwał się od czasu, kiedy przeszliśmy przez niewidoczną barierę, podążając w tamtą stronę, i teraz poruszał się jak w transie.

Nie wiedziałam, czy wracaliśmy tą samą drogą, którą przyszliśmy. Pragnienie, by wydostać się stąd, było tak wielkie, że biegłabym, gdybym mogła. Lecz Oomark nie dawał ponaglić się do szybszego kroku, a i Kosgro nie wytrzymałby takiego tempa, niosąc Bartare.

Potem, w pewnej chwili, laser zniknął z mojej ręki. Usłyszałam okrzyk Kosgro i domyśliłam się, że on również stracił swój. Jak inne dary notusa, tak i broń została nam dana tylko na pewien czas. Ale przynajmniej na początku umożliwiła nam ucieczkę. Teraz oglądałam się z lękiem na wszystkie strony, czy nie ujrzę gdzieś

czających się w zasadzce zielonych macek.

Droga zdawała się wlec bez końca. Drżałam ze strachu. Jednak to uczucie pobudzało mnie do marszu. A i Oomark kroczył tak zdecydowanie, że nabrałam przekonania, iż wyprowadzi nas stąd. I tak też się stało - wreszcie znaleźliśmy się na otwartym terenie.

Opadłam na kolana i przyciągnęłam chłopca do siebie, tuląc go z wdzięcznością. Potem spojrzałam na Kosgro.

- Udało się nam! Jesteśmy bezpieczni!

## Rozdział trzynasty

Forth potrzęsnał kudłatą głową.

- Wcale nie. Prawdę mówiąc, znaleźliśmy się w jeszcze większym niebezpieczeństwie.

Powiedział to takim tonem, że aż zdrętwiałam, jak gdyby nagle smagnął mnie lodowaty wiatr.

- Ale przecież wydostaliśmy się z tego miasta! - zaprotestowałam. Poprawił przewieszone przez bark bezwładne ciało Bartare.

- Już nie pamiętasz, jak powiedziała, że zamierzają złożyć nas jako daninę Zewnętrznym Ciemnościom?

- Jak to należy rozumieć?

- Jeśli tak, jak przypuszczam, to zagrożenie jest poważne. Lud nie ma tutaj dominującej pozycji, choć chełpią się, że tak właśnie jest. Dwie siły toczą wojnę na tym świecie, a Pomrocze pobierają daninę. Słyszałem jak szeptano, że nawet Wielcy Ludu muszą płacić za to, by utrzymać się przy władzy. I myślę, że to właśnie nas chcą oddać w charakterze zapłaty.

- Jeśli... jeśli nie zdołamy wrócić...

- Tak, naszą jedyną nadzieją jest ucieczka do własnego świata. A tych dwoje dzieci otworzyło kiedyś wrota. Mamy zatem nikłą szansę, że zdołamy dowiedzieć się od nich, w jaki sposób wrócić. Ale nie możemy zatrzymywać się tutaj.

- Dokąd więc idziemy?

- Tam, gdzie nie ma ani światła, ani ciemności - do tak zwanej przez tutejszych mieszkańców naturalnej ziemi.

- To coś takiego istnieje?

Pomyślałam, że sytuacja staje się coraz bardziej beznadziejna.

- Są takie miejsca. Można je rozpoznać po rosnącym tam notusie. Obie siły unikają tych miejsc.

- Gdzie one się znajdują?

- W tym problem. Nie jestem pewien. Ale pozostawanie w ruchu działa na naszą korzyść. Jeśli zatrzymamy się w jakimś miejscu na dłużej, możemy stać się ofiarą albo światła, albo ciemności.

Czułam, że jeszcze trochę, a zacznę krzyczeć ze złości. Rozbił w pył wszystkie

moje nadzieje, nie dając w zamian prawie nic. Tylko szaleniec mógł wpaść na pomysł, żeby błąkać się po omacku w tej nawiedzanej krainie, pomyślałam.

Odniosłam wrażenie, że potrafi czytać w moich myślach, bowiem powiedział:

- Mówię ci prawdę, ponieważ ukrywanie najgorszego jest jak rozpościeranie jeszcze jednej sieci, w którą możemy wpaść. Będą na nas polować tak, jak pewnie na nikogo przedtem, i możemy polegać wyłącznie na sobie. Lecz im prędzej odejdziemy stąd, tym lepiej.

Nawet się nie obejrzał, żeby zobaczyć, czy pójdę za nim. Przerzucił sobie Bartare przez ramię i ruszył w mgłę. Widząc, że nie ma innego sposobu, wzięłam Oomarka za rękę i powlokłam się jego śladem. Na szczęście chłopiec nie wrywał mi się ani nie wzbraniał przed marszem, choć wciąż poruszał się jak we śnie.

Przekroczyliśmy łąkę szmaragdowego piasku, a potem weszliśmy na grunt pokryty darnią. Bez chwili przerwy otaczała nas mgła i nie rozumiałam, skąd Kosgro bierze pewność, że nie zatoczmy koła i nie wrócimy tam, skąd uciekliśmy. Jorth nie spieszył się i nie biegł, tylko szedł krokiem, któremu Oomark i ja bez trudu mogliśmy dorównać. Teraz, kiedy bezpośrednie zagrożenie minęło, poczułam głód i uświadomiłam sobie, że nie zajdziemy daleko bez odpoczynku i posiłku.

Równy dywan darni tu i ówdzie zaczęły urozmaicać krzaki. W pewnej chwili Oomark wyrwał mi się i podbiegł do jednego z nich, obwieszzonego złotymi jagodami. Kiedy chciałam pobiec za nim, Kosgro powstrzymał mnie.

- Pozwól mu. I tak będzie je jadł, bez względu na to, czy będziesz starała się go przed tym powstrzymać, czy nie. Musimy oszczędzać jedzenie z tamtego świata dla nas.

Zabrzmiało to tak bezlitośnie, że odwróciłam się ku niemu zaskoczona i rozgniewana. Bez wątpienia odczytał z mojej twarzy, co mnie dręczyło.

- Tak właśnie jest. Dzieci nie będą jadły twoich zapasów. Zmuszanie ich do tego to marnotrawstwo, ponieważ ich ciała odrzucą taką żywność. Potrzebujemy siły, którą da nam to jedzenie. Jeśli poddamy się i zaczniemy jeść tutejszą żywność, przestaniemy być tym, czym zawsze byliśmy. Czy tego właśnie chcesz, Kildo?

Możliwe, że jego logika była nie do obalenia. Lecz ja buntowałam się przeciwko temu, być może tak samo gwałtownie, jak Oomark buntowałby się przeciwko naszemu jedzeniu. Kosgro ułożył Bartare na trawie i przykucnął obok niej na piętach. Wahałam się. Chciałam podejść do Oomarka, który pospiesznie obrywał jagody z gałęzi i wpychał je do ust, obryzgując się sokiem.

Kiedy jednak przyjrzałam się jedzącemu chłopcu, zrozumiałam, że Kosgro znowu miał rację. Nie byłabym w stanie podporządkować sobie Oomarka bez reszty. A Jorth manifestacyjnie nie udzieliłby mi pomocy. Usiadłam więc i popatrzyłam na leżącą bez ruchu Bartare, po raz pierwszy zastanawiając się nad jej stanem.

Pod ręką wyczułam bijące równo serce. Pozornie wydawało się, że leży pogrążona w spokojnym śnie.

- Bartare!

Dotknęłam ręką jej ramienia. Palce Kosgro zacisnęły się na nadgarstku mojej ręki i odsunęły ją.

- Lepiej zostaw ją. Jeśli się obudzi, może nie będzie chciała iść z nami, a my nie możemy z nią walczyć...

- Ale... co się z nią dzieje?

- Jest w stanie szoku wywołanego kontaktem z notusem. Zdarzyło mi się już widzieć coś takiego. To nie trwa długo. Ale w tej krainie wszyscy ludzie i inne istoty boją się utraty przytomności, wtedy bowiem bez trudu mogą podkraść się do nich ich wrogowie.

Przyjęłam jego wyjaśnienie, choć w głębi ducha irytowało mnie, że tak bardzo poległam na tym obcym. A jednak znowu rozumował logicznie: jeśli Bartare była wobec nas nastawiona wrogo (a mieliśmy wszelkie powody, by przypuszczać, że po przebudzeniu również to się nie zmieni), rzeczywiście mogłaby opóźnić naszą wędrówkę.

- Potrzebujemy jedzenia. - Kosgro wdarł się bezceremonialnie w moje myśli.

Ponownie zastanowiłam się nad jego postępowaniem. Już dawno temu mógł wyrwać mi te resztki, zabrać je i zostawić mnie tu na pastwę losu. Lecz nie zrobił tego i zamiast wydierać siłą, prosił o nie. Samo to przekonało mnie, że mogę na nim polegać.

Otworzyłam zawiniątko i zbadalam wzrokiem smętne pozostałości naszych zapasów. Czy mamy podzielić się waflem? A może tabliczką czekolady?

Ale Kosgro ciągnął dalej:

- Musimy zjeść więcej niż poprzednim razem...

- Nie! - Obiema rękami zasłoniłam zapasy. - Mamy tak mało, że powinniśmy bardzo oszczędzać!

- To prawda. Ale nie wytrwamy długo bez siły, którą nam da jedzenie. A teraz potrzebujemy wszystkich naszych sił.

Wciąż nie chciałam się na to zgodzić. I z zazdrością obserwowałam Oomarka. Myśl, że całym tym rosnącym wokół jedzeniem nie można nakarmić głodującego ciała, bolała podwójnie. Ile czasu minie, nim zostaniemy zmuszeni do zjedzenia tego, co tutaj rośnie, pomyślałam.

- Musimy mieć siły, żeby iść dalej - powtórzył Kosgro.

Ręce trzęsły mi się odrobinę, kiedy odwijałam dwa wafle z opakowania i potem, kiedy podawałam mu jeden z nich. Zjadł go tak samo jak ja, żując każdy kęs tak długo, jak to było możliwe. I żeby nie kusiło nas więcej, natychmiast spakowałam zawiniątko i wsunęłam je za pas.

Oomark wrócił, wycierając lepkie ręce o boki i zlizując sok z podbródka. Spojrzał najpierw na Bartare, potem na mnie, a ja dostrzegłam w jego oczach czujność i błysk dawnej chytryści.

- Pani chce jej. Przyjdzie po nią - zauważył.

Powiedział to z takim przekonaniem, że aż odwróciłam się, spodziewając się ujrzeć nadciągające kłopoty.

- Będzie, co ma być. - Kosgro wstał i pochylił się, żeby podnieść Bartare. - Lepiej ruszajmy...

- Dokąd? - zapytał Oomark. - Przy następnym napływie mgły będziemy już tylko mięsem dla myśliwych.

Kosgro spojrzał na chłopca tak uważnie, jakby chciał wydobyć z niego odpowiedź na jakieś nie zadane pytanie. A potem powiedział, zwracając się do Oomarka jak do równego sobie:

- Gdzie schroniłbyś się przed łowcami?

Odniosłam wrażenie, że zaskoczył tym chłopca. Lecz teraz w drobnej twarzy Oomarka znowu było widać więcej cech ludzkich.

- Jest tylko jedno miejsce... jeśli zdołamy je odnaleźć.

Kosgro skinął głową. Wiedzieli coś, czego ja nie wiedziałam. Nie chciałam, żeby tak było.

- Jeśli wiesz... jeśli wiecie... zatem gdzie to jest?

- Tam, gdzie rośnie notus - odparł Oomark, nie spuszczać oczu z Kosgro.

- Myślałam... - Przypomniałam sobie, jak uciekł ode mnie, kiedy podniosłam gałązkę notusa, jakby stanowiła dla niego wówczas śmiertelne zagrożenie.

- Tam można się schronić przed Pomrociami, przed Panią.

Widziałam jak drży.

- To miejsce jest bezpieczne - potwierdził Kosgro w sposób, który wywołał we mnie wrażenie, że składa mi jakąś obietnicę. Ponieważ nie chcieli podzielić się ze mną tym, co wiedzieli, zirytowałam się jeszcze bardziej i zapytałam głośno, jakby chcąc ich poróżnić:

- Gdzie to jest? Blisko?

- Poszukamy - odparł Kosgro. -1 miejmy nadzieję, że będzie nam sprzyjała resztką szczęścia, jaka pozostała nam jeszcze na tym świecie. Możemy odnaleźć je po zapachu...

Odwrócił się, ruszając w drogę. Wyciągnęłam rękę do Oomarka, byśmy mogli iść tak jak przedtem. Ale on umknął mi i wysunął się przed Jortha. Ponieważ wydawało im się, że węch może zapewnić nam bezpieczeństwo, ja również zaczęłam wciągać powietrze głęboko w płuca, szukając tego zapachu.

Choć posuwaliśmy się równomiernym krokiem przed siebie, moje zmysły nie wyczuwały nic, co mogłoby nam pomóc. Ogarniało mnie coraz większe zniecierpliwienie i rozgoryczenie. Nabrałam przekonania, że był to głupi pomysł, zbytnio uzależniający od przypadku, a jednak nie mogłam zaproponować nic w zamian.

Darń pokrywała tu ziemię tylko skrawkami, a gdzieniegdzie ponad zieleń trawy wystawały fragmenty skał. Skaty byty szare, a mgła osiadła na nich strumyczkami wilgoci, na którą spoglądałam tęsknie, przesuwając językiem po suchych wargach i wspominając coraz natrętniej wspaniały smak wody w ustach.

Potem z otaczającej nas zasłony mgły wyłoniła się skała inna niż pozostałe, ponieważ w jakiejś odległej przeszłości ukształtowały ją rozumne istoty. Natura nie mogła nadać jej takiego kształtu. Był to czworoboczny słup. A na zwróconym ku nam boku, wcięte tak głęboko, że nawet erozja nie zdołała zatrzeć wszystkich wgłębień i linii, widniały litery. Nie należały jednak do żadnego ze znanych mi alfabetów i nawet w zbiorze martwych języków galaktyki Lazka Volka nigdy takich nie widziałam. Na lewym boku kolumny, częściowo zwróconym w naszą stronę, dostrzegłam płaskorzeźbę przedstawiającą jakąś postać. Z twarzy, jeśli kiedykolwiek taką miała, czas stał rysy. Pozostał tylko zarys krągłej głowy i humanoidalnego ciała, choć to ciało okrywały jak płaszczem skrzydła.

Wyrzeźbiona postać pochylała się do przodu, jak gdyby wpatrywała się we własne stopy albo w podstawę kolumny. Rosła tam bujnie wysoka, ciemnozielona trawa, taka sama jak ta, która wyznaczała kręgi bezpieczeństwa.

Kosgro przystanął. Wyciągnął jedną rękę wskazując trawę.

- Oto przewodnik, jeśli zechce nim być.

- Przewodnik... ale jak... - Nie dokończyłam, bo mi przerwał.

- Zerwij sporą garść tej trawy, Kildo.

Choć nie rozumiałam, dlaczego mam to zrobić, podeszłam do podstawy kolumny, chwyciłam pęk trawy i szarpnęłam najmocniej jak potrafiłam, żeby wyrwać ją z ziemi. Ale trawa została tam, gdzie była. Na dodatek odporne źdźbła przecięły mi skórę, tak że puściłam je z okrzykiem zaskoczenia.

- Nie tak! - zawołał Oomark, podbiegając. - Nie bierz, tylko proś. Jeśli zyskasz jej przychylność, pozwoli się wyrwać.

Stał tuż przy mnie i spojrzał na pozbawioną rysów głowę rzeźby.

- Daj mi rękę.

Nie czekał, żebym ją wyciągnęła - sam ją chwycił. I zanim zdążyłam zaprotestować, potarł otwartą dłoń, na której zebrała się krew wyciekająca z ran, kamienną pierś rzeźby.

- Zapłacono krwią! - zawołał. - Zapłacono krwią! Odwdzięcz się teraz, jak stara umowa nakazuje. Daj to, o co prosimy!

Jego zachowanie zrobiło na mnie takie wrażenie, iż niemal spodziewałam się zobaczyć, jak wyrzeźbiona istota otwiera usta, by wyrazić zgodę lub odmówić. Lecz nic takiego się nie stało. A Oomark, puściwszy moją rękę, pozwolił, by zsunęła się po skale, pozostawiając za sobą ciemne smugi.

- Teraz spróbuj - zwrócił się do mnie.

Ale ja zajęta byłam ranami na ręce.

- Mam skaleczoną dłoń, zrób to sam.

- Nie mogę. To ty zapłaciłaś tę cenę, nie ja. Jeśli targ został dobity, to wyłącznie z tobą.

Nic więcej nie wyjaśnił, tylko odsunął się, tak bym mogła zrobić to sama. Jeszcze raz chwyciłam trawę, tym razem drugą ręką.

- Nie! - powstrzymał mnie jeszcze raz Oomark. - Zrób to prawą ręką, bo inaczej nie zostaną spełnione warunki targu.

Skrzywiłam się, zaciskając palce na wiehciu trawy. Tym razem nie szarpnęłam, tak jak przedtem, lecz starałam się ciągnąć wolniej. Po chwili napięcia trawa ustąpiła. Korzenie wcale nie były cienkie i nitkowate; zobaczyłam, że pęk trawy, który wyrwałam, wyrasta z pojedynczego, sękatego i grubego korzenia. W



chwili gdy wyrwałam go z ziemi, usłyszałam przenikliwy pisk protestu. Przykucnęłam na piętach, czekając aż Kosgro wyjaśni mi, co zamierza zrobić z tym skarbem.

- Ta trawa ma pewną moc. Jeśli w pobliżu rośnie notus, wskaże nam drogę do niego. Nie trzymaj jej w zaciśniętej pięści; byle tylko nie wypadła ci z ręki. Gdy ruszymy, wskaże nam drogę.

Ponieważ wszystko to stanowiło fragment obcego, nie znanego mi świata, nie sprzeciwiałam się. Wstałam i gdy ruszyliśmy w drogę trzymałam pęk trawy zgodnie z poleceniem, a jej sztywny, powyginany korzeń niemal dotykał mojego ciała.

- Wkrótce mgła zacznie wzbierać.

Oomark wcisnął się pomiędzy nas, jakby szukając opieki. I miał rację. Szybko zbliżał się jeden z tych momentów, kiedy mgła nadchodziła i gęstniała tak bardzo, że łatwo można było się w niej zgubić.

Nagle pęk trawy i korzeń w mojej ręce obrócił się w prawo. I choć starałam się ustawić je w poprzedniej pozycji, uparcie wychylał się w tamtą stronę.

Poinformowałam o tym moich towarzyszy i usłyszałam jak Kosgro odetchnął z ulgą.

- Mgła wzbiera... - Oomark pociągnął za jeden ze strzępów munduru, które wciąż opinały ciało Kosgro. - Nie możemy iść dalej.

- Myślę, że nie mamy wyboru - odpowiedział Jorth.

Zobaczyłam, że przygarbił się jeszcze bardziej pod ciężarem ciała Bartare, i że przyciska rękę do bandaża opasującego mu pierś, jak gdyby rana znowu zaczęła mu dokuczać.

- Notus może być daleko... - zaprotestował Oomark.

- Zatrzymaj się - polecił mi Kosgro. Dotknął korzenia, ściskając go palcami, a potem cofnął gwałtownie rękę i wytarł ją o udo.

- Nie sądzę. Ale i tak musimy zaryzykować. Tutaj nie ma żadnego schronienia.

Dotarliśmy do miejsca usłanego skałami, które wcale mi się nie podobało. Łatwo byłoby tutaj urządzić zasadzkę; moja wyobraźnia podsuwała mi obraz nieprzyjaciół czyhających za każdą z mijanych skał. Oomark pewnie ukryłby się tutaj, ale dla mnie to miejsce nie wyglądało na bezpieczną kryjówkę.

Korzeń poruszał się i zmieniał położenie w mojej ręce, gdy obchodziliśmy głazy. Z konieczności posuwaliśmy się wolno, bowiem podłoże, nierówne i usłane małymi, krągłymi kamieniami, sprzyjało potknięciom.

Bandaż na moich stopach ledwie się już trzymał i wiedziałam, że jeśli szybko nie zdołam zastąpić ich nowymi, będę musiała iść bosą. Myśl ta przerażała

mnie, więc chwilami, nie zważając na następstwa, przyspieszałam, reagując dopiero na rzucane półgłosem ostrzeżenia Kosgro.

Mgła wezbrała już niemal zupełnie, co jeszcze bardziej spowolniało tempo naszego marszu. Tym razem nie słyszeliśmy dźwięków myśliwskiego rogu. Obecność czającego się gdzieś niebezpieczeństwa zdradziła najpierw fala cierpkiego odoru, na tyle silnego, by przyprawić mnie o mdłości.

Kosgro wciągnął głęboko w nozdrza cuchnące wyziewy. Przystanął, tak samo jak i ja, wykorzystując obie ręce, by poprawić żywe brzemie, które dźwigał na barku. Zobaczyłam twarz Bartare, jej zamknięte oczy i pierś unoszącą się w wolnym, równym oddechu.

Na nieszczęście korzeń wskazywał dokładnie kierunek, z którego dochodził obrzydliwy zapach. Oparłam się o skałę i spojrzałam na Jortha. Czy wiedział, co nas tam czeka? Czy jest to coś, czemu ośmielimy się stawić czoło? - zadałam sobie w duchu pytanie.

Wyglądało to tak, jakby badał nasze szansę. Dwukrotnie wciągnął głęboko powietrze w nozdrza. Oomark skulił się pomiędzy nami, ponownie szukając opieki, jaką mogliśmy zapewnić jego drobnemu ciału.

W końcu Kosgro wzruszył ramionami.

- Nie mamy wyboru. Prędzej czy później i tak wyczuje nas, tak jak my wyczuwamy jego. A wtedy nie będziemy mieli już żadnych szans na ucieczkę.

- Co to jest?

- Myślę, że jeden z robakostworów. Ale to nie jest pewne wszystkie Pomrocze cuchną podobnie. Wykorzystuje to Lud dla własnego bezpieczeństwa, ponieważ tamci często zdają się zapominać, że swoim zapachem zdradzają się przed tymi, na których polują. Na tym...

Nie chciałam iść, chciałam zostać tam, gdzie byłam, ponieważ kamień, który czułam pod ręką, wydawał mi się teraz dobrym schronieniem. Ale tak jak zawsze musiałam uznać, że Kosgro wie lepiej, i na tym polegać.

Z wskazującym kierunek korzeniem w rękę precyzyjnie przycisnęłam się pomiędzy skałami. Wstrętny zapach przybierał na sile. Choć wyęczałam słuch jak tylko mogłam, nie słyszałam jednak, by coś się poruszało. Wyciągnęłam rękę do obciążonej kamieniami torby, którą wciąż miałam przy sobie, zawieszoną u pasa. Czy zdążę jej użyć, gdybym nagle stanęła oko w oko z jakimś potworem? Odwiązałam ją i trzymałam w rękę, gotowa do zadania ciosu.

Ohydny smród rozkładu torturował moje nozdrza. Chciało mi się kaszleć, ale nie śmiałam tego zrobić. Oomark obie ręce przycisnął do nosa i oddychał ustami.

Mgła zawirowała. Teraz nie ulegało już wątpliwości, że coś się tam porusza. Poczułam zaciskające się na moim ramieniu palce i zaraz potem zderzyłam się boleśnie z wysoką skałą, na którą zostałam popchnięta. Kosgro wcisnął mi w ręce Bartare i wyrwał torbę z kamieniami. Wysunął się przed nas kołysząc torbę, jak gdyby sprawdzał wagę i zasięg tej nędznej broni. Oomark przysunął się do mnie.

Mgła poruszała się wokół ciemnego rdzenia. Była tak gęsta, że gdybyśmy czekali, by zobaczyć, co tam pełźnie, to coś mogłoby znaleźć się o wiele za blisko. Nie potrzebowałam żadnych ostrzeżeń ze strony moich towarzyszy, żeby znieruchomieć jak kamień. Chciałam stłumić bicie serca, najcichszy szmer oddechu. Wydawało mi się, że oba te dźwięki są sygnałami przyciągającymi do nas tę istotę.

Ciemniejsza plama we mgle zrobiła się wyraźniejsza. Zbliżyła się do skraju oparu. Potem kurtynę mgły przebił wąski, czarny klin, wycelowany w Kosgro. Przez sekundę lub dwie myślałam, że jest to grot włóczni.

Jednak to coś znalazło się już zbyt blisko, żeby się mylić. Stwór miał budowę pierścieniową i pomiędzy tymi pierścieniami jakby z chrząstki kurczył się i rozciągał. Nie była to żadna broń, tylko fragment żywej istoty, choć nie mogłam wypatrzeć oczu, pyska, nosa nie widziałam nic, z wyjątkiem czarnego ciała.

Klinowaty łeb kołysał się przez chwilę w powietrzu, a potem wystrzelił w stronę Kosgro. Jorth zamachnął się i walnął torbą w bok stożkowej głowy z taką siłą, że odskoczyła w lewo, roztrzaskując się jak pod uderzeniem młota na sterczącej tam skale.

Nie usłyszałam żadnego odgłosu, tylko zobaczyłam, jak ze zmiażdżonej głowy bluzga gęsta, lepka ciecz. Potem, w dzikich podrygach, zważyło się na nas całe okropne cielsko, wijąc się i smagając jak biczem. Kosgro uderzał raz za razem, choć żaden cios nie był tak skuteczny jak pierwszy. Dwukrotnie zwoje robakowatego ciała oplotły go z miażdżącą siłą. Jednak za każdym razem udało mu się wyrwać z uścisków, bowiem stwór z rozbitą głową miotał się bezładnie.

W niczym nie mogłam pomóc Jorthowi, zawładnął mną strach. Długość ciała stwora była chyba trzykrotnie większa od wysokości Kosgro, zaś ciosy zdawały się odbijać od niego, nie wyrządzając mu żadnej szkody.

Kosgro uderzał przede wszystkim w głowę potwora. Raz czy dwa pomyślałam, że już po nim, kiedy robał oplatał mu nogi i omal nie zwałił na ziemię.

Widziałam też, że mój towarzysz jest zmęczony. Jeśli pierwszy szczęśliwy cios był tym śmiertelnym, to stwór niełatwo rozstawał się z życiem.

Jeszcze dwa razy widziałam, jak Kosgro daje się opleść zwojom robakowatego ciała, skupiony wyłącznie na zadawaniu ciosów w zmiażdżoną głowę. Potem łeb opadł na ziemię, gdzie znieruchomiał, choć reszta cielska wiła się i skręcała. Kosgro odwrócił się, szukając mnie wzrokiem. W jego twarzy było coś, co sprawiło, że oparłam Bartare o głaz i rozejrzałam się rozpaczliwie w poszukiwaniu jakiejś broni.

Tylko kamienie! Wepchnęłam korzeń, który wskazywał nam drogę, za pazuchę i chwyciłam kamień, tak ciężki, że dźwignąwszy oburącz zdołałam unieść go tylko do wysokości kolan. Udało mi się jakoś donieść głaz na miejsce, gdzie spuściłam go na splątane ciało robaka. Kamień trafił w cel, choć nie miałam czasu, by dokładnie wymierzyć. Szczęśliwym trafem ugodziłam w jakieś czułe miejsce, bowiem przez sploty, w których tkwił Kosgro, przebiegło konwulsyjne drżenie i rozluźniły się, tak że mój towarzysz zdołał wyswobodzić się i przeskoczyć w bezpieczne miejsce, zanim zacisnęły się znowu.

Kosgro poderwał się na nogi i odepchnął mnie do tyłu w samą porę, bowiem konwulsje targające ciałem robaka gwałtownie przybrały na sile. Uderzając tylną częścią ciała smagał jak biczem ziemię i skały. Przez głuchy łomot tych uderzeń usłyszałam, jak Kosgro dyszy:

- Musimy... wspiąć się... wyżej...

Poprowadził mnie z powrotem do dzieci. Potem, zbryzgany krwią robaka, cuchnący jego okropnym smrodem, pochylił się i podniósł dziewczynkę.

- Do góry!

Jego oczy załśniły, jak gdyby samą siłą tego okrzyku mógł unieść nas wszystkich.

Pomogłam Oomarkowi, który wdrapywał się już na głaz, próbując znaleźć jakieś oparcie dla stóp - lub kopytek - pomocne we wspinaczce. Podtrzymywałam go, dopóki nie wdrapał się na szczyt głazu. Po chwili, ledwie zdając sobie sprawę z tego, jak to zrobiłam, znalazłam się obok niego.

Zobaczyłam szereg występów skalnych przypominających drabinę. Oomark wspinał się już na pierwszy z nich. Odwróciłam się, by podciągnąć Bartare, którą Kosgro podtrzymywał z dołu. Potem on również dołączył do mnie.

Wspomnienie dalszych etapów tej obłądnej wspinaczki zamazuje się w mojej pamięci. To, że nam się udało, było takim samym niesłychanym szczęściem, jak ów

pierwszy cios, zadany przez Jortha w walce z robakiem. Niestety, ta walka wiele go kosztowała. Próbował, z moją pomocą, zarzucić sobie Bartare na ramię, i nie zdołał. Tak więc musieliśmy nieść ją wspólnie, dopóki nie znaleźliśmy się w miejscu położonym o wiele wyżej od tego, gdzie spotkaliśmy robaka.

Z dołu, tam gdzie zalegała teraz mgła, wciąż dochodziły do nas odgłosy uderzeń o skały i ziemię. Wydawało się, że robakowi daleko jeszcze do śmierci. Słuchając tego, w przerwach między spazmatycznymi oddechami, Kosgro powiedział:

- Musimy... iść... dalej... To... przyciągnie... łowców...

Ruszyliśmy więc w drogę, zsuwając się i podciągając nawzajem, oraz taszcząc Bartare, która wciąż spała tak, jakby leżała we własnym łóżku. Tak mnie to rozdrażniło, że zapragnęłam wymierzyć jej policzek i obudzić; z trudem udało mi się nad tym zapanować.

W końcu Kosgro opadł zupełnie z sił. Ułożył się, na wpół siedząc, na wpół leżąc, na występie skalnym wystarczająco szerokim, by pomieścić nas wszystkich. Widoczność była ograniczona, zarówno w górę, jak i w dół, czy nawet wzdłuż półki. Kosgro wypoczywał, oddychając ciężko. Ja, w nieco lepszym stanie, przysiadłam obok niego. Oomark skulił się nieopodal, kręcąc głową to w prawo, to w lewo, jakby nasłuchiwał czegoś w straszliwym napięciu.

## Rozdział czternasty

Odgłosy miotającego się w dole robaka przypominały odległe dudnienie bębna. Pojawiły się również inne dźwięki. Ten świat, który - kiedy mgła wzbierała i podchodziła bliżej - wydawał się pogrążony w ciszy, teraz rozbrzmiewał różnymi szelestami, choć ich źródło znajdowało się gdzieś daleko, poniżej naszej grędy. Nie potrafiłam ich zidentyfikować ani nie miałam na to ochoty. Oomark przysunął się trochę do nas.

- Najpierw zjawiał się mały, potem większy. Wkrótce skończą z robakiem i wtedy mogą pójść za nami.

- To prawda - przytaknął Kosgro. - Czas, byśmy ruszyli dalej.

Spojrzał na Bartare i jeszcze raz, bardzo delikatnie, dotknął zabandażowanego boku.

- Jesteś ranny, trzeba to opatrzyć.

- Później. Teraz nie ma na to czasu - odparł nie znoszącym sprzeciwu tonem. - Lecz prawdą jest, że może nie starczyć mi sił, żeby nieść ją długo.

- Jak jeszcze daleko? - zapytał niecierpliwie Oomark. - Spójrz na korzeń, Kildo. Jak daleko?

Zupełnie zapomniałam o naszym dziwnym przewodniku. Teraz wyciągnęłam go zza pazuchy. Gdy znalazł się w mojej ręce, natychmiast wskazał kierunek wzdłuż skalnej półki. Kosgro trącił korzeń palcem.

- Całkiem sztywny. Chyba jesteśmy już blisko. I dopóki będę mógł, poniosę ją.

Wyraźnie podniesiony na duchu tym, co odczytał z korzenia, wstał i pozwolił, bym pomogła mu umieścić Bartare na jego barku.

Gdy już znalazła się na swoim starym miejscu, ruszyliśmy dalej wzdłuż skalnej półki. Nikt nie musiał mnie przestrzegać, bym zachowywała ostrożność. Aż nadto dobrze zdawałam sobie sprawę z dobiegających z dołu odgłosów. I domyślałam się, co mogłoby się stać, gdybyśmy zwrócili na siebie uwagę tych, którzy tam ucztowali. Mieliśmy niewiarygodne szczęście w starciu z robakowatym stworem. Nie mogliśmy liczyć, że następne spotkanie skończy się równie szczęśliwie.

Występ zrobił się węższy, a ja zaczęłam rozmyślać, co zrobimy, jeśli okaże się, że musimy podjąć wspinaczkę albo zejść na dół po urwisku. Wątpiłam, czy z nieprzytomną Bartare dalibyśmy sobie z tym radę.

Szczyście uśmiechnęło się do nas jeszcze raz, bowiem gdy półka się skończyła, zobaczyliśmy przed sobą szereg prowadzących do góry występów, po których mogliśmy się wspiąć. Wyglądały jak schody dla olbrzymów.

Była to trudna wspinaczka i gdy znaleźliśmy się na szczycie, znowu padliśmy bez sił, dysząc ciężko. Korzeń przekreślił mi się w ręce, ustawiając się pod kątem do podłoża, z czego wywnioskowałam, że znajdujemy się wyżej niż nasze spodziewane schronienie. Ściana mgły podeszła już tak blisko nas, że zaczęłam się obawiać, iż jakkolwiek wędrówka w tych oślepiających tumanach może skończyć się upadkiem z jakiejś niewidocznej krawędzi.

- Na dół, co? - Kosgro zgarbił się nad ciałem Bartare, spoglądając na korzeń. - Lecz jeśli tam prowadzi nasza droga, nie możemy nią pójść, przynajmniej jeszcze nie teraz. - Westchnął jak ktoś, kto podjął wielki wysiłek na mamę.

- Trzeba też - kontynuował po chwili, w której zdążyłam pojąć, w jak wielkim znaleźliśmy się niebezpieczeństwie - pomyśleć o jedzeniu...

Jedzenie! Zacisnęłam kurczowo rękę na zawiniątku. Byłam jednak głodna i nie mogłam temu zaprzeczyć. Ten śmieszny posiłek, spożyty przez nas pod krzakiem z jagodami, nie zaspokoił dręczącego mnie głodu. A jeśli sama myśl o jedzeniu sprawiała, że robiło mi się słabo, to jak musiał czuć się Kosgro, który nie tylko niósł Bartare, ale też stracił mnóstwo energii w walce z robakowatym stworem.

Niechętnie odwinęłam zapasy i po raz kolejny przebiegł mnie zimny dreszcz, kiedy zobaczyłam, jak jest ich mało. Gdy i to zniknie, nasza ostatnia nadzieja na pozostanie sobą będzie nam odebrana, pomyślałam.

Rozsmarowałam proteinową pastę na waflach i dla siebie zatrzymałam mniejszą porcję. Do większej, przeznaczonej dla Kosgro, dodałam kostkę czekolady. Nie krygował się, przyjmując większą porcję. Rozsądek nakazywał taki podział.

Żując wafel szybko spakowałam zawiniątko, chowając je, by nie budziło pokusy. Potem zajęłam się bandażowaniem na nowo moich stóp. Musiałam na ten cel poświęcić znowu materiał z mojej tuniki.

Skrzywiłam się, kiedy spojrzałam na stopy - tak obco wyglądały. Palce były nienormalnie długie, jak... jak... korzenie! Ukorzenione stopy, lśniące, stwardniała jak kora skóra, zielone włosy przyłożyłam rękę do ust i nie krzyknęłam, ale cały czas drżałam, gdy pospiesznie bandażowałam te dziwne stopy, starając się nie myśleć.

Przypuścmy, że uległabym dręczącemu mnie impulsowi, by zrzucić bandaże i zanurzyć moje palce-korzenie w ziemi. Czy takie działanie sprawiłoby, że stałabym

się krzakiem, drzewem, czymś stałym unieruchomionym w tym świecie na wieki? Musiałam uważać, by do tego nie doszło, nie powinnam zatem dotykać ziemi gołymi palcami.

Oomark chodził tam i z powrotem. Teraz zbliżył się, szczękając kopytami o skalne podłoże.

- Musimy iść! Na dole jest wiele Pomroczy i wciąż nadciągają nowi.

Kosgro znowu westchnął.

- Ma rację. Kiedy wzbiera mgła, mają największy apetyt. Robak im nie wystarczy.

Podniosłam korzeń z nadzieją, że może w jakiś sposób zmienił swój sygnał. Wciąż jednak wskazywał na dół.

- Dokąd idziemy? Jeśli mamy iść według tych wskazań, powinniśmy zawrócić.

- A tego nie wolno nam zrobić. - Kosgro zgiął ręce. - Będziemy musieli iść tym grzbietem tak długo jak się da, z nadzieją na hit szczęścia.

Jeszcze raz zarzucił sobie Bartare na ramię. Teraz już nie maszerowaliśmy, a raczej pełzliśmy, często zatrzymując się na odpoczynek. W pewnej chwili korzeń niespodziewanie przesunął się w mojej ręce. Przystanąłam, żeby pokazać towarzyszom, że wskazuje odwrotny kierunek.

- Musieliśmy minąć schronienie.

Kosgro położył dziewczynkę na ziemi. Razem opadliśmy na czworaki i popełziliśmy w lewo, bardzo wolno i ostrożnie, z nadzieją, że dotrzemy do krawędzi grzbietu, na którym się znajdowaliśmy, by stamtąd ocenić, co znajduje się w dole. Potem, tak jak fetor robaka był dla nas ostrzeżeniem, tak teraz fala ożywczego zapachu notusa przyniosła nam nadzieję. Kosgro zawołał, rozciągając wąskie usta w groteskowej parodii ludzkiego uśmiechu:

- Teraz już mnie nie mdli!

- Co cię nie mdli?

- Zapach notusa! Wytrzymuję go. - Walnął wielką owłosioną pięścią w skałę. - Nie rozumiesz? Jedzenie pomogło. Nie jestem już tak bardzo związany z tym światem. Notus nie ostrzegł mnie!

Rozumiałam jego radość, czułam bowiem to samo, kiedy moja skóra wygładziła się, gdy podniosłam tamtą gałązkę notusa. Leżeliśmy obok siebie, ramię w ramię, starając się dojrzeć, co jest za krawędzią grzbietu. Otaczała nas jednak tak gęsta mgła, że niczego nie mogliśmy być pewni. Drzewa, których szukaliśmy, mogły



znajdować się bardzo daleko albo zupełnie blisko, ale tak czy inaczej mgła kryła je przed nami.

Tak jak moje palce–korzenie czerpały jakąś formę energii z gleby, tak teraz zapach notusa napępiał mnie inną mocą. Głód, sygnalizowany przez bolesne ssanie w brzuchu, przestał mi dokuczać. Czułam, jak ogarnia mnie spokój, ale nie tylko spokój - również uczucie, że mam nieograniczone możliwości, że mogę rozkazywać losowi i podporządkować go mej woli.

- Zejście nie okaże się chyba zbyt trudne - powiedziałam.

W zasięgu wzroku skała była spękana i podziurawiona, obfitowała w dogodne wsparcia dla nóg i uchwyty dla rąk.

- Na odcinku, który jest widoczny - przytaknął Kosgro, lecz dodał: - Bać należy się tego, co nie jest widoczne. Gdybyśmy mieli linę, albo cokolwiek, co ułatwiłoby wspinaczkę, wówczas moglibyśmy...

Czyżby zamierzał się poddać?! Zdumiona, dźwignęłam się do pozycji siedzącej.

- Ale musimy zejść na dół!

- Zgadzam się. Tylko powiedz mi, w jaki sposób.

Zastanowiłam się nad tym spokojnie i stwierdziłam, że ma rację. Nas troje dokonaliby tego bez trudu. Ale co z Bartare? Wiedziałam już, jakie jest jedyne rozwiązanie. Tylko ja mogłam trzymać swobodnie gałązkę notusa. Zostało dowiedzione, że taka gałązka daje tutaj potężne wsparcie. A my potrzebowaliśmy go, żeby przeżyć. Dlatego to ja musiałam zejść, zdobyć gałązkę i wrócić z nią.

Powiedziałam to i przygotowałam się na sprzeciw ze strony Kosgro. Milczał przez długą chwilę, a potem powiedział:

- Myślę, iż to jedyny sposób.

- Wydaje się, że nie jesteś do końca przekonany.

- Nic na to nie poradzę. Nie wiemy, co nas czeka na dole, nawet jeśli skała pozwoli na zejście poniżej tego krótkiego odcinka, który jest widoczny. Wyprawa w nieznane jest niebezpieczna, a ty nie jesteś przygotowana do stawienia czoła takim zagrożeniom.

- Sądząc po zapachu, musi tam być sporo kwitnących drzew notusa. Jakie niebezpieczeństwa tego świata mogą mi grozić w ich pobliżu? A może się mylę sądząc, że notus stanowi remedium na wiele miejscowych nieszczęść?

- Nie mylisz się. I masz rację twierdząc, że tylko ty jesteś w stanie przynieść

gałązkę notusa. Mogę cię jedynie prosić, byś była czujna i nie zaniedbała żadnych środków ostrożności.

Po tym, co tutaj przeżyliśmy, nie potrzebowałam takich przestróg. Ponownie sprawdziłam bandaż na stopach upewniając się, że są szczelne. I zanim zsunęłam się z krawędzi, zrobiłam coś jeszcze. Odwiązałam od pasa zawiniątko z prowiantem, dając tym samym dowód, jak bardzo mu ufam. Nie dotknął go; spojrzał na mnie badawczo i rzekł, ostro i wyraźnie wypowiadając słowa:

- Jeśli spodziewasz się niepowodzenia - nie idź. W samym powietrzu jest tu coś, co wyczuwa i potęguje wszelką niepewność, i co sprawia, że człowieka spotyka los, jakiego właśnie chciał uniknąć.

Roześmiałam się z przymusem, mając nadzieję, że nie pokazałam, jak bardzo jego słowa mną wstrząsnęły.

- Więc myślisz, że przewiduję, iż spotka mnie jakieś nieszczęście? Mylisz się. Zostawiam prowiant, bo nie chcę, żeby zawiniątko przeszkadzało mi w schodzeniu na dół. Teraz ja z kolei pragnę przestrzec cię z całą mocą: możliwe, że od tego zawiniątka zależeć będzie nasze życie.

Skinął głową.

- Sądziysz, że nie zdaję sobie z tego sprawy? Możesz mieć pewność, że będę go dobrze strzegł.

Nie spojrzałam na niego, kiedy zsuwałam się z krawędzi, całą uwagę poświęcając skalnej ścianie, posiadającej wiele przydatnych do wspinaczki pęknięć. Pomimo ciasnych bandażu, moje stopy były o wiele bardziej giętkie i łatwiej wyszukiwały występy i szczeliny, niż gdybym miała na nich buty. Lecz schodziłam bardzo wolno, sprawdzając każdy występ, nim wykorzystałam go jako oparcie.

Mój świat zawęził się do pasa skalnej ściany, pokrytej warstewką wilgoci wytracającej się z mgły. Sekret polegał na tym, jak szybko stwierdziłam, że należało zwracać uwagę wyłącznie na czynności wykonywane w danej chwili. Przywierałam więc do ściany i poszukiwałam występów, i znowu powtarzałam te same gesty, za każdą zmianą pozycji schodząc odrobinę niżej. Zapach notusa przybierał na sile, dodając mi otuchy, kiedy śmiałam o tym pomyśleć, i napełniając przekonaniem, że drzewo lub drzewa nie mogą się znajdować zbyt daleko.

W końcu moje stopy dotknęły płaskiej powierzchni i znieruchomiałam, wciąż zwrócona ku ścianie, nie ośmielając się jeszcze odwrócić, dopóki - przesuając najpierw jedną, a potem drugą stopę nie upewniłam się, że podłoże jest stabilne.

Wciąż przytrzymując się jedną ręką skalnego występu, bardzo wolno odwróciłam się od ściany.

Pod nogami miałam litą skałę, wybiegającą płasko w mgłę. Dostrzegłam też skrawek zielonej darni. Zawahałam się, nim ruszyłam dalej, ponieważ nie byłam pewna, czy uda mi się wrócić w to samo miejsce. Notus nie mógł jednak znajdować się zbyt daleko, a wahanie niczego nie rozwiązywało.

Zaczęłam głośno liczyć kroki z nadzieją, że może to być dla mnie jakaś wskazówka przy powrocie. Tak dotarłam do darni, która sprężynowała miękko pod stopami. Pochyliłam się i zerwałam garść trawy, oznaczając w ten sposób to miejsce, choć łukowate źdźbła stawiały opór. Idąc dalej zostawiałam takie same znaki po każdym pięciu krokach.

W taki oto sposób dotarłam do pierwszego drzewa notusa. Było ich tam więcej - prawdę mówiąc tworzyły mały zagajnik. Przystanęłam i oddychałam głęboko, radując się wypełniającym mnie uczuciem mocy i ożywienia.

Kwiaty zwisały w bujnych kiściach, lecz nie były jednolicie białe, jak tamte na pierwszej gałązce. Płatki niektórych lśniły złotawo na końcach. Inne znów opadały, spływając łagodnie ku ziemi, gdzie darń pokrywała już ich gruba, lotna warstwa.

Weszłam ostrożnie pod najbliższe drzewo, spoglądając do góry, zdecydowana wybrać gałązkę z najświeższymi kwiatami, wyglądało bowiem na to, iż znalazły się w okresie przekwitania, i niedługo wszystkie spadną.

Kiedy wreszcie dokonałam wyboru, uniosłam ręce, żeby zerwać gałązkę. Kiedy jednak dotknęłam jej palcami, poderwała się umykając gwałtownie, jakby drzewo zdawało sobie sprawę z tego, co chcę zrobić, i nie wyrażało na to zgody. Zaskoczyło mnie to tak, że aż odskoczyłam, ponieważ przyszła mi do głowy osobliwa myśl, iż teraz w odwecie drzewo może wysmagać mnie gałęziami.

Czy w tym przypadku należało postąpić tak jak z trawą-przewodnikiem? Czy w zamian za gałązkę muszę dać jakąś dziwną zapłatę? Zbadałam rany na dłoni. Wciąż piekły, lecz już nie krwawiły. Wzięłam głęboki oddech i podeszłam do drzewa, przykładając pokaleczoną i brudną dłoń do jego lśniącej, srebrzystej kory.

Nie wiedziałam, dlaczego tak zrobiłam, ale w jakiś sposób wydawało mi się to właściwe. I przemówiłam do drzewa jak do towarzysza, którego można nakłonić do udzielenia pomocy, o ile zostanie przekonany, że naprawdę jest nam potrzebna. Prosiłam drzewo o to, co może mi dać, zapewniając, że nie będę próbowała tego wziąć siłą, jeśli się sprzeciwi, przypominałam sobie bowiem, jak tamtą pierwszą

gałązkę przyniósł do mnie wiatr, i wcale nie musiałam jej zrywać.

Ponad moją głowę wstążkowate liście zaszeleściły, a kiście kwiatów zatrzęsły się. Tego ruchu nie wywołał żaden wiatr. Poruszenie przeniosło się na sąsiednie drzewo, potem na następne, stając się coraz to głośniejsze.

Wokół mnie spadł deszcz przekwitających kwiatów, zerwanych tym drgnieniem. Zatrzymały się na moich włosach, w fałdach spodniej tuniki, przywarły do ramion i barków, jak gdyby ich płatki powleczone były jakąś lepłą substancją.

Gdzieś nad moją głową rozległ się ostry trzask. Kiedy odchyliłam się do tyłu, nie odrywając rąk od pnia, by zobaczyć, co się stało, prosto w moje ramiona, z niezwykłą precyzją, spadła gałązka. Miała kształt litery Y, a każde ramię zwieńczone było kiścią kwiatów. I, ku mej radości, kwiaty nie wyglądały na przekwitłe, jak te, które opadły, tak że mogłam się spodziewać, iż wytrzymają przez jakiś czas.

Dziękując mocy, która przekazała mi ten dar, przemówiłam jeszcze raz, przepelniona nabożnym lękiem i poruszona odpowiedzią na moją prośbę, zawstydzona wcześniejszą, łapczywą próbą zerwania gałązki.

Pod moimi dłońmi pień sprawiał wrażenie, jakby się pocił, kondensowała się na nim jakaś wilgoć. Zapragnęłam dotknąć pnia wargami, wessać do suchych ust ciężkie, błyszczące krople. To przemożne pragnienie stłumiło rozważę, i rzeczywiście objęłam pień, przyciskając doń usta.

Wilgoć nie była wodą - miała zbyt słodki smak. Lecz niosła z sobą ciepło, uczucie szczęścia i nadzieję. I, choć nie mogłam napić się nią do syta, niezmiernie mnie odświeżyła. Gdy odsunęłam się od drzewa, jeszcze raz złożyłam podziękowania. Nie wydawało mi się to dziwne, ponieważ notus najwyraźniej nie był zwykłym drzewem choć nie miałam pojęcia, czym jest naprawdę.

Z gałązką zatkniętą za pas ruszyłam z powrotem do skalnej ściany. Wspinaczka w górę nie była tak trudna jak zejście, ponieważ wszystkie dogodne uchwyty miałam w polu widzenia, a nadto soki notusa pokrzepiły mnie, przygotowały do zwiększonego wysiłku.

Kwiaty, które na mnie spadły, wciąż przylegały do mojej skóry. Wcale nie chciałam ich usunąć, ponieważ zapach i miękki dotyk sprawiały mi przyjemność.

Wędrówka w górę, mniej absorbująca od zejścia, tym samym trwała krócej, co bardzo mnie ucieszyło. Kiedy wciągałam się przez krawędź skalnej ściany na szczyt, pełna entuzjazmu starałam się wymyślić jakiś sposób, który pozwoliłby nam wszystkim zejść do zagajnika. Widziałam w nim idealne schronienie, gdzie

moglibyśmy odpocząć i pokrzepić się.

Mgła zaczynała właśnie ustępować, kiedy wdrapałam się na grzbiet. Leżała tam Bartare, najwyraźniej pogrążona w śnie tak samo głębokim jak przedtem. Oomark przysiadł na piętach nieco dalej, jak gdyby udając wartownika. Kosgro siedział obok dziewczynki, zgarbiony, z rękoma zwieszonymi pomiędzy kolanami, sprawiając wrażenie całkowicie wyczerpanego.

Uniósł głowę, gdy pomachałam triumfalnie gałązką.

- Musimy jakoś zejść na dół - zwróciłam się do niego. - Rośnie tam cały zagajnik notusa. I...

Kiedy tak machałam, część płatków przywierających do mojej skóry odpadła. Zawirowały w powietrzu i kilka spadło na Bartare, na jej twarz i piersi.

Po raz pierwszy poruszyła się - nie tylko poruszyła, lecz również odzyskała przytomność, tak szybko, jak odzyskuje ją człowiek budzony przez grożące mu niebezpieczeństwo. Przesunęła gwałtownie rękami po twarzy. Byliśmy zbyt zaskoczeni, żeby się poruszyć. Od tak dawna zachowywała się jak martwy przedmiot, że po prostu zaczęliśmy ją w ten sposób traktować.

Kosgro wyciągnął do niej ręce - zbyt późno. Odsunęła się od niego z rozpaczliwą zwinnością zwierzęcia, które stara się wymknąć z pułapki. Jeden z płatków zgarniętych z twarzy przywarł do jej palców. Krzyknęła, uderzając ręką o ciało, jakby ze wszystkich sił starała się pozbyć jakiejś dręczącej ją istoty.

- Bartare!

Ruszyłam ku niej, lecz przystanęłam, gdy wrzasnęła, zasłaniając się wyciągniętymi do góry ramionami. Czyżby zobaczyła we mnie jakieś monstrum, któremu nie była w stanie stawić czoła?

Kosgro złapałby ją zapewne, gdyby Oomark nie przeciął mu drogi. Jorth wpadł na chłopca, potknął się i omal nie upadł, tracąc równowagę. Bartare, poderwawszy się wreszcie na nogi, rzuciła nam spojrzenie wypełnione grozą, ale i buntem, i uciekła we mgłę, oddalając się od urwiska i kierując w nieznane. Nie zastanawiając się, pobiegłam za nią. Dopiero kiedy ogarnęła mnie mgła, uświadomiłam sobie, jakie szaleństwo popełniłam: teraz wszyscy zaczniemy się błąkać bez nadziei na to, że się odnajdziemy. Moglibyśmy wprawdzie wołać i w ten sposób, być może, nawiązać kontakt. Lecz takie okrzyki z pewnością zwróciłyby uwagę czegoś, z czym nie chcielibyśmy ani nie mieliśmy odwagi się spotkać.

Skoro tylko zrozumiałam ten poważny błąd, przystanęłam nasłuchując. Z

przodu dobiegał do mnie tupot stóp na skale - to była Bartare. Kiedy jednak poruszałam się, nie słyszałam jej, a zatem nie mogłam kierować się tym dźwiękiem. Spojrzałam na gałązkę notusa. Korzeń doprowadził nas do niego. A może teraz notus mógłby doprowadzić mnie do Bartare? Ledwie ta myśl przyszła mi do głowy, gdy gałązka przekreśliła się w mojej ręce, tak że rozwidlenie zwieńczone kiściami kwiatów wskazywało kierunek. Byłam pewna, że w żaden sposób nie wpłynęłam na zmianę położenia gałązki. Nie miałam innego wyjścia, jak tylko pójść za jej radą.

Zrobiłam tak, jak poinstruował mnie Kosgro, kiedy szukaliśmy Oomarka. Wyobraziłam sobie twarz Bartare i pozwoliłam, by notus wskazywał drogę.

Jeszcze raz zesłam ze skały na opadające w dół zbocze, pokryte piaskiem i nagą ziemią, gdzie karłowate krzaki wyłaniały się poszarpanymi kształtami z mgły, by zaraz znowu w niej zniknąć. Często przystawałam, wyężdżając słuch. Jeśli Bartare wciąż biegła, zapewne wyprzedziła mnie znacznie. Słaby tupot stóp nie dochodził już do moich uszu. Słyszałam za to wystarczająco wiele innych dźwięków, by mieć pewność, że nie jestem sama w okrytej mgłą okolicy. Jakież stworzenia przemykały to tu, to tam, zajęte swoimi własnymi sprawami.

Zadrzałam na myśl o tym, że być może Bartare znalazła się oko w oko z jednym z potworów zamieszkujących tę krainę. Nie wiedziałam, czy dziewczynka ma możliwości wezwania swej Pani na pomoc. I nie wykluczone, że będę musiała stawić czoło im obu, kiedy znajdę moją podopieczną. Nie pozwoliłam, by ta myśl napełniła mnie strachem.

Potem usłyszałam wołanie, które było nie tylko dźwiękiem, ale również wibracją powietrza, czułam je bowiem całym ciałem. A ponieważ gałązka wskazywała kierunek, z którego ono dochodziło, pomyślałam, że to Bartare próbuje wezwać pomoc. Grunt opadł nagle przede mną, a ja poślizgnęłam się na pokrywającej go gładkiej warstwie mchu i trawy i zjechałam na siedzeniu w dół.

Zakończyłam podróż, uderzając z niemałym impetem w bok jednego z tych porośniętych darnią kopców. Usłyszałam podniecony śmiech i uniosłam wzrok. Na szczycie kopca kłęczała Bartare i wpatrywała się we mnie z zadowoleniem, że widzi swego wroga w opałach. Potem uniosła rękę, dając znak komuś, kogo ja nie widziałam. Równocześnie zawołała głośno i wyraźnie:

- Chodź i najedz się, biegnący-w-ciemności!

Ostrzeżona ponieważś o grożącym mi niebezpieczeństwie zdążyłam tylko uklęknąć, zanim ów cień stał się przerażająco wyraźny. To był Shuck, albo stwór na

tyle do niego podobny, że mógłby być jego bliźniakiem. Zbliżał się ku mnie śliniąc się, w pośepnym i przejmującym grozą milczeniu, błyskając kłami w rozwartej paszczy.

- Jedz! Jedz! - Przenikliwy głos Bartare zupełnie zatracił ludzkie brzmienie. Po chwili dodała: - Na koniec muszę ci podziękować, Kildo. Przynajmniej raz na coś mi się przydałaś. Poigraj sobie z Shuckiem, a on zapomni o mnie.

Wciąż na klęczkach, uniosłam rękę, w której trzymałam ukwieconą gałązkę, i wyciągnęłam ją w stronę Shucka.

- Shuck!

Włożyłam w to słowo całą moc, jaką dysponowałam. Potwór zatrzymał się tak gwałtownie, że aż się zakołysał, orząc łapami bruzdy w ziemi, gdy próbował cofnąć się przede mną. Wtedy, uderzyłam gałązką jak biczem. Shuck chciał się uchylić, lecz kwiaty smagnęły go po łbie i barku.

Odskoczył, warcząc i wydając odgłosy przypominające głuche pokasływanie. Przypadł brzuchem do ziemi, próbując podpełznąć do mnie z innej strony. Ale ja byłam na to przygotowana.

- Shuck!

Przejęłam inicjatywę, podrywając się na nogi i napierając na kulącego się potwora. Wymachiwałam gałązką nad głową, a on cofał się przede mną, aż w końcu odrzucił łeb do tyłu i zaskowyczał tak przeraźliwie, że zadźwięczało mi w uszach. Potem skoczył i zniknął we mgle.

Najszybciej jak mogłam podbiegłam do kopca. Bartare zeszła z niego po drugiej stronie i stała u podnóża. Najwyraźniej nie mogła się zdecydować na ucieczkę w nieznaną. Zanim zdążyła się ruszyć, dopadłam do niej i chwyciłam za nadgarstek.

Wyrywała rękę i zmagala się ze mną, wyłącznie jednak po to, by się uwolnić. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że śmiertelnie się boi ukwieconej gałązki. I choć opierała się przy każdym kroku, wlokłam ją ze sobą, zwrócona lewym bokiem do kopca, nieustannie badając wzrokiem mgłę w oczekiwaniu ataku. Zmagając się w ten sposób obeszlśmy pagórek, aż znalazłyśmy się w miejscu, gdzie wylądowałam po upadku na zboczu.

Odnalazłam Bartare i wiedziałam, że potrafię zatrzymać ją przy sobie, przynajmniej przez jakiś czas. Nie wiedziałam jednak, czy kiedykolwiek odnajdziemy pozostałych. Myśl, że naprawdę mogłyśmy się zgubić, ciążyła mi bardziej niż cokolwiek innego. Bartare wciąż próbowała się wyrywać, aż w końcu krzyknęłam do

niej:

- Jeśli się nie uspokoisz, użyję tego!

Podsunęłam jej gałązkę pod nos, a ona odchyliła głowę najdalej jak potrafiła.

Obawa przed powrotem Shucka, który mógł sprowadzić posiłki, oraz strach przed utratą Kosgro i Oomarka sprawiły, że powiedziałam to poważnie. Musiała odczytać determinację malującą się na mojej twarzy, ponieważ natychmiast przestała się wrywać.



## Rozdział piętnasty

Nie masz pojęcia, co chciałaś zrobić! - Znowu jej głos nie był głosem dziecka.

- Możesz mnie tym zniszczyć!

- Ty też chciałaś nas zniszczyć - przypomniałam jej. - Czy nie zaatakowałaś nas w tamym mieście?

Posłała mi jedno z tych chytrych, kosych spojrzeń, takich samych jak te, którymi obrzucał mnie Oomark, kiedy zatracił swoją ludzką naturę - tyle tylko, że to spojrzenie było jeszcze bardziej obce. Znowu przebiegł mnie dreszcz.

- Posłuchaj - szybko dostrzegła mój słaby punkt - przecież nie chcesz mnie zabić, tylko zatrzymać. Dlatego nie użyjesz tego...

Jednocześnie zobaczyłam i poczułam, jak jej ciało tężeje, gdy zaczęła przygotowywać się do walki, odpowiedziałam więc szybko, mając nadzieję, że zarówno z mojego głosu, jak i wyrazu twarzy bije pewność siebie.

- Nie, nie chcę cię zabić, Bartare. Wystarczy tylko lekko dotknąć i myślę, że to cię okiełzna, albo uczyni bezradną i pozbawi przytomności, tak jak przedtem.

Wyciągnęłam gałązkę, a ona skuliła się i cofnęła. Jeszcze nie była poskromiona.

- Nie możesz kazać mi, bym robiła to czy tamto. Należę do tego świata w takim samym stopniu, w jakim ty jesteś tu obca. I jeśli spróbujesz ściągnąć mnie z powrotem, wiedz, że będę walczyła do końca z tobą i z tą skomlącą kreaturą, nazywającą siebie moim bratem. Bratem!... Nic nas nie łączy! I z tym Pomiędzy, który czołga się, żebrze i zrobi wszystko, żebyś tylko dała mu wylizać okruchy z torby z jedzeniem. To śmieszne, że wam trojgu przychodzi do głowy przeciwstawiać się Ludowi!

- Tak jak wówczas, kiedy cię porwaliśmy? - wtrąciłam zjadliwie. Ale w głębi duszy czułam przygnębienie. Nie wiedziałam, jakim sposobem zdołamy zatrzymać ją przy sobie, jeśli dalej będzie taka zbuntowana. Ani jak wydobyć z niej informacje konieczne do ucieczki z tego świata... Chyba że... Zaświtała mi pewna myśl.

- Naprawdę możesz pozbyć się nas wszystkich raz na zawsze...

- Tak też się stanie - odparła natychmiast - gdy Melusa policzy się z wami. - Roześmiała się. - Nie przychodzi ci do głowy, żeby rzucić na nią zaklęcie, wypowiadając głośno to imię? Nie jest ono prawdziwe, tak samo jak Bartare nie jest

moim prawdziwym imieniem. W ten sposób nie zdobędziesz nad nami władzy.

- Możesz uwolnić się od nas bez żadnej szkody dla siebie - powiedziała jej. - Ale jeśli będziemy musieli się bronić, to się obronimy, jak już tego dowiedliśmy. Wskaż drogę, która pozwoli nam opuścić ten świat, a nie sprawimy ci już więcej kłopotów.

- Być może ty i ten Pomiedzy. Oomark nie - on już za bardzo jest jednym z nas. A poza tym nie mam klucza do żadnych wrót z tej strony.

Poczułam ukłucie strachu. A jeśli wrota dadzą się otworzyć tylko z tamtej strony?

- Twoja Melusa na pewno ma klucz. Jak inaczej mogłaby cię odnaleźć?

Bartare przesunęła językiem po wargach. Przestała się wrywać.

- A jeśli Melusa to zrobi, naprawdę odejdziesz i nie pojawisz się nigdy więcej?

- Masz moje słowo.

Ten koszmarny świat był ostatnią rzeczą, jaką kiedykolwiek chciałam znowu zobaczyć. Wcale jednak nie zamierzałam zostawić tu Bartare. Tak naprawdę nie mogłam uwierzyć, że płynie w niej obca krew, że pozostawiono ją na Chaloksie dla jakiegoś, znanego tylko Ludowi celu. Zamierzałam raczej, kiedy nadejdzie ta chwila, zobaczyć jak odchodzi z nami. W grę wchodziło stare, bardzo stare prawo, które obowiązywało od czasu, kiedy mój gatunek opuścił swoją kolebkę - ową legendarną Terrę. To nieważne, czy twój towarzysz jest twoim najzacieklejszym wrogiem - nie masz prawa porzucić go na obcej planecie. Twoim obowiązkiem jest walczyć do końca, by uwolnić go i zabrać z sobą.

Nie lubiłam Bartare, ale też nie chciałam zostawić jej tutaj, gdyby uśmiechnęło się do nas szczęście i znaleźlibyśmy wrota. Nie wiedziałam jeszcze, jak mogłabym przetransportować ją i Oomarka w jego zmienionej postaci; teraz przede wszystkim należało zawrzeć pakt z Bartare, żeby przestała być dla nas takim ciężarem.

- Nie do końca ci wierzę - powiedziała Bartare. - Jednak...

Cokolwiek chciała powiedzieć, nie zrobiła tego. Jej twarz zmieniła się i tylko to sprawiło, że odwróciłam się i spojrzałam na coś, co się do nas zbliżało.

Shuck zawezwał posiłki, bo gdyby tego nie zrobił, ta istota mogła wydrzeć mu jego łup. Mając w przeszłości dostęp do biblioteki Lazka Volka, zawierającej opisy najbardziej niesamowitych istot, sądziłam, że nic nie potrafi mnie zdziwić, lecz ta bełkocząca maskara była najgorsza ze wszystkich, jakie dotychczas widziałam.

Mój gatunek ma wrodzoną awersję do gadów. Ponieważ jednak

rozprzestrzeniliśmy się w kosmosie, zdołaliśmy stłumić ją w przypadku takich ras jak Zacathani i jedna czy dwie inne, których przodkowie zamiast sierści pokryci byli łuskami. Ale wciąż tkwiło we mnie dostatecznie dużo tego pierwotnego strachu, by unieruchomić mnie na sekundę czy dwie, co mogło okazać się fatalne w skutkach.

Istota prezentowała sobą budzącą mdłości mieszaninę cech gadzich i ludzkich. Jej ciało okrywała naga, zielona skóra, usiana brodawkami i guzami. Wyciągnięte łapy miały po cztery palce, a na końcu każdego z nich, po wewnętrznej stronie, znajdowała się owalna przysawka. Ciało rozdymała obwisły żołądek, nogi były krótkie i łukowato wygięte, jak gdyby pod ciężarem wielkiego brzucha. Dużą i okrągłą głowę wieńczyły wielkie oczy osadzone niemal na jej szczycie. Nie dostrzegłam śladu uszu, za to w głębi rozwartych ust coś...

Instykt, być może wyostrzony tym wszystkim, co zdarzyło się wcześniej, uratował mnie. W chwili ataku odruchowo uniosłam gałązkę i ów długi, ociekający ohydny, żółty śluzem powróż języka, wysuwający się błyskawicznie z pyska potwora, dotknął jednej z kwiatowych kiści.

Natychmiast cofnął się, znikając w ustach, które zamknęły się gwałtownie. Istota, zadziwiająco ludzkim gestem, przycisnęła obie łapy do pyska, cofnęła się chwiejnym krokiem, szarpiąc okalające usta wargi, wyglądające jak wąskie paski ciemniejszej zieleni, potrząsając baloniastą głową, najwyraźniej dręczona nieznośnym bólem.

- Chodź!

Bartare pociągnęła mnie za rękę. Wycofywałam się, zerkając do tyłu na gadzią stworę. Oparła się plecami o kopiec i wciąż szarpała wargi, sprawiając wrażenie, jakby zupełnie o nas zapomniała.

Przesuwałyśmy się wzdłuż ściany kopca najszybciej jak mogłyśmy. A jeśli z drugiej strony czekał Shuck? Rzuciłam ostatnie ostrożne spojrzenie na zieloną istotę i wbiłam wzrok przed siebie. Nic tam nie czerniało. Jednakże, gdybyśmy zanurzyły się we mgłę, każdy mógłby podejść do nas nie zauważony.

Jak odnajdę Kosgro i Oomarka bez jakiegokolwiek wskazówki czy znaku orientacyjnego? Spojrzałam na Bartare.

- Potrafisz znaleźć swojego brata?

Jeśli on umiał wytropić ją w tym świecie, ona z pewnością powinna potrafić to samo. Kiedy nie odpowiedziała od razu, zastanowiłam się, czy w ogóle zdołam wydobyć od niej tę informację. Moja władza nad nią, jeśli jakkolwiek miałam, była

niezmiernie ulotna.

- Posiadasz to coś, co sprawia, że Pomrocze postarają się ciebie omijać z daleka - powiedziała w końcu. - Ale nie wszystkie dadzą się trzymać na wodzy. Nie sądzę, żebyś - będąc tym, czym jesteś - poszła sobie i zostawiła mnie z nimi. Możliwe, że istotnie zostałam odrobinę zmieniona przez pobyt wśród twojego ludu. Tak, potrafię odnaleźć Oomarka - i jeśli tamten Pomiędzy jest z nim, jego również. Chodź!

Nie mogłam zrobić nic innego, jak tylko jej zaufać, choć z trudem przyszło mi rozstać się ze złudnym poczuciem bezpieczeństwa, jakie dawał wznoszący się za moimi plecami pagórek. Jednak nie była to prawdziwa ochrona przed atakiem Shucka lub brodawkowatego stwora. Najskuteczniejszą broń dzierżyłam w ręce i wiedziałam, że muszę zachować czujność i zważać nie tylko na ewentualne, wrogie poczynania Bartare, ale również na to, co mogło czyhać we mgle.

Znalazłyśmy się u podnóża tego gładkiego zbocza, z którego zjechałam, i okazało się, że wspinaczka po nim wcale nie jest łatwa. Zajęta wchodzeniem na górę, nie mogłam trzymać Bartare. Gdyby znowu uciekła, byłabym zgubiona.

Lecz w końcu wdrapałyśmy się na szczyt i oto miałyśmy przed sobą pokrytą zwirem przestrzeń. Wówczas, przypomniawszy sobie sztuczkę, której nauczył mnie Kosgro, zaczęłam co kilka kroków omiatać delikatnie nasze ślady z nadzieją, że w ten sposób powstrzymam pościg.

- Mgła się podnosi - zauważyła Bartare zgodnie z prawdą, lecz zmęczenie, jakie odczuwałam, pozwalało mi myśleć wyłącznie o tym, że musimy gdzieś znaleźć schronienie. Z pewnością najbezpieczniejszy byłby notusowy zagajnik - gdybyśmy tylko wraz z Jothem zdołali nakłonić Oomarka i Bartare, by tam weszli. Może wtedy Kosgro potrafiłby wykonać jakąś sprytną sztuczkę, która na jakiś czas rozwiązałaby nasz problem.

Weszłyśmy z powrotem na skalną płytę grzbietu. Co za szczęście! Kosgro nie poszedł mnie szukać, lecz siedział tam z Oomarkiem, już niemal tak gęsto owłosionym jak on, opiekuńczo obejmując chłopca ramionami.

Wstali, gdy podeszłyśmy do nich. Kosgro spojrzał na mnie pytająco. Przebywałam z nim już jakiś czas i nauczyłam się rozpoznawać, co oznaczają nawet drobne zmiany jego zwierzęcych rysów. Nie odezwał się, dopóki odwrócona tyłem nie omiotłam po raz ostatni pozostawionych przez nas śladów.

Wówczas zapytał:

- Towarzystwo?
- Tak, i to takie, jakiego nie chciałabym mieć za plecami.
- Zatem najlepiej zrobimy, jeśli zaraz ruszymy dalej.
- Tam, na dół.

Oczekiwałam jakiegoś sprzeciwu ze strony Oomarka, ale chłopiec nic nie powiedział. Pozostał przy mężczyźnie, trzymając się jednej z jego wielkich rąk.

Kiedy Bartare podeszła do krawędzi urwiska, zatrzymała się gwałtownie. Być może ostrzegł ją zapach notusa.

- Nie! Nie pójdę.

Teraz swój sprzeciw wyrażała tonem upartego dziecka. Zastanawiałam się, czy zagrozić jej znowu gałązką, lecz wyręczył mnie Kosgro, który stanął przed nią,

- Pójdziesz! - rzekł z przekonaniem. - Bo inaczej zostaniesz tutaj sama.

Ponieważ Bartare już raz podjęła samotną ucieczkę w nieznaną, pozornie bez lęku, nie potrafiłam dostrzec w tej groźbie niczego, co mogłoby zmusić ją do posłuchu. Wszystko jednak wskazywało na to, że ta trójka dysponuje wiedzą niedostępną dla mnie. Kosgro uniósł rękę.

- Słuchaj!

Nadstawiłam uszu. Zgiełk dochodzący z miejsca, gdzie zdechł robakowaty stwór, tłumiony dotychczas przez mgłę, teraz rozbrzmiewał głośniejsz. Słyszałam warknięcia, pomruki, i jeszcze jakieś inne, o wiele gorsze odgłosy; nie potrafiłam ich zidentyfikować.

- Pożarli to, co los im zesłał - rzekł Kosgro, zwracając się do Bartare. - Ci, którzy przybyli za późno, nie mają nic dla zaspokojenia rozbudzonego apetytu. I nie minie wiele czasu, jak zaczną rozglądać się i podejmą nasz trop...

Przerwała mu:

- Pomrocze polują tylko wtedy, kiedy wzbiera mgła.

Przypominała jakieś małe stworzenie zapędzone w matnię, strzelające oczami w prawo i w lewo w poszukiwaniu drogi ucieczki. Na wszelki wypadek stanęłam tak, by zagrozić jej ścieżkę, którą właśnie przyszliśmy.

- Kiedy są głodne, polują bez względu na porę. Na dole czeka na nas jedyne bezpieczne schronienie. Nie pójdą tam, nawet gdyby je do tego ^zmuszano, grożąc użyciem mocy.

- Nie możemy tam iść! Nie możemy!

Teraz już płakała. Straciła całą pewność siebie, jaką okazywała w mojej

obecności. Ponieważ Kosgro bardziej niż ja należał do tego świata, widziała w nim zapewne groźniejszego przeciwnika.

- My możemy i ty możesz - odparł. - Albo to zrobisz, albo będziesz musiała stawić czoło temu, co nadejdzie. A nadejdzie głodne i nie da się zawrócić z drogi. I dobrze wiesz, Bartare, że ucieczka przed nimi, kiedy są głodne, pobudza je tylko do zwiększenia wysiłku. Nawet jeśli zdołasz uciec, i tak spotka cię mamy koniec. Nie ma tu żadnego schronienia, z wyjątkiem tego tam w dole.

- Notus to też śmierć!

Bartare splotła ręce.

- Wcale nie. Skosztowałaś notusa, kiedy Kilda złamała twoje zaklęcie. Czy to cię zabiło?

Zawahała się, zanim odpowiedziała.

- Sprawilo, że zasnęłam i zaczęłam snić. Nie chcę takich snów!

- Miałaś wtedy jedynie przelotny kontakt z notesum. Teraz możesz schronić się w jego cieniu i nie dotykać go. Tamci też nie zdołają cię dosięgnąć.

Wiedziałam, że nie była przekonana, lecz w jakiś sposób ujarzmił ją. Skurczyła się. Nie potrafię lepiej wyrazić tego, co się z nią wówczas stało. Wyglądała z powrotem jak mała dziewczynka.

Posłuchała Jortha, kiedy skinął ręką, choć było oczywiste, że śmiertelnie boi się każdego kroku naprzód. Doznałam ogromnej ulgi, gdy zsunęła się z krawędzi urwiska. Oomark zszedł zaraz za nią. Potem Kosgro skinął na mnie. Potrząsnęłam głową.

- Ja pójdę ostatnia i będę zacierała ślady.

Machnęłam gałązką, bowiem myślałam nie tylko o niewidocznych stworach gromadzących się przy truchle robaka, ale również o tej gadziej istocie. Mogła przecież ruszyć naszym tropem, o ile otrząsnęła się z szoku, jakiego doznała, gdy dotknęła językiem gałązki. Było w niej coś, co sprawiało, że bałam się jej bardziej niż Shucka czy Skarka. Nie chciałam spotkać się z nią znowu.

- Doskonale.

Opuścił się niezdarnie z krawędzi, jak gdyby poruszanie sprawiało mu trudność. Pomyślałam o jego ranie. Czyżby wysiłki, na jakie ostatnio musiał się zdobywać, sprawiły, że się otworzyła? Nigdy nie pozwolił mi jej opatrzeć, a ja nie mogłam wymóc tego na nim wbrew jego woli.

Zgodnie z obietnicą zatrzymywałam się co jakiś czas i omiatałam skałę

notusem. Tak jak w przypadku poprzedniej gałązki, również i ta na razie nie sprawiała wrażenia, że więdnie czy usycha. Postanowiłam, że kiedy będziemy opuszczali notesowy zagajnik, postaram się o jeszcze jedną gałązkę, żeby mieć ją w rezerwie.

Zapach notusa był bardzo silny. Wciągałam go głęboko w płuca, za każdym oddechem odprężając się coraz bardziej. Kiedy u stóp urwiska odwróciłam się w stronę zagajnika, w niewielkiej odległości przed sobą zobaczyłam Kosgro, który obejmował ramionami dzieci, ponaglając je, choć nie ulegało wątpliwości, że wejście pod korony drzew jest niezmiernie trudne dla nich wszystkich.

Zagłębiał się w zagajnik, dopóki nie znaleźliśmy się na otwartej polanie, gdzie nie rośło żadne drzewo, a nad sobą mieliśmy tylko zamglone srebro nieba. Tam Kosgro puścił dzieci i cała trójka osunęła się na ziemię, zeszywniała i milcząca. Sprawiali wrażenie, jak gdyby zostali otoczeni przez jakieś wrogie, złe siły.

Podeszłam do najbliższego drzewa i przyłożyłam rękę do jego pnia, po raz wtóry czując na dłoniach tę jakże pożądaną wilgoć. Przesunęłam mokrymi dłońmi po twarzy, co orzeźwiło mnie tak, jakbym napiła się do syta z jakiegoś strumienia. Potem wyciągnęłam na wierzch skraj mojej spodniej tuniki i oderwałam pasek materiału. Przyłożyłam go do pnia, zbierając wszystek płyn, jaki mogłam znaleźć. Kiedy materiał nasączył się dobrze, wróciłam do moich towarzyszy.

Skoro ta wilgoć działała na mnie tak ożywczo, uznałam, że pomoże również Kosgro. Ten zaś siedział z głową zwieszoną na piersiach, przyciskając obie ręce do zabandażowanej rany, tak że nie mogłam zobaczyć jego twarzy. Uklękłam i najdelikatniej jak umiałam położyłam rękę na barku Jortha.

Pozwól mi opatrzeć ranę - zwróciłam się do niego. - Jeśli ulegnie zakażeniu, skończy się to fatalnie nie tylko dla ciebie, ale dla nas wszystkich.

Spojrzał na mnie tępo, jak gdyby nie słyszał albo w ogóle nie rozumiał tego, co mówię. Położyłam wilgotny pasek materiału na gałązce, tak by nie stykał się z ziemią, i odsunęłam rękę Jortha, żeby odwinąć i zdjąć poplamiony i brudny bandaż. Pod nim, na wypukłości wielkiej klatki piersiowej, biegła nabrzmiąta, czerwona pręga. Niewiele wiedziałam o ranach i sposobach ich opatrywania, lecz ta nie wyglądała dobrze.

Głowa Kosgro znowu opadła i nawet nie uniósł ręki, żeby zaprotestować. Wzięłam nasączony sokiem notusa materiał i zaczęłam dotykać nim czerwonej opuchlizny, starając się robić to tak lekko i delikatnie, jak to tylko możliwe.

Skrzywił się i wzdygnął. Potem, jak ktoś, kto zbiera się w sobie, by

wytrzymać zadawany mu dla jego dobra ból, napiął wszystkie mięśnie. Dwukrotnie wracałam do drzew, by nasączyć szmatkę, i dalej przecierałam ranę. Za trzecim razem aż przechyliłam się do tyłu na piętach. Zdumiało mnie, bowiem to, co zobaczyłam, i w pierwszej chwili nie mogłam uwierzyć, że oczy mnie nie zawodzą. Zapalenie wyraźnie ustępowało. Wyglądało na to, że notus potrafi na wiele sposobów pomóc w rozmaitych przypadłościach.

Ponownie zwilżyłam pasek materiału, a potem obwiązałam nim ranę, spinając go tą samą odznaką, która Kosgro przymocował pierwszy opatrunek. Była to spinka do kołnierza, wyblakła, lecz niewątpliwie stanowiąca część umundurowania Służby Zwiadowczej. Kiedy skończyłam, Kosgro westchnął i odprężył się.

- Jak to wygląda? - zapytał.

- Z początku sądziłam, że źle. Ale sok z tego drzewa pomógł.

Stan zapalny ustąpił.

Ostrożnie napiął mięśnie.

- Masz rację. Teraz o wiele mniej boli.

Poświęciłam jeszcze jeden skrawek mojej tuniki. Był to ostatni kawałek, jaki ośmieliłam się oderwać. Nasączyłam go sokiem notusa i podeszłam do Oomarka.

- Pozwól, bym obmyła ci twarz.

Szarpnął całym ciałem, próbując się uchylić. Ale Kosgro przytrzymał go. Staralam się robić to bardzo delikatnie, wiedząc, że chłopiec boi się notusa. Nie krzyczał, tak jak się tego spodziewałam. Wyglądał mężnie, choć cały dygotał.

Jeszcze raz zebrałam cenny sok. Kiedy wróciłam, Bartare stała, szamocząc się z Kosgro.

- Nie rób tego! - wrzasnęła, gdy zbliżyłam się do niej. - Pożałujesz, jeśli to zrobisz! Nie zdołam odnaleźć dla was starych wrót... Zostanę... Pomiędzy!

Zachowywała się jak oszalała, wrywając się i krzycząc, przystanąłam więc, niezdecydowana.

- Ale nie obejdziesz się bez wody, Bartare, a ja odkryłam, że paroma kroplami tego soku można zaspokoić nawet największe pragnienie.

- Zmuś mnie do tego - rzuciła wyzywająco - a zobaczysz, co się stanie.

Kontakt z notusem sprawia, że członkowie Ludu zapominają to, co wiedzieli. Mówię ci, że zapomnę wszystko, a tobie przecież potrzebna jest moja dobra pamięć!

Nie ulegało wątpliwości, że wierzyła w to, co mówiła, a ja nie śmiałam podejmować próby przekonania się o tym. Jeśli pragnęła się napić, będzie musiała



poczekać, dopóki nie ruszymy dalej i nie znajdziemy jakiejś sadzawki czy strumienia.

Złożyłam niewykorzystany skrawek wilgotnego materiału i wsunęłam go za pas, tak że dotykał bezpośrednio skóry pod moją przykrótką już spodnią tuniką.

Kosgro odwiązał od pasa zawiniątko z naszym jedzeniem. Kiedy podał mi paczuszkę, otworzyłam ją; żywności było o wiele za mało, jak na nasze potrzeby. Zaproponowałam dzieciom, żeby też zjadły trochę. Bartare odmówiła, podkreślając to przesadnym gestem wyrażającym obrzydzenie. Ku mojemu zaskoczeniu, Oomark przyjął wafel. Odgryzał małe kęsy, które żuł tak, jak gdyby miał w ustach coś gorzkiego, lecz mimo wszystko jadł.

Kiedy mu się przyglądałam, wezbrała we mnie odrobina nadziei. Być może notes spowodował w nim jakąś zmianę. Zyskałam pewność, że chłopiec zrobił krok we właściwą stronę.

Porcja, którą podzieliłam się z Kosgro, była naprawdę bardzo mała. Jakimś sposobem jednak ta odrobina wystarczyła mojemu ciału. Potem sprawdziłam bandażę na stopach. Paski materiału wycierały się i strzępiły bardzo szybko. Musiałam wymyślić coś lepszego. Kiedy przyglądałam się ponuro swoim nogom, Kosgro odezwał się:

- Dlaczego nie spróbujesz z tym?

Wskazał na wstążkowate liście, zalegające grubą warstwą pod najbliższym drzewem. Były żółte i zwędłe, lecz kiedy wzięłam garść i zaczęłam je rozciągać i zginać, stwierdziłam, że są niewiarygodnie wytrzymałe. Natychmiast nazbierałam ich pełen podolek.

- Pozwól.

Kosgro wziął trochę liści i choć jego palce zginały się w skurczach, a mięśnie drżały, jakby to zajęcie sprawiało mu ból, zaczął je splatać ze zręcznością, jakiej moje niezdarne próby nie mogły dorównać. Naśladowałam go we wszystkim i w rezultacie zrobiliśmy dwa komplety mat, grubych na szerokość mojego kciuka, i parę zwojów powroza, również skręconego z włókien liści.

Sandały, które w końcu nałożyłam na moje zniekształcone stopy, nie były wybitnym dziełem sztuki, ale zapewniały mi ochronę lepszą niż cokolwiek, co miałam na nogach od chwili, gdy porzuciłam buty. Przyglądałam się im z niemałym zadowoleniem, kiedy siedząc zaciągałam mocno ostatni węzeł.

Nie wiedziałam, jak długo wytrzymają, musiałam więc być przygotowana na to, że rychło ulegną zniszczeniu. Zaczęłam zbierać liście; układałam je w pęczki i

więzałam razem, żeby zabrać ze sobą.

Żałowałam torby z kamieniami, pozostawionej przez Kosgro tam, gdzie walczył z robakiem. Nie tylko stanowiła ona naszą jedyną broń, ale znajdowały się w niej również porzucone przez Oomarka rzeczy, które mogły się nam teraz przydać. Zaczęłam się nad tym zastanawiać.

- Co teraz zamierzasz?

Byłam bardzo zaskoczona, bo wyglądało to na czytanie w myślach, czy raczej w niesprecyzowanych zamiarach. Wytrzeszczyłam oczy na Kosgro. Uważałam za nieprawdopodobne, by zgodził się ze mną, iż warto podjąć próbę odzyskania torby, ja jednak tego chciałam.

- Zostawiliśmy tam torbę.

- A ty proponujesz, żebyśmy wrócili po worek, wypchany kamieniami? -

Roześmiał się ochryple. - Sądziś, że to skarb, po który warto wracać?

Poczułam się dotknięta.

- Przydała ci się w walce z robakiem. Gdyby nie ona, ty... my wszyscy bylibyśmy teraz martwi!

- Nie masz pojęcia, co tam się teraz dzieje.

- Ale mam notus...

- Nie bądź zbyt pewna siebie. Istnieje coś takiego jak zasadzka. Nie wiesz, kim są czające się tam istoty. Zmysły, jakie posiadamy, nie są w stanie ostrzec nas na czas przed niektórymi z nich. Z notusem czy bez... - Uniósł ręce do góry w osobliwym, niedokończonym geście. - Jeśli jednak nie można cię przekonać... jeśli musisz stawić czoło przeznaczeniu...

Rzecz zastanawiająca, lecz jego rezygnacja, ton głosu, którego nie potrafiłam określić, przekonały mnie. Zawsze uważałam, że bezmyślna odwaga nie jest żadnym bohaterstwem, a niekiedy nawet czymś o wiele gorszym od tchórzostwa. Korzyści wynikające z posiadania torby nie były warte spotkania z potworami. Doskonale pamiętałam, że tylko zaskoczenie malujące się w oczach Bartare uratowało mnie przed brodawkowatą istotą podkradającą się do mnie od tyłu.

- Masz rację.

Szczelina jego ust rozciągnęła się w uśmiechu.

- Oby niebiosa zapamiętały tę historyczną chwilę: kobieta przyznaje, że się myli.

Teraz ja z kolei się roześmiałam.

- Wcale nie! Nie powiedziałam, że się mylę, stwierdziłam jedynie, że ty masz rację.

- Więc to w taki sposób uchylasz się przed rozstrzygnięciem sporu, Kildo? Cóż, nawet to mnie zadowala. Nie żałuj torby z kamieniami. Może uda mi się zdobyć inną broń, lepszą, nie tak nieporęczną w użyciu.

Wstał, napinając mięśnie grubych ramion. Było oczywiste, że porusza się z większym ożywieniem niż wówczas, kiedy dotarliśmy do zagajnika. Widząc to, poczułam się pewniejsza.

Potem ruszył skrajem polany, szukając czegoś wśród zalegających na ziemi liści, oproszonych tu i ówdzie śniegiem spadających kwiatów.

## Rozdział szesnasty

Okrążywszy polanę wrócił z naręczem patyków, opadłych gałęzi drzew. Potem sprawdził ich wytrzymałość, zginając je. Kilka złamało się, lecz trzy pozostały całe. Dwie z nich były grube jak moje dwa palce złączone razem, a trzecia, masywniejsza od tamtych, miała na jednym końcu sękatę zgrubienie.

Kosgro wypróbował te trzy gałęzie, zadając nimi cięcia i sztychy, niby mieczami, jakie widywałam na holofilmach nagranych na prymitywnych światach.

- Nie jest to tak skuteczne jak laser - stwierdził - ale w porównaniu z twoją torbą z kamieniami stanowi pewien postęp.

I zgiął się wpół, zwracając się w moją stronę, co, gdyby nie jego zwierzęce ciało, mogłoby zostać poczytane za oficjalny ukłon w wykonaniu jakiegoś uprzejmego mężczyzny z planet wewnętrznych.

Gałęzie wydały mi się kruche i słabe, kiedy pomyślałam, że mogą być wykorzystane jako broń w walce z jakimiś potworami. Ale - ponieważ pochodziły z notusa - mogły być warte więcej niż zwykłe kije.

- Trzymasz je w rękach - zauważyłam. - Przedtem, kiedy próbowałeś dotknąć gałęzi...

- Tak! To prawda, że notus nie sprawia mi już kłopotu. Jedzenie, to... - dotknął nowego opatrunku - ..to wszystko dobrze na mnie wpływa!

Nie zauważyłam w nim żadnych zewnętrznych zmian, takich, jakie zaszły we mnie, kiedy po raz pierwszy dotknęłam notusa. Z drugiej strony jednak ten świat nie oddziaływał na mnie tak długo i wszechstronnie, jak na niego.

- Myślę, że ta i ta. - Odrzucił jedną z cieńszych gałęzi, zatrzymując dwie pozostałe. - Jest jeszcze coś, co możemy wypróbować. Wrócił do drzew i zgarnął parę garści zwiędłych, opadłych kwiatów. Znowu odniosłam wrażenie, przyglądając mu się, gdy wracał z nimi do mnie, że może je trzymać bez żadnej szkody dla siebie.

- Wetrzymaj je w gałęzie - powiedział, siadając ze skrzyżowanymi nogami i wykorzystując połowę z tego, co przyniósł, w tym właśnie celu, ja zaś zrobiłam to samo z drugim patykiem.

Kwiaty, gdy zgmiotłam je w rękach, zmieniły się w oleistą papkę. Czułam ich silny aromat, aż nadto słodki. Nie zwracałam jednak na to uwagi i pracowałam z zapalem, a drewno łączywie wchłaniało tę substancję. Biała kora zaczęła lśnić

fluorescencyjnym blaskiem, tak że kiedy strzepnęliśmy z rąk resztki lepkiej mazi, mieliśmy nie tylko prymitywną broń, ale również swego rodzaju pochodnie.

Kosgro przeciął ze świstem powietrze swoją gałęzią i w odpowiedzi rozległ się krzyk Bartare, która do tej pory siedziała pogrążona w ponurym milczeniu; przestałam zwracać na nią uwagę sądząc, że lepiej będzie zostawić ją spokoju przez jakiś czas. Teraz cofała się skulona, choć cios nie spadł nigdzie w jej pobliżu. Nie wstała, lecz zaczęła wycofywać się na czworakach, z twarzą zwróconą w stronę Jortha, jak gdyby nawet na chwilę nie śmiała spuścić go z oczu.

- Oczywisty dowód skuteczności tej broni - zauważył. - Być może zdobyliśmy coś, co jest tak samo dobre jak lasery.'

- Nie!

Wyrzuciła ręce do góry, kiedy chciałam do niej podejść, zaniepokojona jej zwierzęcym przerażeniem. Zachowywała się tak, jakbym trzymała w ręce gotowy do użycia bicz. Poczułam się zażenowana tym, że potrafię wzbudzić taki strach. Odrzuciłam gałąź i wyciągnęłam przed siebie puste dłonie.

- Zobacz, nie mam nic, Bartare. Nie musisz się bać.

Popatrzyła zza uniesionych w obronny geście ramion, a potem opuściła je. Wielkie zielone oczy zdawały się niemal wypełniać jej drobną twarz. I właśnie w owej chwili uświadomiłam sobie, jak niewiele zmieniła się pod względem fizycznym.

Spojrzała na mnie ostrożnie, a ja powiedziałam:

- Nie chcemy cię skrzywdzić, Bartare. Dlaczego się boisz?

- Przeklęty! - krzyknęła niemal, robiąc gest, obejmujący nie tylko drzewa notusa rosnące wokół nas, ale też Kosgro i mnie. Przeklęty dla Ludu.

- Przez kogo? - ponagliłam ją.

- Przez tych, którzy dotarli tu przed Ludem. Lud przybył przez wrota niezbyt liczną gromadą. Tamci dali Ludowi schronienie i pozwolili tu żyć. Oni nie wykorzystywali skarbów tego świata, nie chcieli przywoływać mocy i władać nimi. Tymczasem Lud odkrył, iż potrafi to robić. W końcu tamci zakazali Ludowi takich praktyk. Powiedzieli, że wrota zostaną otwarte i Lud będzie musiał odejść przez nie do jakiegoś innego świata. Ale Lud nie chciał tego, ponieważ ilekroć członkowie Ludu odchodzili stąd na jakikolwiek okres czasu, zaczynali starzeć się, tracić moc i w końcu umierali.

Doszło więc do wojny między Ludem a tamtymi. I Lud zwyciężył, bowiem władał potężnymi mocami. Tamci, ci drudzy, mieli jednak swoje sposoby -

zaintonowała, jak gdyby recytowała śpiewnie jakąś prastarą sagę lub na wpół zapomnianą opowieść - i nałożyli ograniczenia na moce. Choć większość z nich wykorzystwała swoje wrota i odeszła, niektórzy postanowili zostać...

Kosgro ukląkł przed Bartare, słuchając tak, jakby jej słowa były ważne dla nas wszystkich.

- Więc oni wciąż są tutaj, Bartare, ci sami, którzy toczyli wojnę z Ludem?

Dziewczynka potrząsnęła głową.

- Tego nikt nie wie. Wiele miejsc otoczyli barierami, których Lud nie umie przekroczyć. Cały czas obserwowano te miejsca, ale ponieważ od dawna nic nigdy stamtąd nie wyszło, Lud wierzył, że tamci albo umarli, albo odeszli. Zostawili jednak notus. Tej rośliny Lud nie potrafi ani wyrwać, ani zniszczyć w jakikolwiek inny sposób. I notus jest zły! - Jej twarz wykrzywiła się w wyrazie obrzydzenia. - Rani, niszczy i sprawia, że człowiek traci moc i zapomina rytuałów. Jest takim samym wrogiem jak Pomrocze. A teraz ty bierzesz go w swoje ręce - i chcesz użyć przeciwko Ludowi!

Zaczęła płakać. Taki płacz ma swe źródło w osamotnieniu ducha i w tak głębokim smutku, jakiego żadne dziecko nie powinno doświadczać. Podeszłam do niej i wzięłam ją w ramiona, przytulając do siebie młode, wstrząsane łkaniem ciało. Zwróciłam się do niej tak kojącym tonem, na jaki potrafiłam się zdobyć.

- Bartare, nie użyjemy tej broni przeciwko nikomu, z wyjątkiem tych, którzy nas zaatakują. Sam Lud walczy z Pomrociami, prawda? My też. Nie chcemy skrzywdzić mieszkańców tego świata. Chcemy tylko, jak już ci powiedziałam, wrócić bezpiecznie do własnego.

Zastanawiałam się, czy tak bardzo zatraciła się w swym nieszczęściu, że nie potrafiła mnie zrozumieć, a może nawet usłyszeć? W żaden sposób bowiem nie zareagowała na to, co powiedziałam. I wówczas zostałam zaskoczona przez Oomarka. Podeszedł do nas, nieśmiało ujął rękę Bartare spoczywającą bezwładnie na moim kolanie, i ścisnął ją w dłoniach.

- Bartare - powiedział - nie potrzebujesz nas, prawda? Ucieszysz się, jeśli odejdziemy. I Pani, tak naprawdę, też nas nie chce.

Wciągnęła ze szlochem powietrze i przekreśliła głowę na moim ramieniu, żeby na niego spojrzeć.

- Oni chcą wziąć ciebie... mnie... ze sobą!

- Oni przede wszystkim sami chcą wrócić - odparł. - A Pani... przecież potrafi

ich zatrzymać, jeśli naprawdę będzie tego chciała.

Coś w tym wyrażonym przez niego powątpiewaniu podziało na Bartare jak ukłucie ostrogą. Odsunęła się nieco.

- Ona chce m n i e! - wybuchnęła; zauważyłam, że pominęła Oomarka. - Nie pozwoli mi odejść! W porządku. - Znowu opanowana, co jednak nastąpiło zbyt szybko, by mogło być normalne, zwracała się teraz bardziej do Kosgro niż do mnie. - W porządku! Zaprowadzę was do wrót, jeśli zdołam je znaleźć, i sobie przez nie przejdziecie. A my będziemy zadowoleni, zadowoleni, zadowoleni! Za każdym razem, kiedy mówiła "zadowoleni", waliła pięścią w ziemię, jakby zadawała ciosy jakiemuś wrogowi.

- Jak to daleko stąd? - pragnął dowiedzieć się Kosgro.

Wzruszyła ramionami.

- Skąd mogę wiedzieć, jeśli znajduję się tutaj? Notus uniemożliwia wyczuwanie na odległość. Żeby odnaleźć wrota, muszę stąd odejść.

Ponownie więc mieliśmy polegać na przewodniku, któremu nie ufaliśmy, i to mi się nie podobało. Jeszcze mniej mogliśmy jej zawierzyć niż Oomarkowi. Zastanowiłam się, czy nie udałoby się go wykorzystać dla zapewnienia sobie kontroli nad Bartare.

Wreszcie, kiedy mgła się cofnęła, opuściliśmy zagajnik, choć nie mogłam znieść myśli, że stracę z oczu to sanktuarium. Nie zawróciliśmy w stronę miejsca, gdzie zginął robak, lecz obraliśmy trasę odbiegającą od niego pod pewnym kątem. Ponieważ nie istniał sposób umożliwiający sprawdzenie kierunków świata, nigdy nie wiedziałam, czy zdążamy na północ, wschód, południe czy zachód. Prawdę mówiąc wciąż obawiałam się, że możemy błędzić, zataczając koła.

Bartare poprowadziła nas drogą wiodącą przez coś, co wyglądało na dolinę lub wąwóz. Z początku narzuciła ostre tempo. Myślę, że pragnęła jak najszybciej oddalić się od notusa. Potem zatrzymała się, właśnie wtedy, kiedy przestał dochodzić do mnie jego zapach.

- Zostawcie mnie. Nie podchodźcie!

Dobitnym gestem podkreśliła to polecenie, wspinając się na wierzchołek wysokiej skały. Tam stanęła z zamkniętymi oczami, a potem zaczęła się wolno obracać. Obróciła się tak trzy razy. Następnie uniosła rękę i trzymając ją wyciągniętą przed siebie, zaczęła obracać się po raz czwarty.

W pewnej chwili jej ręka wyprężyla się i znieruchomiała. Wówczas otworzyła

oczy i skinęła na nas drugą ręką.

- W tamtą stronę.

Najwyraźniej była tego pewna. Nie wiedzieliśmy, czy droga prowadzi nas do wrót, czy też może do jakiejś twierdzy Ludu, gdzie zostaniemy pojmani. Miałam tylko nadzieję, że rozumowanie Oomarka przekonało ją.

Jeszcze raz wyszliśmy ze skał na szerokie połacie porośniętej darnią równiny, poznaczonej ciemniejszymi kręgami. I wkrótce natknęliśmy się na gąszcz krzaków z żółtymi jagodami. Bartare popędziła naprzód, zrywając jagody i pożerając je chciwie. Oomark ruszył za nią, a potem przystanął. Lecz kiedy w końcu podjął decyzję i dołączył do siostry, zauważyłam, że nie ucztował z taką radością, jaką okazywał wcześniej przy takich okazjach. Zerwał tylko garść jagód i jadł je wolno.

Wreszcie Bartare była zadowolona i gdy podeszła do nas, jej uśmiech krył w sobie wiele z dawnego, chytrego zuchwalstwa. Szybko dochodziła do siebie po załamaniu, jakie przeżyła w zagajniku.

- To bardzo źle, że nie chcesz jeść pożywienia Ludu - zauważyła. - Dlaczego chcesz być Pomiędzy, Kildo? Czy dlatego, że boisz się zmiany?

- Boję się, że przestanę być sobą, Kildą c'Rhyn - powiedziałam.

- Jak gdyby Kilda c'Rhyn była czymś naprawdę ważnym!

- Dla mnie jest Urodziłam się taka, i taką chcę pozostać.

- Jednak uważasz mnie za dziecko! A ja posiadam mądrość, jakiej ty nigdy nie zdobędziesz. Jesteś jak ktoś, kto zerwał Słoneczne Jabłko i zjadł samą skórkę, wyrzucając cały miąższ.

- Zdarza się, że ktoś ma nadmiar wiedzy szkodliwej dla niego - odparłam. Z jakiegoś powodu Bartare chciała mnie sprowokować. O ile w zagajniku skłonna była nas słuchać, teraz górę wzięła jej dawna arogancka osobowość. I to mnie zaniepokoiło, bowiem w takim stanie ducha bez żadnych oporów mogła zaprowadzić nas prosto w pułapkę.

- Ty!- Obróciła się w stronę Kosgro. - Czy bycie Pomiędzy to dobre życie? Ty też chcesz być sobą? A czy teraz jesteś sobą?

- Przypuszczam, że mi to powiesz- odparował. - Mówisz, że należysz do Ludu, a ja jestem Pomiędzy. Czy nie stałem się przez to niegodnym twej uwagi?

Mówiąc, machnął od niechcienia gałęzią notusa, a ona to spostrzegła i natychmiast straciła nieco ze swej pewności siebie.

Nie odpowiedziała mu wprost, zwróciła się raczej do nas wszystkich:



- Wasze wrota leżą przed wami. Chodźcie więc, jeśli chcecie je znaleźć.

Ruszyła dalej, a my podążyliśmy za nią. Ale dręczące ranie złe przecucia z każdym krokiem stawały się coraz silniejsze.

Zielona darnь słała się jak dywan pod naszymi stopami. Sandały z opadłych liści były wygodniejsze od bandaży. Czułam się tak, jakbym maszerowała po poduszkach.

W końcu doszliśmy do kopca, wyższego od wszystkich, jakie dotychczas widziałam, grabo porośniętego darnią. Na zwróconym ku nam zbocz zieleń została wycięta. Na szarym podłożu widniał symbol wyższy od człowieka. Trudno go było przeoczyć na tle zieleni.

Bartare zatrzymała się u podnóża kopca, unosząc wzrok na symbol. Potem odwróciła się do nas z triumfalnym uśmiechem na ustach.

- Obiecałam przyprowadzić was do wrót I zrobiłam to. Ale otwarcie ich to zupełnie inna sprawa, a ja nie potrafię tego zrobić. No i jak sobie teraz poradzicie?

Kosgro, który stał kawałek za nią, również badał wzrokiem symbol. Pomyślałam, że jego znaczenie nie jest dlań obce. A jednak Bartare miała rację, drwiąc z naszej bezradności. Znajdowaliśmy się w zasięgu mocy umożliwiającej nam powrót do normalnego świata Dylana i nic z tego dla nas nie wynikało. Wszystkie nasze wysiłki mogły okazać się niepotrzebne.

- Co... - zaczęłam, lecz w tej właśnie chwili Kosgro machnięciem ręki nakazał mi milczenie. W jego postawie było coś, co wskazywało na rosnące podniecenie. Czyżby dostrzegł jakiś sposób umożliwiający rozwiązanie naszej sytuacji?

Kosgro uniósł gałąź notusa i wycelował jej koniec w magiczny znak. Bartare krzyknęła i chciała skoczyć na niego, wyciągając rękę, żeby mu przeszkodzić. Wtedy ja wysunęłam mój patyk, zagradzając jej drogę jak barierą. Upadła na plecy, z wykrzywioną konwulsyjnie twarzą, bełkocząc jakieś słowa, których nie potrafiłam zrozumieć.

Kosgro poruszył się znowu. Końcem gałęzi notusa nakreślił w powietrzu - dosłownie - kontury symbolu. Gałąź zostawiała bowiem za sobą lśniące smugi, odwzorowując w pomniejszeniu kształt widniejący na kopcu. Choć Jorth opuścił ją, ów lśniący kształt unoszący się w powietrzu pozostał.

Potem uniósł gałąź znowu, trzymając ją jak ktoś, kto chce rzucić włócznią. Wykrzyczał głośno dwa słowa i cisnął patyk przez zawieszony w powietrzu symbol. Gałąź śmignęła i wbiła się, drżąc, w sam środek wyciętego na kopcu kształtu.

Słowa, które Kosgro wykrzyczał, odbijały się wciąż i wciąż tak silnym echem, jakiego nigdy przedtem nie słyszałam, aż w końcu poszczególne dźwięki zlały się w ogłuszający huk gromu. Z drżącej gałęzi wbitej w kopiec wystrzeliła oślepiająca kolumna białego ognia.

Dźwięki ucichły. Bartare leżała zwinięta w kłębek na ziemi, osłaniając rękami głowę. Obok niej kulił się Oomark. Kosgro stał wyprostowany, zwrócony twarzą do ognia, który w tak niesamowity sposób rozniecił, a ja stałam ramię w ramię z nim.

Pragnęłam zapytać, co zrobił. Czy posiadał "moc", czy też cokolwiek innego, co było potrzebne, żeby otworzyć wrota? Jednak widząc, z jakim skupieniem wpatruje się w ogień, nie ośmieliłam się odezwać.

Nie otworzyły się żadne wrota. Zamiast tego, wraz z kolejnym gromem, coś pojawiło się pomiędzy nami a tą buchającą płomieniami gałęzią. Kosgro wyciągnął rękę, choć nawet na mnie nie spojrział, i wziął ode mnie moją gałąź notusa. Opuścił nieco jej koniec, lecz trzymał ją tak, jak każdy mężczyzna dzierzyłby swoją broń.

Wirujące światło okrzepło. Po raz wtóry znaleźliśmy się przed kobietą, która towarzyszyła Bartare w mieście. Nie poruszyła się ani nie uczyniła żadnego gestu, tylko przyglądała się nam z beznamiętnym wyrazem swej pięknej twarzy.

To prawda, że była piękna. I myślę, że sprawiało jej rozkosz wykorzystywanie swej urody jako broni. Lecz zawiodła się, jeśli sądziła, że pobije nią Kosgro.

- Melusa - powitał ją rzeško, jak ktoś, kto czeka na rozpoczęcie targu i nie chce marnować czasu.

- To jedno z moich imion - odparła; jej słowa, choć ciche, rozbrzmiewały tak wyraźnie, jak dźwięk rogu mrocznego łowcy. I tak samo mroziły krew w żyłach. Może i należała do Ludu, lecz nam ukazała oblicze Mroku.

- Czego sobie życzysz? - Przeszła do rzeczy tak samo bezpośrednio jak on.

- Chcę, by wrota zostały otwarte.

Ledwie dostrzegalny cień uśmiechu wykrzywił te zbyt doskonałe usta.

- Ach, człowieczku, gdybyś wiedział, o co prosisz, nie żądałbyś tego ode mnie.

- Proszę o możliwość powrotu dla siebie i dla tych, którzy nie należą do tego świata. To nie jest odpowiednie miejsce dla nas. Pozwól nam odejść.

- Co zrobisz, jeśli odmówię?

Sprawiła wrażenie dziecka, rozbawionego natrętnymi prośbami.

- Użyję tego. - Uniósł odrobinę gałąź notusa. - I tego...

Domyśliłam się, czego sobie życzył, i potrząsnęłam ukwieconą gałązką,

trzymaną w ręce.

- Używasz czegoś, czego nie rozumiesz, być może w celu, jakiego wcale nie chciałbyś osiągnąć. Nie jesteś adeptem, nie należysz nawet do Ludu. To, czym tak pochopnie zawładnąłeś, jeszcze szybciej jest w stanie cię zniszczyć.

- Jak dotąd służyło nam dobrze. Myślę, że to ty najbardziej powinnaś się tego obawiać. Prosimy cię tylko o jedno: byś otworzyła wrota, nie jesteśmy bowiem z tej samej gliny co ty,

- Jedno z was jest. - Jej głos zabrzmiał odrobinę ostrzej. - Odszukaliśmy ją i uformowaliśmy dla naszych celów. Nie będziemy targować się o to, co do nas należy.

- Do was? Jednak nie mogła wystąpić przeciwko nam, gdy rozkazałaś, by zademonstrowała swoją moc. Ukształtowałaś ją, a jednak kiedy wystawiłaś na próbę, nie zdała jej. Spójrz na nią! Czy sercem należy do was?

- Melusa!

Bartare poderwała się na nogi. Minęła nas i zaczęła wspinać się na pagórek z wyciągniętymi ramionami, jak gdyby chcąc objąć czekającą tam kobietę. Lecz Melusa nie odpowiedziała żadnym gestem.

- To wszystko, czego chcesz? - zwróciła się do Kosgro nad głową dziewczynki.

- Tak. I nie próbuj żadnych sztuczek, bo z twoich oczu widać, że o tym myślisz.

- Melusa!

Bartare krzyczała jak ktoś ogarnięty bólem. Próbowwała dosięgnąć kobiety. Zamachnęła się i uderzyła pięściami w coś, co sprawiało wrażenie niewidzialnej ściany, wznoszącej się pomiędzy nimi.

- Gdyby naprawdę była twoją krewną, czy nie potrafiłaby przedostać się przez tę barierę? - ciągnął Kosgro. - Wzniostaś ją, by chronić cię przed wszelkimi możliwymi niebezpieczeństwami. Dlaczego więc powstrzymuje kogoś, kogo nazywasz "córką"?

- Melusa!

Bartare wykrzykiwała to imię. Osunęła się na kolana, lecz wciąż waliła pięściami w ścianę, której nie widzieliśmy, oddzielającą ją od kobiety.

- Spierasz się, używając języka węża! - wybuchnęła kobieta.

Po raz pierwszy zobaczyłam, jak traci panowanie nad sobą.

- Nie spieram się, tylko stwierdzam oczywiste dla wszystkich fakty. Bartare

nie zdradziła was, ale wydaje się, że ty lub twój lud wyrzekliście się tej dziewczyny. Czy bariera nie przepuściłaby jej, gdyby naprawdę do was należała?

- Była jedną z naszych wybranych, od dawna szkoloną i wyczekiwaną. -

Melusa spojrzała na dziewczynkę, nie mogącą do niej dołączyć. - Dlaczego bariera miałaby ją odrzucać? - Wyciągnęła rękę ku Bartare, która uniosła głowę, wpatrując się w nią w niemym błaganiu pełnymi łez oczami.

Zapadła długa chwila ciszy, przerywanej jedynie szlochem Bartare. Potem Melusa odezwała się znowu:

- Nie wiem dlaczego ani jak. Wydaje się jednak, że nie jest jedną z nas. Ty to zrobiłeś, zatem...

Otoczała ją taka aura zła, że jeszcze mocniej ścisnęłam gałązkę notusa.

Ponownie wyciągnęła rękę, tym razem w stronę Kosgro. Z koniuszków jej długich palców wystrzelił promień zielonego światła. Ale Kosgro poruszył się równie szybko jak ona i zasłonił się gałęzią notusa, która odbiła gorejącą smugę tak, jak lustro odbija padające na nie światło. Odchylony promień trafił w ziemię, zmieniając ją w szybko powiększającą się czarną plamę spalenizny. W powietrze uniosła się smużka dymu.

Teraz kobieta wyciągnęła rękę w moją stronę. Ja jednak przewidziałam jej następny ruch i trzymałam gałązkę w pogotowiu. Poczułam gorąco wydzielane przez skierowany ku mnie promień, bowiem nie potrafiłam zatrzymać go w tak dużej odległości od siebie jak Kosgro. Mój towarzysz okręcił się na pięcie, uderzył gałęzią w promień powstrzymywany moją kruchą tarczą, i jeszcze raz odchylił go.

- Sama widzisz - jego głos brzmiał spokojnie i pewnie - że nie można nas ujarzmić. Wiem, że Lud nie należy do tych, którzy toczą beznadziejną walkę, choć nie mają szans na wygraną. Pozwól nam odejść, bo inaczej wciąż będziemy stanowić zarzewie konfliktu. Twojemu światu niepotrzebne są takie problemy. Kto wie, co może się stać, jeśli otworzycie wrota, by przyjąć nowo zwerbowanych, a my na dobre tu pozostaniemy? Podobne przyciąga podobne. Możemy przeciągnąć na naszą stronę tych, którzy odpowiedzieli na wasze wezwanie. Czy nie zepsuje wam to planów i zamierzeń?

Nie wiedziałam, które z tych gróźb były realne. Ale Melusa pewnie też nie wiedziała. Jednakże poddała nas jeszcze jednej próbie. Tym razem wyciągnęła ramiona do Bartare i zawołała łagodnym i pełnym czaru głosem:

- Bartare, chodź do mnie!

Dziewczynka dobyła z siebie resztkę sił, rzucając się na niewidzialną barierę, dopóki nie osunęła się na ziemię, wciąż słabo uderzając w przeszkodę posiniaczonymi rękami. Jednak ściana nadal tam była. Wreszcie Melusa opuściła ramiona i zwróciła się do Kosgro:

- Jeśli bariera powstrzymuje Bartare, oznacza to, że dziewczynka jest dla nas bezużyteczna. Wydaje się, że w jakiś sposób przekupiliście ją. Dlatego też należy teraz do was. Prosiłście o wrota - doskonale, będziecie je mieli...

- Nie. - Kosgro przerwał jej stanowczym tonem. - Nie prosiłem o jakies wrota. Prosiłem o nasze wrota - te, którymi wszedłem tutaj ja, i te, przez które przeszli pozostali. Nie chcemy znaleźć się na jakimś kolejnym obcym świecie, lecz na naszych własnych światach, skąd zostaliśmy tutaj ściągnięci.

W jaki sposób mógł ją do tego zmusić? Wyglądało na to, iż nawet teraz groziło nam, że zostaniemy oszukani. Zastanowiłam się, jakie środki bezpieczeństwa mogliśmy zastosować, by uchronić się przed zdradą.

- Wasze własne wrota? Doskonale. - Ów cień uśmiechu, którego tak nie lubiłam, stał się wyraźniejszy, co jeszcze mniej mi się podobało, bowiem przydawał jej pięknu złowróżbnej aury. - Otrzymasz to, o co prosisz, choć może się okazać, że niewiele na tym skorzystasz, i że nawet bycie Pomiędzy stanowiło lepszy los.

- Przysięgniesz na Siedem Imion - na Archerona, na Balafinara, na...

Na jej twarzy odmalowała się groza. Uniosła rękę, jak gdyby chciała rzucić jakiś, zły urok.

- Nie kalaj tych mocy swoim plugawym językiem! Jesteś samym brudem, ohydą, czymś gorszym niż nic! Tacy jak ty nie mają prawa odwoływać się do nich! Sprofanowałeś wielkie moce i zasłużyłeś...

Przerwał jej, unosząc gałąź.

- Jestem brudem, ohydą, i mimo to nie boję się wymienić tych przeklętych imion? Czyniąc to, nie zostałem ani zniszczony, ani upokorzony, ponieważ mam coś, co posiada większą moc. Poznałem niektóre z waszych tajemnic, Meluso. I dzięki nim wiem, co zrobić, by zmusić cię do spełnienia moich rozkazów. Przeto mówię ci: przysięgnij na te imiona, że umożliwisz nam powrót do naszych macierzystych światów.

Opanowała się już, lecz nienawiść płonęła czerwienią w jej oczach.

- Nie potrafię sprawić, byście znaleźli się z powrotem w tych światach. Mogę tylko otworzyć wrota. Przejdźcie przez nie należy do was.

- Niech tak będzie. Lecz najpierw przysięgnij.

I przysięgła. Choć wypowiedane przez nią imiona brzmiały dla mnie niewyraźnie, wydawało się, że Kosgrojest zadowolony. Kiedy skończyła, skinął głową.

- Doskonale. A teraz wrota, Meluso.

Wyciągnęłam rękę do Oomarka. Ujął ją i ścisnął mocno. Potem podeszłam do Bartare. Próbowwała odsunąć się ode mnie, ale była tak wyczerpana, że nie miała sił, by mi się wyrwać. Chciałam, aby nasza trójka razem wróciła do świata, do którego należeliśmy.

Potem spojrzałam na Kosgro. Teraz, kiedy nadszedł czas rozstania, czułam się oszołomiona i nieszczęśliwa. Tyle jeszcze chciałam powiedzieć, lecz nie było już na to czasu. Nagle uświadomiłam sobie, że nie chcę odchodzić bez niego. Jednak on właśnie o to prosił i musiałam pogodzić się z jego wyborem.

Kosgro wciąż obserwował Melusę.

- Jesteśmy gotowi, Pani.

- Idźcie więc i przyjmijcie ze spokojem to, co was spotka! - zawołała. Tupnęła nogą. Darń pękła i błyskawicznie powiększająca się szczelina jak gdyby rozdarła kopiec, tworząc ciemny łuk bramy.

- W drogę! - powiedział Kosgro, a ja pomyślałam, że słyszę to po raz ostatni. Pomaszerował w ciemność. Niechętnie podążyłam za nim, ciągnąc za sobą dzieci.

## Rozdział siedemnasty

Ogarnęła nas ciemność, która była również ruchem. Wydawało mi się, że wiruję to w tę, to w tamtą stronę. Przestałam czuć własne ciało, nie wiedziałam, czy wciąż trzymam dzieci, czy może stałam się źdźbłem trawy unoszonym przez jakiś huragan. Potem mrok znieruchomiał, a mnie ogarnął spokój.

To zadowolenie nie trwało długo. Coś mi dokuczało, ponagłając do wysiłku. Nie mogłam się, przed tym uwolnić, więc otworzyłam oczy.

Nie otaczała mnie już ciemność. Czułam na sobie ciepłe, gorące promienie słońca, płonącego tak jasno, że zaczęłam mrugać na wpół oślepią. Ujrzałam zwykle, normalne słońce, którego tak mi brakowało w tamtym świecie wiecznej mgły.

Usiadłam i rozejrzałam się wokół, by się upewnić, że znalazłam się w miejscu podobnym do tego, w jakim się urodziłam. Zobaczyłam łąkę piasku, na której leżałam, a dalej czerwone skały przemieszane z szarymi. Ich widok poruszył wspomnienia, poczułam ukłucie strachu. Czerwone skały?... Miałam powody, żeby się ich bać.

Nie dalej niż na wyciągnięcie ręki leżało małe ciało. Miało na sobie tylko strzępy spodni, ale to był człowiek! Żadnych rogów na czole, a nagie stopy nie wyglądały jak kopyta! Odetchnęłam z ulgą. Oomark stał się znowu zwykłym chłopcem, a nie odmieńcem, jakim uczynił go tamten świat.

Oomark... A gdzie była Bartare? Czyżby umknęła mi podczas przejścia i pozostała w zielonej kramie? Rozejrzałam się wokół. Nie leżała tam, z chudymi, bladymi nogami i ramionami rozrzuconymi tak, jakby nie upadła łagodnie, lecz została niedbale upuszczona; zabawka, którą jakieś olbrzymie dziecko nie chciało się już więcej bawić.

To do niej podpełzłam najpierw, przewracając ją na plecy i biorąc na ręce. W tych pierwszych chwilach ogarnął mnie strach, że nie śpi, że już opuściła nas na zawsze. Powieki miała mocno zaciśnięte pod czarną krechę brwi, twarz bladą, jak gdyby przeszła jakąś długą i wyniszczającą chorobę. Oddychała jednak równo i lekko, jak człowiek pogrążony w normalnym śnie.

- Bartare! - zawołałam cicho, układając jej głowę na moim ramieniu. - Bartare!

Poruszyła się. Z jej ust wydobyły się słowa zbyt ciche, bym mogła je usłyszeć. Wreszcie uniosła powieki i spojrzała prosto w moją twarz. W pierwszej chwili nie

dostrzegłam w tych oczach zrozumienia, tylko oszołomienie. Potem wróciła pamięć, na jej twarzy pojawił się bowiem wyraz takiego osamotnienia, jakiego -jak sądziłam- żadne dziecko nie mogło odczuwać. Później zaczęła płakać. Nie było to jednak głośne, buntownicze łkanie, lecz cichy płacz wyrażający głęboki smutek. Łzy spływały jej po policzkach, usta poruszały się, jednak nie wydostawał się z nich żaden dźwięk. Ten widok wzbudził we mnie współczucie. Przytuliłam ją mocniej, kołysząc i nując coś z ustami zanurzonymi w potarganych włosach, starając się dać jej tyle pociechy, ile mogła ode mnie przyjąć.

- Kilda?

Oomark usiadł i spojrzał na nas. Na jego twarzy malował się strach. Popęznął przez piasek i kamienie do mego boku, a potem objął mnie i swoją siostrę, wtulając się w nas mocno. Pewnie byliśmy dla niego jednym bezpiecznym miejscem w całym wrogim świecie. Uniosłam ramię i objęłam go również, tuląc do siebie oboje.

- Wszystko w porządku - powtarzałam bez końca, jakbym recytowała jakiś wiersz. - Wszystko w porządku. Wróciliśmy.

Byliśmy w miejscu, gdzie zaczęła się nasza przygoda, w korycie wyschniętej rzeki, usłanym śpiewającymi skałami, które otworzyły wrota do innego świata. Jak długo nas nie było? Zupełnie straciłam poczucie czasu. Mogłam tylko przypuszczać, że to kwestia dni, i że z pewnością szukano nas. Najpewniej szukający wciąż znajdowali się gdzieś w okolicy i mogłabym ich odnaleźć. Całe ciało bolało mnie ze zmęczenia, jakiego nie doświadczyłam nigdy przedtem. Spojrzałam na stopy, obute w prymitywne sandały... Gałązka... Dopiero teraz przypomniałam sobie o gałązce notusa i sięgnęłam do pasa, gdzie ją wsadziłam, zanim podałam ręce dzieciom pod kopcem oznaczonym symbolem. Lecz gałązka zniknęła. Stwierdziłam też, że moje stopy są takie same jak dawniej, mają normalne palce. Zatem znowu byłam w pełni człowiekiem, tak samo jak Oomark.

- Jestem głodny, zimno mi. Chcę wracać do domu! - zapłakał Oomark.

- Wrócimy, och, wrócimy. Bartare, kochanie, jak myślisz, zdołasz utrzymać się na nogach? Gdybyśmy dotarli do stacji strażników, szybko znaleźlibyśmy się w domu.

- Ja byłam w domu... Zabrałaś mnie stamtąd.

Jej głos był cichy, załamany, żalony. Zaczęła odsuwać się ode mnie.

- Chcę do domu! Zaraz! Proszę, Kildo, ja chcę do domu!

Oomark wstał i pociągnął mnie za rękę.

Podniosłam się, badając wzrokiem dolinę i niebo nad nią, w nadziei, że



dostrzegę tych, którzy nas szukają, co zaoszczędziłoby nam pieszej wędrówki do stacji. Moje ciało sprzeciwiało się bowiem każdemu ruchowi, jak po jakimś ciężkim wysiłku.

Nikogo jednak nie wypatrzyłam. Tak jakbyśmy znaleźli się na nie zamieszkanym świecie. Kosgro... Na jakiej planecie się ocknął? Czy wrócił do swego statku i poleciał ku nowym odkryciom, traktując przejścia w zasnutej mgłą krainie jako kolejny incydent w swym pełnym przygód życiu? Czy będzie próbował za pomocą jakiegoś oficjalnego kanału odszukać nas i dowiedzieć się, co się z nami stało? I czyja mogłabym zrobić to samo, jeśli chodzi o niego? Ale odsunęłam od siebie tę myśl. Teraz najważniejszy stał się powrót do stacji, a potem do Tamlinu.

Bartare nie protestowała. Wydawała się pogodzona z myślą, że nigdy już nie wróci do tamtego świata. Mimo to jej cichy, żałosny płacz nie ustawał. Co jakiś czas przykładła rękę do policzków, ocierając łzy.

Wdrapaliśmy się na szczyt urwiska będącego brzegiem dawno wyschniętej rzeki, kiedy uświadomiłam sobie, że powrót do stacji okaże się zapewne trudniejszy niż przypuszczałam. Moje ciało opierało się każdemu nowemu wysiłkowi, jakiego od niego wymagałam, a dzieci wciąż zostawały z tyłu. Nie miałam sił, żeby je nieść. Oparliśmy się o jakieś skały, żeby odpocząć, ja zaś kolejny raz przebiegłam wzrokiem po niebie i okolicy, szukając śladu życia.

- Kildo! Tam ktoś się zbliża! - zawołał Oomark, pokazując nie na niebo, lecz na gęszcz porzucanych skał. To nie był szukający nas strażnik. Zbliżała się do nas jakaś postać, przystając często, z jedną lub drugą ręką opartą na najbliższym głazie; najwidoczniej potrzebowała wsparcia. Zaczęłam machać rękami i krzyknęłam:

- Tutaj! Tutaj jesteśmy!

Zobaczyłam, jak ten ktoś potwierdził gestem, że mnie usłyszał, a potem skierował się wolno w naszą stronę. Musiał być chory lub ranny, skoro dotarcie do nas wymagało takiego wysiłku.

Kiedy zbliżył się, zobaczyłam, że jest to młody mężczyzna, i że nie ma na sobie munduru strażnika. Odziany był w postrzępione resztki spodni, a pierś opasywał bandaż. Skórę rąk i twarzy miał spaloną na brąz, jak ludzie, którzy często przebywają na pokładach statków kosmicznych, ale mniej wyeksponowane części ciała były kremowobiałe. Nie nosił brody. Ciemnorude włosy miał przycięte bardzo krótko, jak ściernisko pokrywające czaszkę. Z twarzy, zapadniętej i wynędzniałej, sterczały kości, opięte ciemnobrunatną skórą. Najwyraźniej nie był w lepszym stanie niż my.

Moją uwagę skupiły bandaże - stałam bez ruchu, ledwie oddychając. Czy to możliwe?... Przecież Melusa przysięgła, że umożliwi nam powrót do naszych własnych światów. Skąd tutaj wzięłby się Kosgro? Wylądował gdzieś na nie zamieszkanym planecie, a potem przez przypadek przeszedł przez wrota. A tu był Dylan, świat znany i zamieszkały od ponad stu lat.

Zrobiłam krok czy dwa w jego stronę i zapytałam:

- Jorth Kosgro?

Przystanął, lewą ręką trzymając się skały, a prawą przecierając oczy, jak gdyby wątpił w to, co widzi.

- Złamała jednak przysięgę - powiedział. - Posłała was za mną.

- Nie! Stało się właśnie na odwrót! - Choć Melusa, rozmyślnie czy nie, zdradziła go, cieszyłam się z tego, mimo iż wiedziałam, co to dla mnie znaczy. - Znajdujesz się na Dylanie, posłała cię razem z nami! Wytrzeszczył na mnie oczy.

- To jest - powiedział wolno, starannie oddzielając słowa, tak jakbym to zrobiła, gdybym starała się zwrócić na coś uwagę roztrzępanego dziecka - planeta, na której wylądowałem. Nie ma jej na żadnej z map. Ja ją odkryłem.

- To jest Dylan! - sprzeciwiłam się. - A to droga, którą przyszlismy...

Machnęłam ręką w stronę niewidocznej stacji. - Tuż za tymi grzbietami jest stacja strażników leśnych. Teraz powinni być gdzieś tutaj, szukając nas. Stąd już tylko krótki lot śmigaczem do Tamlinu, portu kosmicznego.

Spoczywającą na skale dłoń zwinął w pięść, i walnął nią w głaz.

- Mówię ci, wylądowałem na nieznanym świecie. Nie przesłałem jeszcze raportu... Mogę zaprowadzić cię do mojego statku... Udowodnię to...

Bredzi w malignie, oczywiście, wszystko z powodu tej rany, pomyślałam. Przyjrzałam się bandażom, które zakładałam. Nie zauważyłam na nich świeżych plam. Nawet jeśli rana się nie otworzyła, to i tak musiał być skrajnie wyczerpany. Mieliśmy bardzo mało jedzenia. I im szybciej znajdziemy się w stacji, tym szybciej otrzyma właściwą opiekę.

- Chodźmy! - Oomark podbiegł do Kosgro i chwycił go za rękę. - Proszę, jesteśmy tacy głodni. Do stacji nie jest daleko, naprawdę. A tam dadzą nam coś do jedzenia.

Kosgro spojrział na drobną twarz chłopca.

- Gdzie to jest? - zapytał takim tonem, jak gdyby uważał odpowiedź za niezmiernie ważną.

- Cóż, nie wiem dokładnie gdzie - zaczął Oomark ku mojemu przerażeniu. Jego wahanie mogło tylko utwierdzić Kosgro w złudnym przeświadczeniu, że ma rację. - Ale nie jesteśmy zbyt daleko od Doliny Lugraanów i parkingu śmigaczy. Gentlehomo Largrace zabrał naszą klasę na wycieczkę. Kilda i Bartare przyjechały razem z innymi rodzinami na piknik. Mieliśmy obserwować ługraany i napisać o tym raport. Strażnicy powiedzieli nam, żebyśmy trzymali się razem i nie oddalali się. Założę się, że będą okropnie źli, kiedy nas znajdą. Kilda, czy będą aż tak wściekli, że powiedzą wszystko komendantowi i każą mu ukarać nas?

Oomark wyglądał na zaleknionego tym, co może go spotkać.

- Myślę, że kiedy komendant Piscov usłyszy całą historię, zrozumie nas - zapewniłam go pospiesznie.

Kosgro przenosił wzrok ze mnie na Oomarka i z powrotem. Na jego ciemnej twarzy malował się wyraz oszołomienia. Lecz kiedy Oomark znowu pociągnął go za rękę, ruszył za nim.

- Chcę zobaczyć tę stację strażników, ten parking śmigaczy. Pokażcie mi to!

Poruszaliśmy się bardzo wolno po nierównym podłożu. Byłam zaniepokojona, i to bardzo. Fakt, że nie natknęliśmy się na szukających nas, nie dawał mi spokoju. Strażnicy musieli mieć w jednym z wyżej położonych miejsc jakiś punkt obserwacyjny, wyposażony w teleskopy, dla kontroli patrolowanego obszaru. Jednak, z wyjątkiem paru latających stworzeń, nie napotkaliśmy nikogo, i ten świat wydawał się być nie zamieszkały przez ludzi, tak jak utrzymywał to Kosgro.

Ze szczytu zbrocza, na które weszliśmy, spojrzeliśmy w dół na drogę wiodącą od skalnych występów nad Doliną Lugraanów do parkingu śmigaczy. Widok tej noszącej ślady częstego używania drogi z pewnością od razu przekona Kosgro, pomyślałam.

Nie dostrzeżliśmy tam jednak niczego poza paroma znakami wskazującymi na to, że ongi rzeczywiście biegła tamtędy droga. Nie pomyliłam się - to było miejsce, gdzie Bartare i jej brat odłączyli się od grupy. Ja też ruszyłam stamtąd za nimi. Niedaleko stąd, na skale, zostawiłam rejestrator Lazka Volka. Ale nie tylko zniknęło jego pudło; skały - gdy rozejrzałam się za nią - również nie było.

- Kildo, gdzie jest droga? Co stało się z drogą? - zawołał Oomark.

- Właśnie, gdzie jest droga? - zapytał triumfująco Kosgro, jak gdyby właśnie dowiedział, że to on miał rację. Ale ja zaobserwowałam zbyt wiele śladów, bym mogła to potraktować jako pomyłkę. I jeśli patrzyło się wystarczająco uważnie, można było

zobaczyć pozostałości po drodze.

- Droga biegła tamtędy. Wciąż jest częściowo widoczna! Tam! Tam! Tam!

Dźgałam palcem, wskazując właściwe miejsca. Nadal nie mogłam pogodzić się z tym, że dobrze oznaczona droga zmieniła się w coś takiego.

- Chcę wrócić do domu, proszę, Kildo!

W głosie Oomarka brzmiał strach.

- Zejdziemy do lądowiska śmigaczy. - Wzięłam go za rękę. Tędy.

Śmiało zsunęłam się ku tej ledwie widocznej, wykutej w skale drodze, która powinna doprowadzić nas do cywilizacji. Już niedaleko. .. jeszcze tylko dwa zakręty...

Bolały mnie stopy. Kamienie, tak odmienne od miękkiej darni szarego świata, raziły mi nogi przez cienkie sandały. Kuśtykałam jednak dalej.

Lądowisko śmigaczy - tak, znowu tylko szczątki! Żaden pojazd nie stał na spękanej płaszczyźnie; krawędź ziała szczerbami tam, gdzie oberwały się jej fragmenty. Lądowisko nie było używane, nie widziałam też śladów wskazujących na to, że próbowano je naprawiać. Jak mogło do tego dojść w ciągu zaledwie kilku dni? Wszystko sprawiało wrażenie, jak gdyby od lat nikt tutaj nie przebywał.

Ze stacji strażników zostały tylko mury. Dach zapadł się do środka. Budynek najwyraźniej opuszczono, i to już dawno temu. Zdaje się, że krzyknęłam, nie mogąc w to uwierzyć, a równocześnie miałam świadomość, że to nie sen. Było to tak realne, jak owiewający mnie wiatr, jak kamienie ocierające mi stopy.

Ciepła dłoń wsunęła się pod mój łokieć, żeby mnie podtrzymać. Chwycałam Jortha Kosgro, przywarłam do niego, tak jak Oomark i Bartare tulili się do mnie.

- Proszę! - Mój głos też brzmiał cicho i lękliwie. - Och, co tu się stało? To... to było lądowisko, a to stacja. Pamiętam przecież dokładnie!

- Istnieje tylko jedno wyjaśnienie. Trudno mi w nie uwierzyć, ale masz rację. Kiedyś było tu dokładnie tak, jak mówisz.

- Zatem co się stało, co zaszło, że wszystko się zmieniło? Nasza nieobecność trwała najwyżej kilka dni...

Czułam jego rękę na moich barkach i bliskość tego ciepła i siły działała na mnie uspokajająco. Zadrzałam mimowolnie i odniosłam wrażenie, że już nigdy nie zdołam się rozgrzać.

- Istnieją pewne opowieści ze starej Terry, mówiące o podrzutkach i świecie Ludu. Nie zastanawiałem się nad nimi przedtem. Teraz wydaje mi się, że to musi być

prawda...

- Co... co masz na myśli?

- To, że część z tych, którzy odeszli lub zostali ściągnięci do szarej krainy, wróciła po jakimś czasie. Czas ten wydawał im się dniem, miesiącem albo rokiem. Lecz kiedy znowu znaleźli się u siebie, odkrywali, że minęły całe lata lub stulecia...

- Nie!

Wydało mi się to zupełnie bezsensowne. Zamknęłam oczy, by odciąć się od otaczającego mnie obrazu spustoszenia, by nie myśleć, że to rzeczywiście dzieło czasu, i że straciliśmy całe lata, kiedy nas nie było.

Potem Kosgro odsunął mnie od siebie, opierając ciężko ręce na moich barkach. Potrząsnął mną lekko, jak gdyby chcąc przywołać całą moją uwagę, tak że musiałam w końcu otworzyć oczy i odwzajemnić jego przenikliwe, badawcze spojrzenie.

- Kildo, powiedz mi, kiedy znalazłaś się w szarym świecie, według czasu galaktycznego, nie planetarnego?

- To był... to był 2422 rok po Odlocie...

- 2422 rok - powtórzył. - Posłuchaj mnie, Kildo: ja wylądowałam tutaj w 2301 roku po Odlocie.

- Sto dwadzieścia jeden lat wcześniej! Nie wierzę w to! Chciałam temu zaprzeczyć! Jednak wszystko, co widziałam wokół siebie, potwierdzało, że to on ma rację. Spojrzałam z lękiem w jego oczy. - Co teraz będzie? Ile czasu minęło?

- Tutaj się tego nie dowiemy, to pewne. Musimy znaleźć jakąś osadę.

Tu w okolicy nie ma żadnych. - Przesunęłam językiem po wargach, które nagle zrobiły się zupełnie suche. - Dzieli nas od Tamlinu daleka droga, jak dotrzemy tam bez śmigacza?

- Musimy odnaleźć mój statek - odparł. - Szperacz Zwiadu nawet po stu dwudziestu jeden latach na pewno okaże się sprawny. Chodźmy.

Przystałam na to całkiem chętnie. Im krócej będę oglądała to miejsce, tym dla mnie lepiej, dopóki nie zdołam przywyknąć do myśli, że czas jest naszym wrogiem. Mimo wszystko widziałam też Kosgro jako młodego mężczyznę, znużonego i wyczerpanego, owszem - ale jednak młodego. I dzieci, które wyglądały tak jak wówczas, kiedy przechodziliśmy przez wrota. Moja skóra zaś była gładka, bez śladu zmarszczek. Dotknęłam twarzy opuszkami palców. Nie mogłam być zupełnie pewna, lecz wydawała się równie gładka i jędrna jak dłonie i ramiona.

- Dokąd idziemy?

- Z powrotem...

- Kildo, gdzie są śmigacze? Dlaczego to wszystko jest połamane? - przerwał mi Oomark. - Chcę wrócić do domu.

Bartare odwróciła się do niego i wybuchnęła:

- Nie ma śmigaczy i miasta pewnie też nie ma! Wszystko, wszystko zniknęło! Chciałeś wracać - i patrz, co się stało!

- Przestań! - Po raz pierwszy od bardzo dawna zwróciłam się do niej ostrym tonem. - Na razie niczego nie jesteśmy pewni, Bartare. Oomark, wrócimy do statku Kosgro. Być może zdoła przetransportować nas na jego pokładzie albo na swoim zwiadowczym śmigaczu, z powrotem do Tamlinu.

Lecz choć maszerowaliśmy szybciej, gnani chęcią dotarcia do statku, nie znaleźliśmy go. Kiedy wyszliśmy na otwartą równinę, Kosgro zatrzymał się nagle, rozglądając się wokół, najwyraźniej w poszukiwaniu znaków orientacyjnych. Potem odwrócił się do mnie i gdy przemówił, jego głos był stłumiony i wyprany z wszelkich emocji.

- Nie ma go.

- Wiem. Stoi w parku muzeum w Tamlinie.

Oboje spojrzeliśmy na Oomarka.

- Co? Skąd wiesz?

Nasze pytania zabrzmiały jednocześnie.

- Stąd, że kiedy przylecieliśmy tutaj z klasą na wycieczkę, Gentlehomo Largrace pokazał nam to miejsce i opowiedział o tajemniczym pojeździe kosmicznym. Gdy przybyli pierwsi kolonizatorzy, w tym właśnie miejscu znaleźli statek zwiadowczy. Musiał tu tkwić bardzo długo, ponieważ od dawna już nie używano pojazdów tego typu. Nie dowiedziano się o nim niczego - włazy były zamknięte. W końcu został przewieziony do miasta, do muzeum. Gentlehomo Largrace obiecał, że go nam pokaże podczas następnej wycieczki.

- Statek jest w mieście, więc musimy się tam dostać.

- Ale jak? Brakuje nam jedzenia, a od najbliższej farmy dzieli nas długa wędrówka przez dzikie tereny. Jeśli w ogóle są tu jeszcze jakieś farmy...

- Czy mamy jakiś wybór? - zapytał, i w duchu przyznałam mu rację. Nie mieliśmy żadnego - oprócz tego, że mogliśmy umrzeć tam, gdzie staliśmy. Ale, choć tak bardzo byliśmy zmęczeni, taki koniec wcale nam się nie uśmiechał.

Nic, czego doświadczyliśmy w zasnutym mgłą świecie, nie dało się porównać z tą koszmarną wędrówką. Nie groziły nam potwory wychylające się z mgły; nie one wciąż nam towarzyszyły, lecz głód. Kosgro wykorzystywał to, czego nauczył się w szkole przetrwania, i tylko dzięki temu zdołaliśmy przeżyć.

Żywiliśmy się mięsem zwierząt, które złapał w sidła lub powalił celnie rzuconym kamieniem albo uderzeniem maczugi. Walczył ze zwierzętami i ptakami o wpół zeschnięte jagody. Resztki naszych ubrań wystrzępiły się tak, że nas już nie okrywały, więc zastąpiliśmy je nietrwałymi strojami uplecionymi z trawy i trzciny. Stopy pokryły się ranami, a potem z wolna twardniały, a my traciliśmy poczucie czasu; jego upływ wyznaczały dni, mijające od chwili, kiedy odnaleźliśmy zrujnowaną stację strażników.

Przez cały ten czas nie widzieliśmy ani jednego śmigacza, żadnego dowodu, że istoty naszego gatunku wciąż przebywają na tym świecie. Bałam się myśleć o tym, co mogło się wydarzyć. Na Dylanie, kiedy tam byłam, obserwowano niewielki, lecz stały napływ imigrantów. Każdego roku obszar plantacji i pastwisk się zwiększał. Podczas wędrówki kilka razy widzieliśmy zwierzęta hodowlane, ale szybko nauczyliśmy się ich unikać. Zupełnie zdziczały, stały się mniejsze, wychudzone, zwinne i niezmiernie czujne, jak gdyby rozumiały, że muszą się bronić, aby przeżyć.

Dwudziestego dnia naszej wędrówki natknęliśmy się na pierwszy znak świadczący o tym, że człowiek podporządkował sobie kiedyś część tej krainy. Splątane winoroślą oplatały wzgórza, a ich owoców, zdziesiątkowanych przez ptaki i owady, zwisających w suchych i skurczonych kiściach, najwyraźniej nigdy nie zbierano. Zrywaliśmy te pomarszczone kulki i jedliśmy. Były o wiele mniejsze i nie tak słodkie jak te, które pamiętałam, lecz nadawały się do jedzenia, i nie tylko zaspokoiliły głód, ale zabraliśmy też trochę z sobą w torbach zrobionych z liści spiętych cierniami.

Winoroślą obrosły i na wpół pogrzebały budynki. Ściany były tak oplątane i pokryte łodygami, że nawet nie próbowaliśmy dostać się do środka. Nie ulegało wątpliwości, że nie pozostało tam nic, co mogłoby się nam przydać.

Mimo tego dowodu upadku cywilizacji na Dylanie, wciąż tkwiła we mnie nadzieja, że znajdziemy miasto, port kosmiczny. Gdyby udało nam się tam dotrzeć, spotkalibyśmy ludzi - jeśli nawet nie tych, których zostawiliśmy - jak dawno temu? - to jednak mimo wszystko ludzi.

Dziwne, lecz im dłużej wędrowaliśmy, tym bardziej Bartare stawała się

normalnym, ludzkim dzieckiem, tracąc to, co przyniosła ze sobą z szarego świata. Choć Oomark na początku zadawał kłopotliwe pytania, w końcu i on zaakceptował zaistniałą sytuację. Pomyślałam, że oni oboje, tak młodzi, łatwiej zdołali się przystosować niż Kosgro i ja. Dla mnie był to nie kończący się koszmar i wciąż próbowałam się z niego przebudzić.

Na szczęście dla nas obojga (choć Kosgro dzięki swemu przeszkoleniu był lepiej przygotowany na spotkanie różnych dziwnych przypadków losu) samo utrzymywanie się przy życiu, wędrówka i opiekowanie się dziećmi dostatecznie wypełniały nam dni. Ale niemal się załamałam, kiedy minęliśmy inne zrujnowane i zarośnięte farmy i znaleźliśmy się na przedmieściach Tamlinu.

Tutaj zdziczała ogrodowa roślinność nie dokonała jeszcze tak wielkiego spustoszenia. Domy stały nietknięte, choć tu i tam brakowało dachu; widać też było inne ślady spowodowane zaniedbaniem i opuszczeniem. Odnosiło się wrażenie, że na skutek jakiegoś zbiegu okoliczności lub nieszczęścia Dylan został wydany na pastwę ciszy i pustki. Odnaleźliśmy dom, z którego wyruszyliśmy do doliny. Weszłam na dziedziniec i zobaczyłam zamknięte drzwi. Zawołałam niepewnie. I tak jak się spodziewałam, nie usłyszałam żadnej odpowiedzi. Mimo to otworzyłam drzwi pokoju Guski. Był pusty, brakowało nawet mebli.

- Kildo... wszystko zniknęło... moje rzeczy... moja muszla... wszystko!

Wszystko zniknęło!

Oomark wybiegł z pokoju, który kiedyś zajmował. Bartare nawet nie podeszła do swoich drzwi. Stała przy wyschniętej sadzawce.

- Oczywiście! - W jej głosie zabrzmiało dawne zniecierpliwienie. - Wszystko zniknęło, już dawno temu!

Znaczenie tego, co widzieliśmy, chyba nie dotarło jeszcze do Oomarka, aż do tej chwili. Chłopiec nagle zbladł jak papier. Potem podszedł do Kosgro i zapytał drżącym głosem:

- Zatem to prawda, że nie było nas długo, bardzo długo?

Kosgro nie próbował go uspokoić. Zamiast tego odpowiedział tak, jakby Oomark w okamgnieniu wydoroślał.

- To prawda, Oomark.

- Chciałbym... chciałbym, żeby zostawili mi chociaż muszlę powiedział chłopiec. - Należała do mojego ojca, kiedy był mały. Pragnął, żebym zachował ją na pamiątkę. Ruszył do bramy, a potem odwrócił się i zapytał:



- Jeśli nikogo tu nie ma, to co teraz zrobimy?

- Nie byliśmy jeszcze w porcie. Jeżeli ktokolwiek tutaj został, to tam powinniśmy go - albo ich - znaleźć.

Nie weszliśmy do żadnego innego domu. Pospieszyliśmy ulicami miasta. Nie spotkaliśmy niczego z wyjątkiem milczących ruin.

I tak dotarliśmy do płyty lądowiska. Ziała pustką. Zresztą nawet nie spodziewaliśmy się, że zobaczymy tam jakieś statki. Płytę znaczyły ślady wypalone przez lądujące rakiety, ale takie blizny powstające przy hamowaniu nie znikają przez całe lata.

- Wieża kapitanatu - rzekł Kosgro jak gdyby do siebie i ruszył zdecydowanym krokiem przez skraj spalonej płyty do tego budynku, który był sercem czynnego portu, wypełnionym komputerami i środkami łączności. Jeśli rzeczywiście zostaliśmy tutaj sami - moje serce zabiło gwałtownie - to może udałoby nam się wezwać pomoc z gwiazd, o ile łączność wciąż działa.

Przyspieszyłam, a dzieci zaczęły biec, żeby zrównać się z Kosgro, który ruszył wyciągniętym krokiem. Dotarliśmy do głównych drzwi wieży i okazało się, że są zamknięte. Ale mechanizm otwierający wciąż działał i rozsunął je przed nami.

- Jest tu ktoś? - zawołał Kosgro, a jego głos odbił się w wieży grzmiącym echem.

## Rozdział osiemnasty

Za moment pomyślałam, że wołałabym, by tego nie zrobił, bowiem jego głos wzbudził głucho echa i wrócił do nas przekształcony w niesamowity jęk. Nie spodziewałam się żadnej odpowiedzi, aż podskoczyłam więc, kiedy znikąd rozległy się słowa wypowiedziane władcym tonem:

- Kto tam?

Przez chwilę prawie uwierzyłam, że znaleźliśmy się z powrotem w szarym świecie, gdzie takie zdarzenia nie były niczym nadzwyczajnym.

- Zwiadowca Kosgro i jego ludzie - odparł mój towarzysz. Potem podszedł do jednego z ekranów systemu łączności wewnętrznej i przebiegł palcami po klawiaturze, żebyśmy ukazali się na wszystkich działających ekranach w budynku.

Usłyszałam stłumiony okrzyk, a potem słowa:

- Mostek kontroli lotów. Skorzystajcie z eskalatora i wjedźcie na górę.

Ściana na prawo od nas rozsunała się, ukazując otwarty szyb. Weszliśmy do środka, zostaliśmy złapani przez snop energii i wyniesieni na górę. Żelazna ręka, ściskająca moje wnętrze, rozluźniła się. Nie byliśmy więc sami na Dylanie! Cokolwiek wydarzyło się na tej planecie od czasu, kiedy wyruszyliśmy na nieszczęsną wyprawę do doliny, z pewnością nosiło znamiona katastrofy, ale przynajmniej nie oznaczało końca naszego gatunku.

Dotarliśmy na mostek wieży. Gdy drzwi szybu się rozsunały, ujrzeliśmy trzech oczekujących na nas mężczyzn. Nie zobaczyłam wśród nich znajomych twarzy. Zrozumiałam, jak niemądra była moja nadzieja na spotkanie komendanta Piscova, dla którego niezbitym dowodem na prawdziwość naszej opowieści stałby się fakt, że nas tutaj widzi.

Ci trzej wyglądali staro i każdy miał na sobie połatany i wytarty mundur. Dwóch należało do planetarnej milicji, trzeci był strażnikiem. Trzymali odbezpieczone lasery; wsunęli je do otwartych kabur przy pasie, kiedy weszliśmy na mostek.

- Kim jesteście? - zapytał ten, który wyglądał na dowódcę.

- Pierwszy Zwiadowca Jorth Kosgro, Kilda c'Rhyn, Bartare i Oomark Zobak - odpowiedział za nas wszystkich Kosgro.

- Wasz statek... gdzie się rozbił? - Strażnik wysunął się o krok naprzód. -

Jesteście uchodźcami?

- Z tego, jak wyglądają, wynika, że ledwie uszli z życiem. Oficer machnięciem ręki przywołał strażnika do siebie. - I coś mi się wydaje, że są bardzo głodni. Siadajcie, a ty, Brolster, przynieś coś do zjedzenia.

Zasiedliśmy na miejscach tych, którzy kontrolowali przylatujące i odlatujące statki kosmiczne, spożywając strawę, o której istnieniu niemal zapomniałam. Cokolwiek się tutaj stało, wciąż mieli samopodgrzewające się pojemniki pełne jedzenia, jakim należy rozkoszować się wolno, kęs po kęsie.

Kiedy jednak zaspokoiliam pierwszy głód i rozejrzałam się po pomieszczeniu, zobaczyłam, że nie jest to miejsce, gdzie się pracuje. Wiele urządzeń, okrytych osłonami i zabezpieczonych, wyglądało tak, jak gdyby od dawna były wyłączone. Prawdę mówiąc, tylko wysoki pulpit, gdzie zasiadł mężczyzna, który przedstawił się nam jako dowódca sekcji Weygil, sprawiał wrażenie, że ciągle jest używany.

Jego towarzyszami byli posterunkowy Brolster i strażnik Cury, przyglądający się nam tak, jakby podejrzewał, że przybyliśmy tutaj w jakichś niecnym celach.

- Rozbiliście się, prawda? - zapytał Weygil, kiedy skończyliśmy jeść.

Zanim Kosgro zdążył odpowiedzieć, Oomark wyrwał się naprzód i położył swoją małą, podrapaną i brudną rękę na ramieniu dowódcy sekcji.

- Proszę, powiedz, gdzie są wszyscy? Oni... tu byli... wczoraj... - Obejrzał się na mnie. - Czy rzeczywiście wczoraj, Kildo? Jak długo przebywaliśmy w tamtym miejscu?

- Nie wiem.

Z pewnością wystarczająco długo, by mogło mnie to przerazić, gdybym się nad tym zastanowiła, pomyślałam.

- Co... - przerwał niecierpliwie Cury.

Wówczas Weygil jeszcze raz uniósł rękę.

- Nie teraz! - rozkazał, a potem zwrócił się do Oomarka z łagodnym, zachęcającym uśmiechem. - Ludzie odeszli stąd, synu, większość z nich. Czy miałeś tutaj kogoś, z kim chciałbyś się zobaczyć?

- Matkę... była chora. I Randulfa, i jego poohkiego o imieniu Griffy, i Gentlehomo Largrace'a, i komendanta Piscova...

Przy tym ostatnim nazwisku oczy Weygila zwięzły się i zrozumiałam, że nie jest mu ono obce.

- I spodziewałeś się zastać ich tu?

- Pewnie. Wszyscy byli tutaj, kiedy wyruszyliśmy do doliny. A teraz... nic nie jest takie samo. Nasze rzeczy zniknęły z domu i nawet moja muszla, którą dał mi ojciec - wszystko!

- Komendant Piscov został stąd odwołany czterdzieści lat temu - powiedział cicho posterunkowy. - Jego nazwisko widniało na dokumentach, opieczętowanych przez nas w zeszłym tygodniu. Czterdzieści lat!

- Czy możesz mi podać dokładną datę, kiedy wyruszyliście do doliny? - zapytał Weygil Oomarka.

Oomark zmarszczył brwi i spojrzał na mnie.

- Kildo, kiedy to było?

Nie chciałam im tego mówić, ale nie miałam wyboru.

- Czwarty Adi, 2422 roku po Odlocie.

Wytrzeszczyli na mnie oczy. Zobaczyłam niedowierzanie, a potem podejrzliwość malującą się na dwóch twarzach. Tylko Weygil wydawał się nieporuszony.

- Teraz - powiedział wolno - jest dwudziesty pierwszy Narmi, 2483 roku po Odlocie.

- Nie!

Mój pełen przerażenia okrzyk był chyba tym, co ich przekonało. Ręka Cury'ego dotykała już przycisku na laserze. Ale kiedy usłyszał mój krzyk, cofnął palce. Podejrzewałam to, tylko nie miałam pewności. Ponad pięćdziesiąt lat! Jednak nie czułam się starsza, dzieci nie wyglądały inaczej niż wówczas, kiedy przeszliśmy do szarego świata. Potem przypomniałam sobie - dla Jortha minęło ponad sto osiemdziesiąt lat!

- To jakaś sztuczka! - odezwał się Cury. - To są szpiedzy, wysłani po to, żeby nas podejść!

Wyciągnął laser i wycelował go w Kosgro, prawdopodobnie - uważając zwiadowcę za najbardziej niebezpiecznego z nas wszystkich.

- Słuchaj... - Weygil przypatrywał się nam badawczo, wreszcie odezwał się do Oomarka.

- Chodziłeś tutaj do szkoły?

- Oczywiście - odpowiedział niecierpliwie Oomark. - Byłem w czwartej grupie - z Randulfem, Furwellem i Portusem...

- Z kim jeszcze? - ponaglił go Weygil, kiedy chłopiec umilkł.

- Cóż, Randulf, Furwell i Portus... to moi przyjaciele. Ale było też parę dziewczyn... I jeszcze Buttie Navers i Cleeve. O!... Cleeve nosił takie samo nazwisko jak ty! Cleeve Weygil! Czy to twój syn? Nigdy nie mówił, że jego ojciec jest żołnierzem...

- Bo nie był - odparł wolno dowódca sekcji. - Cleeve Weygil to mój starszy brat.

Oomark potrząsnął głową.

- To niemożliwe. On jest małym chłopcem, jak ja, a ty jesteś stary!

- Nauczono ich jakiejś niesamowitej historii i podstawiono nam! - przerwał znowu Cury. - Prawdopodobnie zostali przysłani, by ustalić namiary dla jakiejś grupy dywersyjnej. Najlepiej zabijmy ich od razu.

- Zamknij się! - Weygil przerwał mu ostrym warknięciem. Oomark Zobak, jego siostra Bartare i Hilda c'Rhyn. - Wskazywał nas po kolei palcem. - Ależ... przypomniałem sobie! Szukali was przez wiele miesięcy i nigdy nie znaleźli nawet śladu. Sprawa upadła dopiero wówczas, kiedy wybuchła wojna. Wtedy nikt już nie miał czasu.

- Jaka wojna?

Opowiedział nam, a jego głos brzmiał tak, jak gdyby przybyło mu lat, kiedy przedstawiał nam fakty. Znało je tylko tych paru, którzy pozostali na Dylanie. Zaczęło się od niespodziewanego ataku obcych statków wymierzonego w nasze zewnętrzne światy. Obcy zostali pokonani w bitwie w pobliżu Nebuli, ale był to tylko początek. Zniszczone siły były jednostkami zwiadowczymi ogromnej armady. Doszło do kolejnych najazdów i ataków. Kiedy wreszcie obcy zostali ostatecznie pobici, cała sekcja galaktyki, ongi cywilizowana, pogrążyła się w chaosie, w którym przeżywali silni, a słabi szybko ginęli. Ustała łączność pomiędzy systemami słonecznymi, nawet pomiędzy poszczególnymi światami. Nieznane choroby, roznoszone celowo czy przez przypadek, zmieniły niektóre planety w kostnice.

W trzecim roku wojny ludność Dylana została pospiesznie ewakuowana z wyjątkiem garnizonu pozostawionego dla ochrony portu. Przez jakiś czas port w Tamlinie służył jako stacja remontowo-kwipażowa dla mniejszych statków kosmicznych. Potem statki przestały przylatywać. Pięć lat temu mały garnizon wysłał swój ostatni pojazd zwiadowczy, by dowiedzieć się, co się stało. Statek ten nigdy nie wrócił. Na szczęście wciąż mieli do dyspozycji ogromne zapasy w magazynach wzniesionych wokół portu.

Farmy i pastwiska szybko zmieniły się w nieużytki. Tych kilka rodzin, które pozostały na Dylanie, wycofało się do dzielnicy portowej, gdzie zamieszkało w budynkach przeznaczonych dla dowództwa wojskowego. Bez przerwy prowadzili nasłuch stacji nadawczych z innych światów, mając nadzieję na uzyskanie jakichś wieści. Tylko że od dawna niczego nie usłyszeli.

- A teraz powiedzcie prawdę - rzekł Cury, gdy Weygil skończył swoją smutną opowieść - skąd przybyliście? Czy jesteście uchodźcami? Czy też dywersantami przysłanymi tutaj, żeby przejąć port?

Bartare podeszła do mnie, jej dłoń wsunęła się w moją. Urok, który dotychczas miał nad nią władzę, zniknął. Potrzebowała tej odrobiny otuchy, jaką mogłam jej dać.

- No dalej! - ponaglił Cury. - Skąd przybyliście? I nie mówcie mi, że żyliście tu przed pięćdziesięciu laty! Jeśli zostaliście przysłani przez jakichś najeźdźców, nie wyjdzie wam to na dobre. Nasze pola ochronne wciąż działają, a my już dopilnujemy, żebyście ich nie wyłączyli!

- Kilda?

Kosgro zwrócił się do mnie. Być może sądził, że uwierzą mi chętniej, choć im dłużej myślałam o naszej historii, tym bardziej wydawała mi się niewiarygodna. Jednak nie miałam nic innego do zaoferowania z wyjątkiem prawdy. I opowiedziałam im ją, ograniczając narrację do samych faktów, które przydarzyły się mnie, Oomarkowi i reszcie naszej małej kompanii. Mimo to opowieść zdawała się trwać bardzo długo i brzmiała niezmiernie dziwnie. Kiedy skończyłam, Weygil odezwał się pierwszy.

- Jeszcze jedno kontinuum czasoprzestrzenne, łączące się co jakiś czas z innymi światami - powiedział.

- Chcesz powiedzieć... że im wierzysz? - zapytał Cury.

- To znana teoria - odparł jego dowódca. - A ta opowieść zgadza się z tym, co słyszałem o zniknięciu tych trojga. - Wskazał dzieci i mnie. - A co z tobą? - zwrócił się do Kosgro. - Kiedy znalazłeś się w tamtym świecie i w jaki sposób?

Jeszcze raz Jorth opowiedział o lądowaniu na planecie w charakterze zwiadowcy, o swym przypadkowym wkroczeniu do szarego świata, oraz o tym, kiedy się to stało.

- 2301 rok! - nie mógł uwierzyć Cury.

- Tak, 2301 -powtórzył Kosgro. - I myślę, że mogę dostarczyć wam dowodu.

Oomark twierdzi, że odkryto tutaj statek zwiadowczy i przewieziono do miejscowego

muzeum. Wszyscy znacie szczególne właściwości takich statków. Są wyposażone w specjalne zamki, otwierające się wyłącznie przed tymi, dla których je założono. Jeśli ten statek wciąż jest tutaj, otworzy się wyłącznie przede mną i przed nikim innym.

Zapomniałam o tych zabezpieczeniach statków zwiadowczych. Nie tylko wyposażono je w osobiste zamki, tak by nikt inny nie mógł do nich wejść i aby w razie potrzeby służyły jako schronienie dla zwiadowcy - ale też ich konstrukcja umożliwia włączenie silników wyłącznie tej jednej jedynej osobie, dla której statek był przeznaczony. W żaden inny sposób Jorth nie mógł dowieść swej tożsamości bardziej jednoznacznie, niż wchodząc do tego statku.

- Muzeum? - powtórzył Weygil, a potem podniecenie zabarwiło jego głos. - Oczywiście, ciągle tam stoi. Nie było powodu, by go przewozić gdzieś indziej.

- Zatem zaprowadźcie nas tam od razu! - ponaglił Kosgro.

- Zostań przy pulpicie łączności - rozkazał Weygil Brolsterowi. Czuwali przy nim dzień i noc z nadzieją, że któregoś dnia jakiś szept z kosmosu powie im, że nie zostali zupełnie zapomniani.

Zjechaliśmy na dół i wyszliśmy na lądowisko osmalone ogniem rakiet. Już od lat nie czuło na sobie ich gorącego oddechu. Nie skierowaliśmy się z powrotem do martwego miasta. Weygil miał zaparkowany w pobliżu naziemny pojazd, i choć był mały, zmieściliśmy się w nim wszyscy. Echa naszego przejazdu roznosiły się głośno, gdy pędziliśmy pustymi ulicami. I coraz mniej i mniej podobał mi się wygląd tych pustych okien, kurzu, zwiędłych liści i śmieci, które wiatr roznosił wokół budynków. Domy były tak solidnie zbudowane, że mogły stać tutaj nie pięćdziesiąt, ale sto lat i więcej - pomnik martwej kolonii. A ile jeszcze światów okrążało słońca, takich, gdzie nie pozostała nawet garstka mieszkańców, mogących przemierzać rozbrzmiewające echemi miasta? Inne musiał spalić atomowy ogień i były teraz niczym innym jak martwym żuzłem. Niektóre zaś zostały nawiedzone przez plagi, a te pozostawiły martwych leżących tam, gdzie upadli. Starłam się nie myśleć o tym.

Koncentrowałam się na fakcie, że jeśli nawet wróciliśmy do świata w znacznej mierze wyludnionego, to mimo wszystko był to świat znany nam, a nie ów szary, zaludniony potworami, który nas więził.

W końcu zatrzymaliśmy się przed jednopiętrowym budynkiem. Wystawał zza niego dziób statku ustawionego na statecznikach, skierowany w niebo, gotów wystrzelić na poszukiwanie swego żywiołu - przestrzeni. Okazał się o wiele mniejszy od liniowca, jaki przywiózł nas na Dylana, mniejszy nawet od średniej wielkości

statku handlowego. Ale był to statek kosmiczny i jego widok budził nadzieję, że rodzaj ludzki nie do końca został wygnany z gwiazd.

Przeszliśmy przez zewnętrzny dziedziniec muzeum, gdzie Weygil przepalił laserem zamki, spiesząc do ogrodzenia, w którym znajdował się statek. Kosgro biegł z przodu i zatrzymał się przed jednym ze stateczników, niewielkim w porównaniu z wyniosłą iglicą, choć sam pojazd mógł wydawać się małym dla kogoś obeznanego z podróży kosmicznymi. Jorth przez chwilę mierzył go wzrokiem. Potem odezwał się, wypowiadając głośno i wolno jakąś formułę. Te słowa nic dla mnie nie znaczyły, wiedziałam jednak, że musi to być zdanie–klucz, zaprogramowane jako sygnał do otwarcia wjazdu.

Tak płynnie, jak gdyby Kosgro opuścił go za ledwie przed godziną, w ścianie statku otworzył się wjazd. Wysunął się z niego ażurowy trap, który zatrzymał się u stóp zwiadowcy, szczęknąwszy na płytach dziedzińca. Kosgro ujął go, chcąc wspiąć się na pokład. W tej właśnie chwili Cury rzucił się na niego, lecz nie powalił go na ziemię, a raczej przycisnął do trapu. Myślę, że tak zaskoczył Jortha swoim atakiem, że ten nawet nie próbował się bronić. Weygil krzyknął.

- Cury! Co robisz? Dowiódł, że mówił prawdę. Z pewnością jest tym, za kogo się podawał. Inaczej statek nie odpowiedziałby na jego wezwanie.

- Nie bądź głupi! - krzyknął Cury. - On jest pilotem. A ten statek może okazać się sprawny. Co będzie, jeśli odleci i zostawi nas, żebyśmy tu zgnili? - Twarz Cury'ego wykrzywiła furia. - Nie pozwolę na to!

Kosgro oprzytomniał i zaczął się bronić. Nie zdołałam zobaczyć, co zrobił mężczyźnie, który przyciskał go do trapu, lecz nagle Cury odsunął się od niego i zatoczył do tyłu. Zwiadowca stanął przed nim, z rękami uniesionymi w zwyczajowym zaproszeniu do walki wręcz. Cury sięgnął po laser, lecz zanim zdążył go wyciągnąć, Kosgro skoczył, zadając kantem dłoni cios w kark przeciwnika. Strażnik osunął się na ziemię tuż przy trapie. Kosgro odwrócił się w stronę Weygila gotów do obrony.

- Nie trzeba. Nie jestem Cury - powiedział Weygil spokojnie. Zabiłeś go?

Kosgro spojrział na niego zaskoczony.

- Nie. Dlaczego miałbym zabijać?

- On by cię zabił.

Dowódca sekcji wyciągnął kłębek sznurka i wykazał niejaką zręczność, związując nim w nadgarstkach ręce Cury'ego.

- Nie tylko Tamlin się zmienił. - Mówiąc to, patrzył gdzieś w przestrzeń. - Jest



nas zbyt mało. Za długo czekaliśmy. Niektórzy potrafią to znieść. Przystosowaliśmy się dawno temu. Inni, z powodu swego temperamentu, nie mogą pogodzić się z obecną sytuacją. Cury jest przekonany, że jeśli tylko zdołamy nawiązać kontakt z innymi światami, Dylan na nowo ożyje. Nie uświadamia sobie, że żaden świat nie próbował się z nami skontaktować, co albo oznacza, że nie mamy już nic do zaoferowania, albo że nie pozostał nikt, kto by pamiętał, iż tutaj jesteśmy.

Weygil przysiadł na piętach.

- Teraz nie zrobi już nikomu żadnej krzywdy. Zabiorę go do baraków, gdzie będzie mógł ochłonąć. Przy okazji - czy twój statek nadaje się do lotu?

- Zaraz sprawdzę.

Kosgro wspiął się po trapie i zniknął we włazie. Miałam wrażenie, że nie było go bardzo długo. Oomark tulił się do mnie z jednej strony, Bartare z drugiej.

- Kildo - odezwał się chłopiec - gdzie będziemy mieszkać? W naszym domu nie ma mebli, nie ma niczego.

Weygil uśmiechnął się do niego.

- Nie musisz się o to martwić, synu. Znajdzie się dom dla was wszystkich. Mam wnuka, mniej więcej w twoim wieku, a w barakach mieszka jeszcze paru takich jak on, dziewczęta też - dodał specjalnie dla Bartare.

- Nasze rodziny postanowiły zostać i powodzi nam się zupełnie nieźle. Jest nas tutaj pięćdziesięcioro i korzystamy z zapasów całego miasta i około stu pękających w szwach magazynów, gdzie zalega nieprzebrana mnogość żywności, odzieży i leków.

- Nie z takich nasion wyrosły kolonie obejmujące całe planety - zauważyłam.

- To prawda. Większość z nas zdaje sobie z tego sprawę. Dla świętego spokoju prowadzimy stały nasłuch w porcie. Niektórzy z nas, tacy jak Cury, wierzą, że ta sytuacja jest tylko czasowa. Reszta... - Wzruszył ramionami. - ... Nie dajemy się ponieść złudnym nadziejom. Mamy dużo, o wiele więcej niż rozbitkowie, którzy zaczęli życie na nowych światach. Ludzi przybywa - dziesięcioro z nas to dzieci, a inne są już w drodze. Damy sobie radę.

Z takim dowódcą jak Weygil było to bardzo prawdopodobne. Ale co z nami? Gdzie jest nasze miejsce? Czy znowu mieliśmy zostać skazani na bycie Pomiędzy, nie należąc ani do tego, ani do tamtego świata?

We włazie pojawił się Kosgro. Gdy stanął na płytach dziedzińca, trap został szybko wciągnięty do środka i właz zamknął się ze szczękiem.

- Statek jest sprawny, ale potrzebny jest nowy rdzeń reaktora. Ten się

wyczerpał.

- Pomyślmy o tym. A teraz chodźmy do baraków. Broster poinformował resztę przez radio i teraz z niecierpliwością oczekują na spotkanie z wami.

Cury był wciąż nieprzytomny, gdy ładowaliśmy jego bezwładne ciało do samochodu. Jeszcze raz pojechaliśmy milczącymi ulicami, wracając do portu i wznoszących się obok niego baraków.

Grupa składająca się z mężczyzn, kobiet i dzieci czekała tam, by nas powitać. Bartare, Oomark i ja zostaliśmy zagarnięci przez kobiety. Zapomniałam już, jaką rozkosz daje kąpiel w łazience, kiedy prysznic zmywa brud długich dni wędrówki i koi zadrapania i stłuczenia. Dziwnie się poczułam, spoglądając znowu w lustro; cudownie zaś, kiedy nakładałam świeże, pachnące delikatnie rzeczy, które podarowała mi córka Weygila. Natomiast świadomość, że nie ciąży mi już strach i odpowiedzialność, była najwspanialsza z tego wszystkiego.

Nasza historia ogromnie zdumiała słuchaczy (bowiem teraz opowiedzieliśmy ją szczegółowo), podobnie jak nas to, co oni nam zrelacjonowali. Na prośbę Weygila zaczęłam wszystko nagrywać, choć wiedziałam, że taśma nigdy już nie znajdzie się w bibliotece Lazka Volka. (Co stało się z Chaloksem? Czy zbiór Volka wciąż pozostawał nietknięty, tak by mógł być wykorzystany przez tę cywilizację, która przetrwała?). Potem poprosiłam Oomarka, żeby ją uzupełnił ze swej strony. Gdy zwróciłam się z tym także do Bartare, początkowo nawet nie odpowiedziała na moją prośbę.

Choć przebywając z rówieśnikami nie trzymała się na uboczu, tak jak przedtem, to jednak jej zachowania nie cechowała taka bezpośredniość, jaką okazywały Alys czy Wensie, mieszkanki baraków. Wbiła wzrok w przestrzeń, kiedy zapytałam po raz drugi:

- Zrobisz to, Bartare? Wiesz o wiele więcej o świecie Ludu niż my...

- Dlaczego miałabym to zrobić? - zapytała bezbarwnym tonem.

- Ponieważ jest to wiedza, a wszelka wiedza winna być zachowana dla przyszłych pokoleń - zacytowałam credo Lazka Volka, które wpoił mi jeszcze jako dziecku.

- Uważają to za bajkę. - Wskazała ręką mieszkańców baraków. - Wielu z nich chce to tak traktować. Już wkrótce taka opowieść będzie tym, czym ma być: jeszcze jedną dziwną historią. A poza tym, kogo obchodzą twoje nagrania? Lask Volk nigdy ich nie usłyszy. Pewnie od dawna już nie żyje.

- No cóż, mogę cię tylko o to prosić, Bartare. Nie mogą cię zmusić.

Wówczas z jej twarzy zniknęła maska, którą nałożyła.

- Nie przychodzi już - powiedziała szeptem. - Nigdy już nie przyjdzie!

- Melusa? - Ale nie potrzebowałam potwierdzenia. Wiedziałam, o kim mówi.

- Powiedziała... że nie dosięgnę jej tam na kopcu... i nie dosięgłam. Więc naprawdę nigdy nie byłam jej córką - nigdy! - Mówiła coraz szybciej. - Przedtem miałam ją- teraz nie mam nikogo!

- Zapominasz o mnie, Bartare. Zrobię dla ciebie wszystko.

Potrząsnęła głową.

- Nie, Kildo - chcesz dać mi coś, bo jest ci mnie żal, ponieważ czujesz, że powinnaś się mną zaopiekować. Ale nie możesz. Ty to ty, a ja to ja, i za bardzo różnimy się między sobą.

Wyraziła to, co zawsze czułam.

- Ona nigdy już nie wróci, Kildo. A ja o tylu rzeczach zapomniałam. W nocy leżę, nie mogąc zasnąć, i próbuję przypomnieć sobie słowa i gesty, których używałam, żeby zrobić to czy tamto. Ale te słowa i gesty wymykają się z mojej głowy. I wkrótce dla mnie to również stanie się bajką. Mam nadzieję, że kiedy nadejdzie ta chwila, przestanę przywiązywać do tego wagę. Właśnie to, Kildo, w jakiś sposób jest najgorsze - nadzieja, że nie będzie to już dla mnie ważne.

Ujęła moją rękę.

- Nie prosz mnie o to nagranie, Kildo, ponieważ jeśli to zrobię, wówczas mogę kóregoś dnia zechcieć je wysłuchać. I przypomnę sobie trochę, ale nigdy dość, nigdy dość!

Zrozumiałam ją. Bartare sama dokonała wyboru, ponieważ w szarym świecie ktoś inny dokonywał wyboru za nią. Jeśli chciała odrzucić to wszystko, co miało dla niej znaczenie, musiała zrobić to teraz. Tak więc nie poprosiłam jej ponownie, choć nagranie byłoby o wiele pełniejsze, gdyby się zgodziła. Myślałam o tym, jaką przyjemność sprawiłoby Lazkowi Volkowi. Niestety, tak jak powiedziała, nie mógł go już wysłuchać.

Od tej naszej rozmowy Bartare coraz bardziej i bardziej zaczęła przypominać inne dzieci; być może początkowo starała się o to świadomie, lecz wkrótce nie musiała już o tym myśleć. Jej dawna niewidzialna towarzyszka odeszła.

Nie, to nie Oomark czy Bartare nie potrafili zasymilować się z życiem maleńkiej kolonii na Dylanie. Największe trudności miałam ja. Nie umiałam

przeskoczyć tych ponad pięćdziesięciu lat, żeby ich dogonić, choć prawdą jest, że równie mocno jak Bartare próbowałam znaleźć swoje miejsce w społeczności, której byłam członkiem. Sądziłam, że kiedy wrócę z szarego świata, wszystko będzie w porządku. Teraz odkryłam, że nie była to prawda.

Na prośbę Weygila robiłam nagrania dla banku danych. Miały one być opieczętowane i przechowywane w porcie. Gdyby kolonii nie udało się przetrwać (a wciąż wisiał nad nami cień niespodziewanej epidemii, najazdu, jakiejś naturalnej katastrofy, które mogły zetrzeć nas z powierzchni ziemi), wówczas nasze nagrania pozostałyby dla przyszłych pokoleń. Ale to zajęcie nie mogło wypełnić mi całego czasu.

Jako samotna kobieta byłam nieustannie adorowana i na wszystkie możliwe sposoby nakłaniana do małżeństwa przez pięciu nieżonatych mężczyzn kolonii. Wiedziałam, że prędzej czy później czeka mnie los innych kobiet na Dylanie - mąż, dzieci, coraz mniejsze możliwości. Jednak wciąż starałam się odwlec konieczność podjęcia ostatecznej decyzji.

W tym czasie Jorth zajmował się statkiem. W magazynach znajdowało się mnóstwo rdzeni paliwowych, lecz przeznaczone były dla statków wojennych. Przystosowanie jednego z nich do mniejszego statku zwiadowczego stanowiło długie i skomplikowane zadanie. Kolonia udzielała mu wszelkiej możliwej pomocy, widziała w nim bowiem ostatnią szansę na nawiązanie łączności z innymi światami. Tak jak powiedział nam Weygil, większość członków kolonii zaakceptowała sytuację, w jakiej się znalazła, porzuciwszy nadzieję na kontakt z innymi światami i poświęcając całą energię na polepszenie warunków życia. Ale byli tacy, którzy nie zrezygnowali.

Cury, który przedtem chciał walczyć z Kosgro, teraz stał się jego najzagorzalszym pomocnikiem. Domyślałam się, że strażnik pragnął znaleźć się na pokładzie statku, kiedy ten w końcu wystartuje.

W owym czasie rzadko widywałam mojego dawnego towarzysza. Pracował ciężko i wracał do baraków przede wszystkim po to, by najeść się i przespać. Lecz dręczące nas problemy ujawniły się tego samego dnia.

Matylda, żona Weygila, późnym rankiem wzięła mnie na bok i bez ogródek przedstawiła sprawę. Byłam przyczyną niezgody. Doszło do walki pomiędzy dwoma nieżonatymi mężczyznami, z których żadnego nie chciałam. Prawdę mówiąc, kiedy już poznałam sytuację, robiłam co mogłam, żeby nie faworyzować żadnego ze

starających się. Swój wolny czas spędzałam wśród kobiet. Ale sam fakt, że nie dokonałam wyboru, stał się źródłem kłopotów. Ponieważ leżało to w interesie całej kolonii, musiałam wybrać od razu.

Nie mogłam zaprzeczyć, że mówi rozsądnie i że jest to najlepsze rozwiązanie dla całej grupy. Byłam jednak do tego zmuszana, więc zbuntowałam się i uciekłam z baraków do milczącego miasta. Nie obchodziło mnie, dokąd idę. Błąkałam się, przechodząc z jednej ulicy na następną. Żaden z pięciu nieżonatych mężczyzn nie pociągał mnie. Nie czułam się częścią tej społeczności. Nie chciałam, by moja przyszłość stała się ich przyszłością.

Zatrzymałam się w ogrodzie obok domu, gdzie kiedyś mieszkał komendant Piscov. Pozbawiona opieki roślinność utworzyła gąszcz, który już dawno temu zatarł ostatni ślad grządek. Słabsze rośliny zginęły, lecz te bardziej odporne i żywotniejsze rozrosły się bujnie. Walczyły o życie i właśnie ich widok pomógł mi zrozumieć, co się ze mną działo. Było tu pięknie i spokojnie. Pragnęłam zostać w tym miejscu i zapomnieć o wszystkim, co znajdowało się za na wpół uchyloną furtką.

Obudził mnie metaliczny brzęk. Zaskoczona, w pierwszej chwili pomyślałam, że to jeden z pięciu adoratorów podążył moim śladem. Ujrzałam Jortha.

Ubrany był w mundur z zapasów znajdujących się w magazynie. Jego buty, zaopatrzone w magnetyczne podeszwy, postukiwały miarowo, kiedy szedł. Tunikę miał rozpiętą, a ręce czerwone od szorowania, które zmyło ostatnie ślady pracy, jaką wykonywał.

- Zobaczyłem cię z pokładu statku - powiedział takim tonem, jakby miał mi coś do zarzucenia. - Jest gotowy do startu.

- Będą bardzo podnieceni.

- Nic jeszcze nie wiedzą. Myślą, że skończę dopiero za dzień lub dwa...

- Dlaczego?

Nie odpowiedział. Zamiast tego podszedł do mnie. Jego świeżo umyte dłonie zacisnęły się na moich ramionach wystarczająco mocno, by mnie to zabolalo. A jednak z radością powitałam ten uścisk. A potem przyciągnął mnie do siebie, bardzo blisko. I spojrzał mi prosto w oczy, a ja wiedziałam, że nie potrzebujemy już żadnych słów, że tego właśnie chciałam i potrzebowałam.

- Polecisz.

To nie było pytanie, lecz ja odpowiedziałam tak, jakby je zadał.

- Tak! - A potem dodałam: - Kiedy?

- Zaraz. Statek jest w pełni zaopatrzony. Cury mi pomógł.

- Myśli, że weźmiesz go z sobą.

Kosgro potrząsnął głową.

- Nic mu nie obiecywałem. Mogę zabrać stąd tylko jedną osobę. Wezmę ze sobą ich posłanie. A to i tak bym zrobił. Kildo, nie wiem, co nas tam czeka. Jeśli znajdziemy się w absolutnym chaosie, tak jak przypuszcza to Weygil, nasza sytuacja okaże się o wiele gorsza niż cokolwiek, co sobie wyobrażasz.

- Po pobycie w szarym świecie nic nie może być gorsze.

- Musimy zostawić tu dzieci.

- Wiem. Ale one dokonały własnych wyborów. Oomark jest tutaj szczęśliwy. Myślę, że Bartare też się zaaklimatyzuje. Ta upiorna Pani, która kusiła ją do innego życia, zniknęła.

- A ty znalazłaś towarzysza - choć może nie tak upiornego. Będę cię kusił...

Dotknęłam palcami jego ust.

- Nie musisz namawiać mnie do niczego! Ja też dokonałam wyboru. Gdzie tylko pójdziesz, ruszę twoim śladem, nawet tam, gdzie kończą się wszystkie gwiazdy!

Przemknęliśmy przez martwe miasto do statku i Jorth zabrał mnie do jedyne go domu, jaki kiedykolwiek posiadał; odtąd był to również mój własny dom. Z radością zamieniłam bezpieczne życie na Dylanie na to, co czekało na nas wśród gwiazd.